

Ciro Alegria

Głodne psy

I. Psy biegą za stadem

Monotonne i długie szczekanie, tak przenikliwe, że aż świdrowało w uszach, smutne jak lament, chłostało białe runo owiec idących na czele stada. Ten kierdel owiec, który biegł szybkim truchtem wśród poskrzypywania twardej trawy ichu, ożywiał swą białą szarą zmysłowość Andów.

Była to duża trzoda, jako że składała się ze stu par, nie licząc młodych. Bo trzeba wiedzieć, że zarówno pastuszka Antuca, jak jej rodzice i bracia liczyli stado na pary. Znajomość arytmetyki pozwalała im liczyć od jednego do stu i od stu do jednego. Toteż mówiliby pewnie „pięć setek” lub „siedem setek”, czy „dziewięć setek”, tyle że w rzeczywistości nigdy nie potrzebowali wymieniać tak bajecznych sum. Dla większego uproszczenia sprawy ciągle jeszcze służyło im pomocą liczenie parami, zakorzenione w indiańskiej rachunkowości bardzo mocno, gdyż wspierał je obyczaj. A poza tym po co wdawać się w te zawłości? Liczenie to zajęcie dusigroszów, jest więc logiczne, że lud, który nie znał pieniądza i uciekał się tylko do prostej wymiany, nie spłodzi potomstwa operującego wielkimi cyframi. Ale to już oczywiście nie należy do rzeczy. Mówiliśmy o trzodzie.

Antuca i wszyscy w jej rodzinie byli zadowoleni, że mają tyle owiec. Tak samo i psy.

Smutne tony, jakie brzmiały w ich szczekaniu, nic nie znaczyły, bo psy skakały i biegały wesoło, kierując stado tam, gdzie chciała pastuszka, która przedąc wełnę z kądzieli szła z tyłu, w milczeniu albo też z piosenką na ustach, jeśli akurat nie pokrzykiwała na zwierzęta. Psy rozumiały każde jej skinienie, a może też i każde z krótkich słów, kiedy kazała im biec w tę czy inną stronę.

Po tym czarnym wzgórzu biegą me owieczki, a białe jagniątka idą za starymi.

Słodki i cichy głosik Antuki zamierał po kilku krokach pośród tej pustej i rozległej górskiej krainy, gdzie trawa pastwna jest jedynie podarunkiem bezlitosnej przyrody.

Słońce moim ojcem, Księżyc moją matką, a jasne gwiazdeczki to moje siostrzyczki.

Wzgórza wyginały się i jeżyły błękitnymi i czarnymi skałami, wokół których z wolna zbierały się gęste chmury.

Przemożny i milczący ogrom skał sprawiał, że jeszcze mniejsze wydawały się owce, psy i Antuca, dwunastoletnia Indianeczka, która śpiewała „ot tak, sama dla siebie”. Kiedy stado znajdowało odpowiednie pastwisko, pochód się zatrzymywał i psy przestawały szczekać. Wtedy wielka i ciężka cisza przygniatała dziewczęcą pierś pastuszki. Pokrzykiwała:

- Chmurko, chmurko, chmuuuuro...

Bo tak krzyczą mieszkańcy Kordyliery. Właśnie tak, bowiem wszystkie, zjawiska przyrody składają się na ich wiedzę i ich wewnętrzne przeżycia.

- Wietrze, wiaterku, wiateerkuuu...

I czasem nadlatywał wiatr, potężny i ochrypliwy, ryczał wśród stromych zboczy, gwizdał pośród traw, spiętrzał chmury, czochrał proste kudły psów i unosił nad ziemią czarny szal i czerwoną spódnicę Antuki. A ona, jeżeli koło niej był akurat jakiś pies - a zawsze któryś był przy niej - mówiła mu żartem:

- Widzisz? A to i przyszedł wiaterek. Tylko popatrz...

I wybuchała śmiechem dźwięczącym jak kaskada przejrzystej wody. Pies z całym zrozumieniem poruszał wełnistym ogonem i także śmiał się swymi wesołymi oczyma, które błyszczały nad ostrym, połyskującym nosem.

- Piesku, piesku, dobry piesek...

Po czym szukając schronienia w jakimś bardziej zarośniętym kącie, kulili się pod krzewami. Wiatr przelatywał nad nimi. Antuca przedła pogadując do psa. Coraz to odkładała robotę, żeby go pogłaskać.

- Piesku, piesku, dobry piesek...

Od czasu do czasu patrzyła na stado i jeżeli jakaś owca za bardzo się oddaliła, pokazywała ją psu mówiąc:

- Spójrz no, Zambo, nagnaj mi ją...

Wtedy pies rzucał się ku niesfornej owcy, okrążał ją ze szczekaniem, nie gnębiąc zanedo - bydłatka i bez tego wiedziały, jaki potrafi być uparty wobec nieposłusznych - i zmuszał do powrotu. Tak trzeba. Jeżeli owca spóźnia się i odłącza od stada, może zabłądzić albo wpaść w pazury pumy czy lisa, które zawsze czyhają gdzieś w mroku swych kryjówek.

Wypełniwszy zadanie Zambo wracał lekkim i miękkim truchcikiem, tak typowym dla indiańskich psów, i kładł się obok pastuszki. Tulili się do siebie, użyczając sobie nawzajem odrobiny ciepła.

I tak spędzali cały dzień, mając przed oczyma poszarpane grzebienie Andów, beczące stado, no i niebo - to błękitne, to zachmurzone i groźne. Antuca przedła gadając, pokrzykując i śpiewając, czasem zaś w milczeniu, jakby sama była częścią tej głębokiej ciszy gór powstałej z kamieni i bezmiernych, rozległych pustkowi. Zambo tkwił przy niej czujny na wszystko, strzygąc uszami przy najmniejszym geście swej pani, gotów słuchać jej poleceń, chociaż i on też, pochyliwszy łeb, pozwalał sobie na drzemkę - ale była to zaledwie drzemka - przytulony do miękkiej dziewczęcej spódnicy.

Czasem na pochyłości najeżonego wierzchołka góry pojawiała się szczupła postać Pancha, indiańskiego pastucha. Antuca wołała nań wtedy, a on szedł do niej stęskniony i radosny, upewniwszy się wpierw, że ich stada znajdują się w odpowiedniej odległości od siebie i nie pomieszają się. Towarzyszył mu żółty pies, który wymieniał wrogie warknięcia z Zambem, aż w

końcu oba się uspokajały na wyraźne żądanie swych panów. Ci dwoje zaś od początku byli dla siebie jak brat i siostra. Rozmawiali, śmiali się. Pancho brał antarę*, którą miał zawieszoną na szyi, na czerwonym sznurku, i zaczynał grać, pozwalając wiatrowi unosić dźwięki wesołe i smutne różnych huaynos i niepokojącą melodię yaravi.

* Antara - instrument muzyczny, rodzaj fletu używanego przez Indian peruwiańskich.

Zwłaszcza jedna, nazywana manchaipuito, napełniała lękiem serce Antuki i sprawiała, że psy zaczynały wyć. Dziewczyna uśmiechała się z przymusem i zdobywała się na tyle wysiłku, by strofować Zamba:

- Cicho, głupi. Widzieliście go, jaki głupi pies!

A pewnego razu Pancho; powiedział:

- Ta yaravi to jest o księżulku, co polubił jedną dziewczynę...

- Opowiedz - poprosiła Antuca. I Pancho opowiedział:

- Ten ksiądz, powiadają, bardzo polubił jedną dziewczynę, ale że to ksiądz, więc dziewczyna go nie chciała. Aż tu nagle dziewczyna umarła. No i on wtedy, że to ją tak kochał, poszedł, wyjął nieboszczkę z mogiłki i zaniósł do swojego domu. I tam trzymał to martwe ciało, i z trzcinki zrobił flet, i grał na flecie właśnie tę yaravi nad martwą dziewczyną... I co powiesz, z tej czułości, a i od tej smutnej, takiej smutnej muzyki, odjęło mu rozum... I ludzie z jego wsi, co słyszeli tę yaravi dzień i noc, poszli zobaczyć, czemu on gra, tak ciągle i tak żałośnie, i zastali go przy martwym ciele dziewczyny, co już gniło, a on płakał i grał. Mówią do niego, a on nie odpowiada i gra bez przestanku. Bo mu rozum odjęło... I tak umarł grając... Może dlatego psy wyją... Może przychodzi duszyczka księdza i wtedy psy wyją, bo ponoć one tak robią, jak widzą czyją duszę... Antuca powiedziała:

- Ale bo to takie smutne... Nie graj tego... Jednakże w głębi serca pragnęła słuchać tej melodii, czuła, że rozdzierający lament manchaipuito ogarnia całe jej ciało sprawiając ból i radość, zadając cierpienie okrutne i pełne słodyczy. Drżący welon muzyki przenikał ją jak miecz, co brutalnie rani, ale zarazem wstrząsał nią i w tajemny sposób targał jej wnętrzem.

Pancho to przeczuwał i nieustannie wydobywał z instrumentu jękliwe i rozdygotane tony legendarnej yaravi. Po czym mówił:

- Jakie też musi być to kochanie, kiedy tak płacze...

Antuca przez chwilę zatrzymywała na nim wzruszone spojrzenie kobiety, która na coś czeka, ale zaraz, przestraszona, zaczynała znowu pilnie praść i strofować szczekającego Zamba. Jej młode ręce - ruchliwe ciemne pająki - zręcznie kręciły wrzecionem i wyciągały równą nić z białego jedwabistego motka. Pancho, zadowolony, przyglądał się jej pracy i grał coś innego.

Takie są andyjskie idylle. Jej towarzysz był mniej więcej w tym samym wieku co ona.

W Dojrzewające ciało miało wreszcie zatriumfować. Na pewno w końcu mieli się połączyć i spłodzić dzieci, które tak samo jak i oni pasąc stado na wyżynach będą się spotykać z innymi pastuszkami.

Ale Pancho nie zawsze przychodził i wtedy Antuca spędzała cały dzień samotnie, urozmaicając sobie tę samotność rozmową z chmurami i wiatrem; pewną pociechą była też spokojna obecność Zamba. Z nadejściem zmierzchu szykowali się do powrotu. W zimie wracali wcześniej, bo żelazista matowość nieba nagle przeradzała się w gwałtowną burzę. Antuca wstawała i wołała na psy, które wyskakiwały spośród kęp trawy, aby biegając i szczekając zganiać stado, a potem z wolna wieść je do zagrody.

Psów pomagających Antuce było cztery: Zambo, Wańka, Gnat i Skórka. Świetne owczarki, znane w całej okolicy, gdzie porozdawano wielu ich krewniaków, których zmyślność potwierdzała geniusz tej rasy. Ich właściciel, Simon Robles, cieszył się taką samą sławą jak i psy, a zawdzięczał to po części im właśnie i po części temu, że przy wszystkich swoich zaletach umiał jeszcze do tego pięknie grać na flecie i na bębenku.

Zazwyczaj przy pędzeniu stada Zambo biegł obok Antuki i miał baczenie na te owce, które nie nadążały za resztą. Wańka, z przodu, nadawała trzodzie właściwy kierunek, a Gnat i Skórka uwijały się po bokach, pilnując, aby żadna owieczka nie skręciła, gdzie nie trzeba. Znały swój fach. Nigdy żadnego stworzenia nie zaczepiały niepotrzebnie, a posłuch zdobywały samym szczekaniem. Zdarza się czasem, że bezecne psy wpadają w złość na jakąś upartą owcę i w końcu ją zagryzą. Zambo i jego towarzysze miały jednak wiele cierpliwości, a posłuszeństwo narzucały poszturchiwaniem lub lekkim szarpnięciem za sierść, co zresztą stosowane było w ostateczności, bo sama obecność psa po jednej stronie traktu wskazywała na to, że owca powinna się skierować w stronę przeciwną, a szczeknięcie nad jej uchem oznaczało konieczność skręcenia w bok. Robiąc to wszystko, skacząc i biegając, psy były szczęśliwe.

Nawet burza nie dawała im rady. Bywało i tak, że niebo ciemniało mimo wczesnej pory i zaczynał siąpić deszcz. Jeśli Pancho był wtedy razem z nimi, proponował Antuce swoje ponczo. Było to piękne, kolorowe ponczo. Ona się na to nie zgadzała, mówiąc cicho „co to, to nie”, i zbierali się do powrotu. Deszcz padał coraz gęstszy i coraz większymi kroplami, po czym były to już całe bicze wodne, od czasu do czasu grzmiało, a błyskawice wbijały w wierzchołki gór swe gwałtowne i ulotne ogniste miecze. Psy zganiały stado w zwartą, ciasno stłoczoną gromadkę, łatwą do upilnowania, i prowadziły ją przyspieszonym klusem. Należało przebyć wąwozy i strumienie, zanim burza zwiększy przybór wody i uniemożliwi przejście. Nigdy się nie spóźniły. Pędziły szybko i w milczeniu. W ślepiach owiec za każdym okrzykiem i za każdym grzmotem

malował się strach. Psy biegły spokojnie, a woda ciekła z ich posklejanych kudłów. Z tyłu za nimi Antuca, podpierając się kijem od kądzieli - co chroniło ją przed poślizgnięciem się na mokrych kamieniach - z rondem kapelusza opuszczonym, aby mogła z niego ściekać woda, biegła rozdzierając swymi lekkimi ruchami szarą sieć deszczu.

Ale prawie zawsze wracali przy spokojnej pogodzie, późnym popołudniem, spowici w szczęśliwe barwy zmierzchu. Zamykali owce w zagrodzie i Antuca szła do domu. Tutaj kończyła się jej praca. Dodajmy przy okazji, że ów dom był jednym z tych, jakie rzadko się spotyka. To prawda, dach jego był ze słomy, ale tylko jedna izba miała ściany z trzcin pozlepianych gliną; ściany drugiej stanowił solidny gliniany mur. W sieni, przy płomieniach buchających z paleniska, matka, którą nazywali Juana, podawała posiłek ojcu Antuki, Simonowi Roblesowi, i jej rodzeństwu, Timoteo i Vicencie. Pastuszka siadała na swoim miejscu w kręgu wieczerzających, aby dzielić z nimi słodycz pszenicznego ziarna, kukurydzy i bulw ollucos. Psy też podchodziły i dostawały swoją porcję w okrągłej niecce. Był tam także Shapra, stróż domu. Nie walczyły między sobą. Wiedziały, że Timoteo zręcznie włada trzymanym w dłoni kijem.

Noc zapadała pośród mgieł fioletowych i błękitnych, które w końcu gęstniały i stawały się czarne.

Juana gasiła ogień, pamiętając o tym, żeby zostawić kilka żarzących się głowni, od których rozdmucha się płomienie następnego dnia; po czym wszyscy usypiali. Z wyjątkiem psów.

Tam, w zagrodzie dla bydła, ich uparte poszczekiwanie świdrowało spokojną i ciężką ciemność nocy. Spały, jak to się mówi, tylko na jedno oko. Bo lisy i pумы korzystając z osłony mroku wskakują czasem do zagrody, by porwać zdobycz. Trzeba więc szczeakać za każdym najlżejszym hałasem. Trzeba szczeakać zawsze. Toteż nawet kiedy jest tak jasno, że dzikie szkodniki rezygnują ze swych wypadów, psy szczeakają także. Szczeakają do księżyca. To on, pełny i biały, uwielbiany przez poetów i romantyczne damy, staje się teraz dla psów pumą albo głodnym lisem.

- Hau... hau... hauuuu...

Głos Zamba i jego psiej rodziny, łącząc się z głosami psów sąsiedzkich, tworzyły rozjazgotany chór, którym tętniła andyjska noc.

II. Historia psów

Zambo i Wańka przyszły z daleka. A ściśle mówiąc: przyniósł je Simon Robles. Były wtedy bardzo małe i miały zamknięte ślepia. Gdyby je otworzyły, też by niewiele widziały. Podróżowały w zawiniątku, które ich właściciel zrobił z przerzuconej przez rękę przedniej poły poncza. Być może, nie wiedząc, co to takiego, czuły nieustanne, choć nierówne kołysanie. Wywoływał je

trucht konia biegnącego długą, pełną wzniesień drogą. Szczenięta pochodziły z Gansul, ze słynnej hodowli don Roberta Pomy.

- Juana, pieeeeski przyniosłem... - zawołał Simon Robles, kiedy już był pod domem. Żona wyszła, żeby je wziąć od niego, a potem wpuściła je do zagrody. Człowiek, któremu z pomocą przychodzi ślepotą szceniąt, odbiera owczarkowi mleko matki i daje mu wymię owcy. Pies rośnie więc utożsamiając się ze stadem. I tak właśnie nasze owczarki, otworzywszy w końcu oczy, ujrzaly ciemne wymię, wiele nóg, świat o kształtach białych i okrągłych. Ostra woń unosiła się dokoła. A one żyły w tym świecie, zaś z niewielkiej sutki tryskał strumień, który koił ich głód. I zrozumiały, że owce to część ich życia. Po jakimś czasie suczka spróbowała chodzić. Potknęła się o owcze kopytka i poślizgnęła na gnoju. Beczenie raniło jej uszy. Chciała wydać taki sam głos, ale udało jej się tylko zaszczekać. A przecież ten jej cieniutki głos przestraszył jakiegoś jagnię i sprawił, że któraś owca odskoczyła w bok. Wtedy odczuła różnicę. Jednakże, tak czy inaczej, wymię było dobre, a ona mogła ssać dalej. Życie przede wszystkim, a owce dawały jej życie. Jej brat powoli rozumiał to samo.

Tymczasem zaś otwarcie ślepi zostało radośnie powitane przez Vicentę, która wtedy pasła owce, i przez Antucę. Zaniosły pieski do domu.

- Jak je nazwiemy? Simon Robles powiedział:

- Suczce trza dać Wańka. A Timoteo zauważył:

- Piesek, że to ciemniejszy, niechby się wabił Zambo.*

* Zambo - mieszaniec murzyńsko-indiański.

I tak zostały ochrzczone. Imię pieska rozumiało się samo przez się, był rzeczywiście ciemniejszy niż suczka, ale jej imię? Jednak nikt nie spytał Simona, skąd wziął taki przydomek. Może i on sam nie wiedział. Wańka było to dzielne indiańskie plemię z czasów Inków. Słowo to zapewne wybiegło mu na usta tak jak gwiazda nagle zapala się w mroku. „Wańka”, powiedział takim tonem, jakim mógłby stwierdzić: „Oto los dzielnych.” I nie trzeba się dziwić, że to właśnie chodziło o psa. Zwierzę po bratersku dzieli życie z andyjskim chłopem.

Tak tedy Wańka i Zambo rosły, otoczone miłością, wśród owiec i razem z Roblesami. Ich ślepie oczywiście wkrótce zaczęły widzieć ostrzej i dalej. Ich panowie mieli żółtawą skórę. Simon i Juana byli lekko pochyleni. Timoteo miał szeroką i mocną klatkę piersiową, na której wzdymało się ponczo. Vicenta, wyprostowana i ruchliwa, uczyła psy ich pasterskich powinności. Ale najserdeczniej zżyły się z Antucą, małą, tryskającą zdrowiem Antucą. Czekala na nie, kiedy wracały z wyżyn, i biegła do przeznaczonej dla strażników stada szopy w kącie zagrody. Baraszkowała z nimi, niby to walcząc. Ona warczała wymachując rękami, a one udawały, że

rzucają się na nią, gryząc straszliwie. Były to zajadłe i bezkrwawe zapasy, którym owce przyglądały się ze zdumieniem.

Oswoiły się również z całą okolicą. Dom ich właścicieli leżał w zagłębieniu wśród wzgórz, otoczony roślinnością. Dalej spośród grzbietów i zboczy wyzierały inne domostwa, też okolone uprawnymi pólkami, które zależnie od pory roku były zielone lub żółte. Gdy się wchodziło wyżej, widać było skaliste, słomianej barwy górskie grzebienie, gdzie pasło się bydło. A nie tak daleko, niżej, w miękkim schronieniu kotliny, rozpierał się wielki budynek pokryty czerwoną dachówką, widoczną pomiędzy wysokimi drzewami. Kiedyś psy dotarły za Vicentą aż tam. Ujrzały wtedy białych ludzi, wysokie ściany i ogromne psiska o krótkiej sierści, które czekały ochryple i miały straszliwe, groźne szczęki. Vicenta musiała wziąć swoje psy na ręce, aby nie rozszarpały ich te potwory, które warcząc podbiegały do nich.

Tak więc widziały niemało. Cała okolica była pocięta wąwozami, porośniętymi czarnozieloną gęstwiną krzaków i drzew,- wąwozy te schodziły z wyżyn, by zniknąć wśród odległych wzgórz, i biegły nie wiadomo dokąd. Daleko, bardzo daleko wznosiły się olbrzymie błękitne szczyty. Wańce i Zambowi nigdy nie przyszło na myśl, żeby tam pobiec. Drogi były długie, skały wysokie, a stada nie można było opuszczać. Od głazów na stoku wzgórza, nieco powyżej ich rodzinnej chaty, odbijało się echem ujadanie ogromnych psów z wielkiego domu. Nasi przyjaciele starali się czekać jak najzapalczywiej, ale ich głosy nigdy nie nabrały tej grubości i grozy, a echo zwracało tylko ich ostry i przenikliwy skowyt.

Mimo wszystko życie było dobre. Rosły. Ich mięśnie nabierały siły w ciągłych marszach i bieganiu za stadem. Bydło sprawowało się dobrze. Wkrótce psy stały się duże. Wydłużony tułów, pokryty gęstą, ołowianoszarą sierścią, sięgał trzech piędzi nad ziemią. Ogon był puszysty. Wąskie i gładkie uszy, zawsze czujne, wyprężyły się przy najmniejszym szmerze. Ostry nos potrafił wywęszyć trop sprzed dziesięciu dni. Olśniewająco białe kły mogły zmiażdżyć drewno.

Rasa? Nie mówmy o niej. Była to mieszanina ras - tak jak mieszaniną jest rasa ludzi żyjących w tym kraju. Te dzielne psy, które są gospodarzami andyjskiej Kordyliery, mają tylko kilka wspólnych cech: mały wzrost, obfitą sierść i przenikliwy głos. Są szare, jak też i czarne, rudawe, kasztanowate lub łaciate. Ich wygląd mógłby nasuwać pokrewieństwo z lisem, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że skrzyżowały się niegdyś z dawnym psem leśnym zdomowionym w państwie Inków. Ten gatunek, uważany za wymarły, z pewnością przetrwał w dzisiejszym psie, mieszańcu jak i jego pan, człowiek z Andów. W Wańce i Zambo - tak jak w Simonie Roblesie i całej tutejszej chłopskiej ludności - płynęła krew hiszpańskich przodków przemieszana z tubylczą.

A wkrótce potem życie dało znać o sobie. Wańka urodziła pół tuzina szceniąt. Obyczaj zwolnił ją od macierzyńskiej powinności wobec całej szóstki. Czworo zabrano, aby podłożyć je owcom, co niedawno się okoczyły. Pozostałe, rzecz jasna, mogły się sycić resztą mleka. Wszystkie miały jedwabistą sierść i wyglądały jak kłębuszki wełny. One też w swoim czasie podrosły i kiedy przyszła na to pora, potrafiły biegać i szczekać, i prowadzić stado. Ale że zapotrzebowanie na pasterskie psy było duże, Simon zaś nie mógł żywić całej sfory, więc sprzedawał je lub wymieniał na owce.

Z małymi wyjątkami działo się tak z każdym miotem. Szczeniaki wykarmione przez Wanę nie lgnęły tak do owiec jak pozostałe, ale Simon pytał nabywcę: „Ma być do owiec czy do czego innego?” A kupujący mógł odpowiedzieć: „To do pilnowania chałupy.” Lub: „Do krów i kobyłek.” Repunteio* Manuel Rios tak właśnie odpowiedział.

* Repunteros - pasterze obarczeni obowiązkiem zganiania rozproszonego bydła.

I Simon - jak zwykle w takich przypadkach - dał mu psa, który nie był przywiązany do owiec i mógł spełniać inne funkcje. Niedługo potem Manuel potwierdził, że Kieł dobrze sobie radzi z krowami. Bardziej krnąbrne wyciągał za pysk z zarośli. Pewnego razu, kiedy trzeba było sforsować rzekę Maranon, krowa-przewodniczka zaczęła zawracać. Miewa to fatalne skutki, bo w takich wypadkach całe stado wraca w ślad za przewodniczką, a kiedy bydła znajdą się na lądzie, nie chcą ponownie rzucać się do wody i trzeba je przewozić tratwą. Manuel, który razem z innymi repunteios widział to wszystko stojąc na brzegu, rozkazał psu:

- Weź no się za nie, Kieł, przepędź je na drugą stronę...

Pies skoczył do wody, ale nikt się nie spodziewał, że zrozumie, o co chodzi. Wszystkich zdumiało, kiedy dotarł do samej przewodniczki i złapał ją za pysk. Woda przybierała i prąd był silny, ale pies wytrzymał napór i skierował krowę ku przeciwnemu brzegowi. Manuel okrzykami zachęcał zwierzę do wysiłku. Na środku rzeki były ogromne wiry, ale krowa - na czele pozostałych bydlatek, posłusznie idących w jej ślady - musiała płynąć na drugi brzeg. Pies puścił ją dopiero wtedy, kiedy jej kopyta dotknęły ziemi. Przewodniczka wyszła na ląd, a za nią całe stado. Manuel mało się nie rozplakał. Kiedy o tym opowiadał, nie chciano mu wierzyć. Wtedy powoływał się na innych repunteios, którzy też to widzieli, i dodawał na koniec:

- No to już wiecie, co to za pies ten mój Kieł, nie?

Takich jak Kieł było więcej. Ale nie zawsze miały szczęście: życie w górach jest twarde. Trzeba by może przytoczyć wypadki smutne i bolesne. Taka żalosna historia zdarzyła się z Mauzerem. Jego pan, dziedzic Gilberto Moran, wysadzał dynamitem skały u wylotu drogi. Ten wielki pan, chcąc pokazać, jaki to jest odważny, miał zwyczaj zapalać papierosa od płonącego

lontu. Kiedy wszyscy uciekali, on pochylał się nad dymiącą jamą. Tak było i tym razem. Tylko że kiedy sam don Gilberto się wycofał, Mauzer, który nigdy dotąd nic takiego nie widział, zaczął uparcie węszyć, aby wybadać, co jest wewnątrz jamy. Na próżno go wołali peoni i jego pan. Mauzer wciąż obserwował dym, który wydostawał się ze szczeliny. I wszystko stało się w mgnieniu oka, bo śmierć na tej bezlitosnej ziemi przychodzi zwykle w ciągu paru sekund. Skąła wyleciała w powietrze i rozpadła się na tysiące kawałków - a Mauzer razem z nią. Rozległ się huk, zwielokrotniony echem. Wyrzucony w górę kamień zostawił swój ślad w jakimś wgłębieniu. Tych kilka kropel krwi szybko wyschło na nasłonecznionej ziemi.

Równie oplakany był los Rudego. Pilnował on chaty Simona. Pewnego dnia przybył tam - na swej burej mulicy, za którą biegł Raffles - don Cipriano Ramirez, hacjender z Paucar, który mieszkał w opisanym już przedtem dworze. Raffles był to żółty pies o imponującym wyglądzie. Rudy, jako że bardzo śmiały, zawarczał na niego. Raffles natychmiast powalił go na ziemię, pokazując kły. Pokonany zrozumiał swój błąd i poddał się podnosząc łapy i zwijając się w kłębek. Ale Raffles nie wiedział, co znaczy przebaczać. Jednym kłapnięciem szczęki przegryzł mu gardło.

Z czasem Rudego zastąpił Shapra. Jego imię wzięło się stąd, że sierść miał poskręcaną i skudloną, bo shapia znaczy kudłaty. (W mowie Indian, którzy zetknęli się z białymi, niektóre słowa keczuańskie przetrwały przeszczepione na nieco ułomną hiszpańszczyznę, która dopiero teraz zaczyna wznosić się do nowego lotu.) Shapra czekał uwijając się w najlepsze dokoła chaty, ale kiedy zjawił się Raffles, gospodarze starali się powstrzymać jego zapędy.

Jednakże mścicielem Rudego okazał się Kundys. Synowi dziedzica, paniczowi Obdulio, zachciało się mieć psa od Simona Rowesa. W końcu dostał szczeniaka, któremu dali imię Kundys, to znaczy kundel, bo jego niewielki wzrost i brak rodowodu stały w sprzeczności z zuchwałością i bogatą kolekcją wspaniałych przodków, jakimi mogły się poszczycić psy z dworu na hacjendzie. Imię zmieniono trochę, i tak powstał ów nieco pieszczotliwy przydomek Kundys. Bo ze sfery kaprysu awansował > w sferę uczucia. Wszyscy go kochali - tak oto raz jeszcze sprawdziła się maksyma, że ostatni będą pierwszymi. A były po temu przyczyny. We wszystkich gospodarskich zajęciach Kundys wyprzedził i zostawił za sobą daleko w tyle inne psy. Tamte, rasowe, potrafiły straszliwie gryźć, rozjątrzał je widok krwi i zabijały albo bez potrzeby okaleczały bydło. Kundys dawał sobie radę ze wszystkim, nawet z pędzeniem krów, jedynie za pomocą upartego szczekania, rozważnych chwytów zębami i dzięki niezmordowanej ruchliwości i dobremu humorowi. Poza tym nauczył się polować na kuropatwy. Razem z paniczem Obduliem, dziesięcioletnim chłopcem, robił wielkie obławy w całej okolicy. Jest to zadanie wymagające zręczności. Kuropatwy zrywają się nagle spod nóg myśliwego i fruną niemal nad samą ziemią, kwiląc głośno. Wieść głosi, że podrywają się w górę trzy razy: raz na dłużej, drugi raz krócej i na koniec jeszcze krócej, po czym

mogą już tylko biegać. Ale w rzeczywistości często stać je na więcej takich lotów. Pies powinien rzucać się w pogoni za swą upragnioną zdobyczą, jak tylko ta wzbije się w górę - musi on bowiem widzieć, gdzie kuropatwa siada, aby ścigać ją i zmuszać do podfruwania, a w końcu zmęczyć i schwytać. Nie każdy pies to potrafi. Trzeba być na to bardzo szybkim. Kundyś to wszystko robił. Z początku myślał, że zdobycz należy do niego, ale wkrótce nauczył się ją oddawać, patrzył, jak znika w myśliwskiej torbie, za co, w odpowiedniej chwili, dostawał od kucharki Margi dużą porcję ziemniaków.

A przy tym Kundyś nie unikał starć z siłami przyrody. Kiedy padało albo kiedy dał wichur, psy rasowe dygotały z zimna, kuląc się w kącie. On zaś biegał i skakał na deszczu, i szczekał radośnie. Lubił napór burzy i wycie wiatru.

Sam don Cipriano go kochał i odkładał dla niego kości ze swego talerza. A kiedy inne psy, zazdrosne, chciały je zagarnąć, dziedzic brał do ręki bat, który wisiał przy drzwiach jego gabinetu i którego używał na psy i peonów. Ci zaś bali się go jeszcze bardziej niż psy, ale Kundyś cieszył się szacunkiem jednych i drugich. I tak właśnie pozwolił sobie wyprzedzić i zdystansować całą rasową psiarnię - to była jego zemsta za Rudego, bo wśród tych, którym okazał pogardę, był oczywiście ów okrutny zbój Raffles.

* * *

Nadeszła taka pora, że trzoda Simona Roblesa się powiększyła i trzeba było więcej psów-strażników, a także nadszedł czas, kiedy pasaniem miała się zająć Antuca; dziewczynka była już na to dość duża, ale jeszcze nie mogła się obejść bez większej liczby pomocników. I wtedy Simon Robles powiedział:

- Z tego miotu, co teraz będzie, weźmie się dwa pieski dla nas.

I to były Gnat i Skórka. Sam Simon im nadał imiona, bo prócz grania na flecie i bębenu lubił wymyślać przydomki i opowiadać różne historie. Swoje zwierzęta, a także swoich sąsiadów określał przedziwnymi epitetami. Jedną dziewczynę, która lubiła, żeby jej nadszakiwano, przezwiał Pasterką bez trzody, a o pewnym chłopaku, co miał głos chrypliwy i niewielką smykałkę do śpiewu, mówił, że to Grzmot w Wielkim Poście; chudy koń dostał od niego imię Pędziwiatra, a kure, co się nie niosła, nazwał Pustonioską. Aby nie pozbawiać się przyjemności wołania na zwierzęta tymi imionami, udawał zucha i moralistę: często dosiadał Pędziwiatra i nie pozwalał żonie zabijać Pustonioski. Nadając imiona psom, powiedział do całej rodziny siedzącej wkoło przy posiłku:

- Niech takie mają nazwania, jak wam rzeknę, a to dlatego, że jest historia o tym, jak jedna starszuszka miała dwa psy: jeden się wabił Gnat, a drugi Skórka. Oto i tak było, że pewnego dnia stara wyszła z chaty razem z psami, a wtedy zakradł się do niej złodziej i schował się pod łóżkiem.

Wraca gospodyni po nocy i zaraz się położyła. A złodziej siedzi i ani dychnie: czeka, aż baba uśnie, a wtedy on ją cichcem zadusi, że nawet psy nie usłyszą i złapie klucze od skrzynki z pieniędzmi. No i co powiecie, stara schyliła się żeby wziąć nocnik spod łóżka, i patrzy, a tam nogi tego złodzieja. A że każda stara jest mądra, to i ta też była. No to wzięła labidzić, jakby nigdy nic: „Oj, juzem ja bardzo stara bardzo wychudła; tylko gnaty i skórka, nic więcej na mnie ni ma.” I tak powtarzała, coraz to głośniejsze, jak nakręcona: „Oj gnat i skórka, gnat i skórka.” Psy w końcu usłyszały i wpadły do izby. A ona im dała znak i tak rzuciły się na złodzieja, aż sobie dobrze popamiętał... No i dlatego niekiepsko będzie, jak te nasze pieski też się będą wabiły Gnat i Skórka.

Opowieść się podobała, a imiona oczywiście zostały przyjęte. Ale bystra Antuca musiała zauważyć:

- A jakże to stara wiedziała, co się stanie, że tak je ponazywała?

Simon Robles odparł:

- Takie nazwanie im dała, a potem zdarzyła się okazja, że się te nazwania przydały... Ot, i tyle.

A Timoteo, za nic mając należny ojcu szacunek, zaczął wywodzić:

- A ja to tak sobie myślę, że ta stara była inna od naszych ludzi i nie zamykała dobrze drzwi. Bo jakby zamknęła, to psy by nie wpadły, kiedy wołała. No a jeśli psy były w chacie i nie zobaczyły złodzieja, to musi, że były bardzo głupie...

Prysnął cały urok opowieści. Nawet w rozmowie przy ognisku, gdy prostota jest rzeczą tak naturalną jak chleb powszedni, logika potrafi wywrócić wszystko na nice i przynieść rozczarowanie słuchaczom. Ale Simon Robles odpowiedział tak, jakby odpowiedział każdy autor:

- Jak bajka, to bajka.

A to równało się stwierdzeniu, że należy przyjmować takie historyjki z wszelkimi pułapkami, które mogą one kryć w sobie i w które wpada czasem zdrowy rozsądek, zwłaszcza że samo życie ma często w sobie coś z bajki.

Teraz Juana przerwała milczenie, jakie zapadło po tej sentencji.

- Wszystko się płącze i nie da się widzieć, tak jak ten koniec nitki, co schowany w kłębku; nie widać go, a on tam jest... Tyle że czasem kłębek bardzo duży...

I już więcej o tym nie mówiono.

Trzej bracia Gnata i Skórki uszli ludowej pomysłowości Simona Roblesa. Jednego z nich nazwano Łata. O dwóch pozostałych później już nie słyszano: te szczeniaki zabrali ludzie mieszkający bardzo daleko. Łata dostał się w ręce Matea, męża Martiny, córki Simona. Życie i cierpienia tego psa zasługują na osobną opowieść.

Ucząc się gawęd od Simona, a często korzystając z jego pomocy, opowiemy także wiele innych ważnych rzeczy. Być może historie te spotkają się z powątpiewaniem, bo prawda jest niekiedy tak paradoksalna lub tak smutna, że człowiek sam szuka sobie powodów do powątpiewania. I jest w tym podobny - że uogólnimy, zachowując w każdej sytuacji należyte proporcje - do pewnego księżulka z prowincji Pataz. Był to kapłan pokorny i wielu rzeczy nieświadomy, z rodzaju tych pobożnych Indian, którym biskup Risco de Chachapoyas kazał, nauczywszy ich paru słów łacińskich, wygolić tonsurę na głowie, po czym wysłał ich w świat - w tym wypadku światem były góry w północnej części Peru - aby rozprawiali się z obelżywymi herezjami.

III. Jak to było z Łatą

Mateo Tampu, Indianin o ciemnej skórze i krzepkich mięśniach, szybki w chodzeniu, zjawił się pewnego dnia przed chatą swego teścia. Na nogach i rękach miał jeszcze ziemię z pól.

- Potrzeba mi pieska, ojciec.

Simon Robles, siedzący na przyzbie, przez chwilę mlaskał językiem, smakując słodycz koki, po czym powiedział to, czego należało się spodziewać:

- Ano to go sobie weź.

Mateo poszedł do zagrody i wziął jednego z gromadki szczeniaków, które spały na stercie słomy czekając powrotu przybranych matek. Już mówiliśmy, że wśród nich były Gnat i Skórka. Były jeszcze za małe, żeby biec za stadem.

Potem Juana zapytała:

- A jak tam Martina?

- Już wydobrzała.

Szczeniak zaczął się kręcić i skomleć. Wtedy Mateo uwięził go w swojej sakwie, zaszywając jedną jej część wokół ciepłego i pulsującego ciała, tak że na wierzchu została tylko głowa.

- Ano to już pójde - powiedział, kiedy skończył szycie i zarzucił sobie swego więźnia na plecy. Piesek spoglądał z wysoka przestraszonymi i pełnymi zdumienia ślepiami.

- Zostań jeszcze - zapraszał Simon.

- Zostań, zjesz coniebądź - dodała Juana.

- Nie mogę, robota się pali - powiedział Mateo.

To on się palił do roboty. Miał opinię bardzo pracowitego. Na jego porządnie utrzymanych polach zawsze były dobre zbiory.

- Już pójde, bądźcie zdrowi - rzekł na koniec.

I szybkim krokiem ruszył w drogę. Jego więzień był naprawdę zdziwiony wielkością świata i rozglądał się, usiłując coś niecoś zrozumieć. Przedtem, prócz Antuki, Zamba i swych małych braci - bo jak wiemy, Wańkę od nich zabrano - widział tylko owce. Jego horyzontem była czarniawa ścianka zagrody sklecona z trawy powtykanej między długie różgi, które z kolei były przymocowane do solidnych słupków. Teraz miał przed sobą pełną nierówności, wielobarwną i rozległą przestrzeń. Dal mieniła się fioletem i niebieskością, aż wydawało się, że sama ona posuwa się naprzód i ginie gdzieś w przepastnych wąwozach. Mały chciał zaskomleć, bo niepokoił go ten marsz w nieznaną, ale wobec tych niespodziewanych odkryć silniejsze było onieśmienie, więc siedział cicho, skupiony i uważny. Rzeka spadająca kaskadą z gór nappełniła zgiełkiem jego uszy, po czym ukazała mu białobłękitny zamęt swej jasnej wody. Mężczyzna wszedł w nią zdecydowanym krokiem i sforsował rzekę, zanurzony się po pas. Piesek, znalazłszy się na drugim brzegu, wyczuł, że człowiek jest silny, i nabrał zaufania. Pozbył się strachu i nawet wystawił łepkę ze „strażnicy”, to znaczy wysunął go ponad ramię Matea. Przymknął oczy i na pół drzemiąc słuchał człapania skórzanych łapci na kamieniach ścieżki. Nagle potężny szum kazał mu podnieść głowę. Ogromny czarny ptak unosił się w powietrzu.

- A pójdziesz, kondorze, precz stąd! - krzyknął Mateo.

Piesek chciał zaszczekać, bo już to potrafił i chętnie dołączał swój cienki głos do chóru innych psów, odpowiadających człowiekowi, Ale teraz był ściśnięty w worku, brzuch i szyję miał unieruchomione w niewygodnej pozycji, więc wbrew sobie musiał zachować milczenie.

W końcu dotarli do miejsca, które mały obserwator uznał za ostatnie wzniesienie. Nie było już tutaj urwistych wąwozów. Ziemia otwierała się przed nimi, ciągnąc się w niezmierzonej odległości ku dalekim horyzontom. Szeroki i długi był świat!

W pewnej chwili niosący psa człowiek przystanął i położył go na ziemi, po czym sam usiadł obok. Z drugiej części sakwy wyjął zawiniątko. Rozwiązał jedną płachtę i wyciągnął matę, a z drugiej wonne ziemniaki, przyżółcone papryką. Mężczyzna wypluł kulkę koki i zaczął jeść wielkimi kęsami. Podzielił się podwieczorkiem ze swym towarzyszem i oczyściwszy ziemniak z papryki wetknął go w mały i wilgotny pyszczek.

- Zdrożonyś? Jedz, psino... Jeszcze trochę i dojdziemy, jeszcze trochę... No jedz, jedz. I zażartował:

- Dzisiaj ziemniaczek, ale jutro dostaniesz dobre mięsko, popijesz cziczą... Zobacysz, piesku, jak se posmakujesz...

Pies go nie rozumiał, a to i lepiej. Gdyby rozumiał, może by i uwierzył, a potem gorzko się rozczarował. Bo jego codzienną strawą - kiedy w ogóle jadł - miała do końca życia pozostać mielona kukurydza, albo też shinte, powszechne tu pożywienie, które jest po prostu wodnistą zupą

z pszenicy, chleba świętojańskiego i bobu; ziemniaki trafiają się w tej potrawie niczym samotne wyspy. Ale pies, jak wszystkie stworzenia jego rasy, a i sami jego panowie, nie był łakomy i potrafił pogodnie zadowolić się tym, co miał.

Przyszli do chaty razem z zapadającą nocą. Piesek usłyszał głosy ludzkie i beczenie owiec. Potem poczuł, że ktoś rozpruwa szwy jego więzienia i nareszcie umieszcza go w pobliżu czegoś miękkiego o dobrze znanej woni. Był znowu pośród stada. Znużony wtulił swój krótki tułów w przyjazną miękkość runa i usnął.

* * *

Damian, malec, który co dzień zaglądał do zagrody, był jego najlepszym przyjacielem.

- Patrzcie no, jaki z niego brat Łata - powiedziała kiedyś Martina.

- Łata, Łata - powtórzył Damian swym dziecięcym głosikiem.

I wtedy nadali mu to imię.

Można powiedzieć, że pies i chłopiec rośli razem. I razem też wyszli pewnego dnia paść bydło, zastępując w tej pracy Martinę. Co prawda nie oddalili się bardzo od domu.

Czas mijał. Trzoda, z początku niewielka, powiększała się.

Damian rósł jak na drożdżach. Łata stał się silny i piękny. Brzuch Martiny wydał na świat drugie dziecko. Mateo znaczył na ziemi żyzne bruzdy. Na polach wszystko dobrze się rozwijało.

* * *

Pewnego dnia szafirowe niebo zaświeciło w oczach Martiny dwiema błękitnymi szybkami. Tak można by pomyśleć, ale naprawdę chodzi po prostu o to, że Martina długo płakała. Płakała aż do chwili, kiedy usłyszała własny płacz, i wtedy powiedziała:

- Już więcej nie będę.

I zboląła usiadła w drzwiach chaty, przędąc powoli, a w jej uszy wpadał lekki oddech dziecka śpiącego na jej plecach i koci pomruk wrzeczona, które kręciła osłabłymi i zmęczonymi palcami.

Nagle wydało jej się, że w kądzieli widzi twarz Matea Tampu, ale kiedy się dobrze przyjrzała, dostrzegła niezliczone nici tworzące biały kłęb wełny. Przetarła oczy.

Zabrali Matea, który tak zręcznie umiał powodować łaciatymi wołami przy orce. Tyle razy orał już pola! Dom stał pośród tych pól, otoczony dorodnymi, obfitymi łanami o żywych barwach przypominających świeżo utkane sukno, jak gdyby były pasami na spódnicy: fioletowa quinoa, zielona kukurydza, żółta pszenica, ciemny bób. Ziemniaki wypuszczały pędy wyżej, na pagórkach bardziej wystawionych na chłód.

Wszystko szłoby tak dobrze jak dawniej, gdyby on tu był. O Święta Panienko, kto to wie, może już nie wróci!

Wreszcie przyszedł Damian pędząc owce, Łata skakał i czekał, ale nie tak jak w inne dni. Coś przeczuwał i też był smutny. Damian miał usta fioletowe od jeżyn. Zawołała go i przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Mojaż ty pociecho!

Powolnymi ruchami przepasała siedmiolatka w talii o zarysującym się już, typowym dla indiańskich dzieci, przedwcześnie wystającym brzuchu, po czym włożyła mu nowe ponczo, które zrobiła dla niego specjalnie na nadchodzące święto.

- Oj, piękne, mamó! - mówi chłopiec patrząc na tę krzykliwość barw.

Ale ona nie dostrzega jego rozradowania. Dała mu ponczo, bo w święto nie pójdą na zabawę. Matea nie ma, a dom, pola i bydło wymagają coraz większego starania. Poza tym, na zabawie mógłby ją kto wziąć do tańca i ludzie zaraz by gadali... a kto wie, może on wróci. Musi wrócić. Jedni wracali, drudzy nie, ale Mateo należy do tych, co wracają. Gdyby tak...

Martina czuje, jak jej serce rozpiera nadzieja. Może nawet marzy patrząc na zacierający się w ciemnościach horyzont. Ale te coraz gęstsze ciemności wrywają ją z marzeń i zawraca w stronę paleniska.

Ogień trzaska i pulsuje pośród nocy, a wokół zapalają się inne, odległe iskierki. Jak gdyby światła zaczęły gawędzić ze sobą poprzez gęsty mrok puny*, co legł w pofalowanych górskich kotlinach.

* Puna - półpustynna wyżyna śródandyjska.

Martina i Damian jedzą słuchając beczenia owiec i dają Łacie resztki posiłku, a jest tego dzisiaj sporo, bo tykwa, z której jada Mateo, nie została tym razem napelniona. Indianka jeszcze bardziej odczuwa nieobecność męża, przejawiającą się w tych drobnych rzeczach: nie tknięte przybory Matea; rzucona przy drzwiach motyka, którą dopiero ona podniosła; powieszony na ścianie zbytkowny biały kapelusz, którego już nikt nie włoży; pług, co odpoczywa pod okapem i którego nikt teraz nie będzie używał; łóżko, które dla niej, samotnej, będzie tak żałośnie duże...

Przychodzi jej na myśl, że powinna wyjaśnić synowi, co się stało, ale nie wie, jak mu to powiedzieć, więc milczy. Milczenie staje się napięte, bo Damian patrzy na nią pytającymi oczami. Nagle oboje wybuchają płaczem. Jest to płacz ochryply i urywany, ponury i głuchy, ale łączy ich, wiąże ze sobą.

- Twój tatko... zabrali twojego tatkę! - wybucha w końcu ona.

Nie zdołała wymówić nic poza tym i siedzi tak bez ruchu, jak posąg. On z trudem coś pojmuje i też milknie. „Zabrali go!” Gaszą ogień i wchodzą do chaty, w ciemność, ku trzeszczącemu łóżku. Mały trochę popłakał. Owce beczwały. A potem nad łańcuchem gór zapadła

niezmierzona cisza, pełna przerażającego spokoju, bezgłośna i straszna. Ale jeszcze głębsze jest milczenie człowieka. To maleńkie milczenie matki i syna jest równie ciężkie jak tamto, liczące sobie czterysta lat.

Łata, który bezskutecznie węszył na prowadzącej w dół ścieżce oczekując przybycia swego pana, zaczyna wyć. Posyła swą skargę krętą drogą ku rzece, ku dolinom i jeszcze dalej... Dokąd? Któż to wie dokąd!

* * *

A rzecz miała się tak, że Matea zabrali do wojska. Ani Damian, ani Łata tego nie rozumieją. Nawet Martina nie bardzo pojmuje, o co tu chodzi.

Tego dnia żandarmi spadli na niego zniemacka, kiedy troskliwie i z miłością okopywał na polu bujnie rosnącą kukurydzę. Pochylony nad bruzdami, z motyką w ręku, zobaczył ich dopiero, kiedy byli całkiem blisko. Gdyby nie to, byłby się gdzieś schował, bo ich nadejście nie wróży nic dobrego: zabierają mężczyzn do aresztu albo rekwirują konie, krowy, owce i nawet kury. Ale Mateo nie mógł już zrobić nic innego jak odłożywszy motykę przywitać ich z kapeluszem w ręku.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, dzień dobry panom...

Żandarmi kluli ostrogami swoje szkapy, które tratowały kukurydzę na polu. Mieli ogromne karabiny i błękitne mundury z zielonymi wypustkami. Nie wdając się z nim w rozmowę spytali, niemal krzyżąc:

- A gdzie twoja książeczka, co?

Mateo nie odpowiedział. Ten z galonami warknął:

- Książeczka służby wojskowej. Nie udawaj, żeś taki niedołęga...

Mateo nie bardzo zrozumiał, ale pamiętał, że przed laty jednego Indianina z pobliskiego stoku zabrali za to samo. Jego zostawili wtedy, bo był za młody, ale teraz najwidoczniej szło o niego. Zdobył się na odpowiedź:

- A może i będzie tam gdzie w chałupie... I ruszył w stronę domu, a za nim tamci dwaj, dla zabawy dając ostrogę koniom, aby skakały po młodych pędach. Mateo kątem oka popatrzył na czynioną przez nich szkodę i ze złości spluwał gęstą, zieloną od koki śliną. Myślał, żeby minawszy grzbiet wzgórza rzucić się biegiem i ukryć w zaroślach wąwozu, ale za plecami usłyszał szcęk odbezpieczanych mauzerów, więc musiał skierować się ku zagrodzie i wejść do swej chaty.

Wyszli we dwoje z Martiną. On zły i milczący. Ona, uniósłszy w górę złożone dłonie, błagając z płaczem:

- Oj, panoczku, nie ma książeczki, skąd mam ją wziąć? Nie zabierajcie go, ojculkowie, bo co będzie z nami? Na te święte rany Pana Naszego, zostawcie go, panie...

Jeden z żandarmów zsiadł z konia i uderzył ją w twarz, aż upadła na ziemię i tak już została zwinięta w kłębek, jęcząc i lamentując. Żandarm wykręcił teraz Mateowi ręce do tyłu i związał mu dłonie. Postronek był ze świńskiej skóry i Mateo syczał z bólu czując, jak wrzyna mu się w ciało. Ten z galonami podjechał do niego i dwa razy smagnął go po twarzy.

- Tak jest, panie kapralu - śmiał się tamten drugi wsiadając na swoją szkapę - niech się nauczy, bydlak jeden, spełniać swoje obowiązki...

Po czym obaj:

- Ruszaj no...

- Idź, a żywo, taki synu...

Martina podniosła się i zdążyła jeszcze narzucić mu ponczo na plecy, bo, rzecz jasna, w polu pracował w samej koszuli. Mateo ruszył przed siebie znużonym krokiem, ale musiał przyspieszyć poganiany przez żandarmów, którzy świstali mu, jak batem, cuglami nad uchem. Posuwali się naprzód w szybkim tempie. Jedno wzgórze, potem następne. Martina weszła na pagórek, aby zobaczyć, jak mąż znika za ostatnim zakrętem. On szedł przodem, w swym fioletowym ponczu i wielkim trzcinowym kapeluszu, a za nim truchtem biegły oba wynędzniałe koniki, na których siedzieli jego prześladowcy z karabinami, już teraz w nikogo nie wycelowanymi, przypasanymi do pochylonych pleców. Powróż ściskający dłonie aresztanta zwisał od siodła żandarma, zadając ból i upokorzenie.

Taki obraz został Martinie w oczach. Od tej chwili ciągle widziała Matea, jak odchodzi związany, bez możliwości powrotu, jak idzie w swym fioletowym ponczu, pilnowany przez żandarmów w niebieskich mundurach. Widziała, jak skracają na drodze i znikają. Fiolet-błękit... fiolet-błękit... aż się rozplynęli. Aż zniknęli w tej niepewności jak w środku nocy.

* * *

I tak oto ich ognisko domowe zostało pozbawione opieki. Nie było już męża, ojca, pana, rolnika pracującego w polu. Martina wykonywała swoją robotę w bolesnym milczeniu; Damian płakał, ilekroć przypominał sobie, co zaszło; Łata, zaraziwszy się smutkiem od swych panów i sam też strapiony, wył ku niezmiernym dalekościom, a pola pokrywały się chwastem.

Nadeszła pora żniw, a Mateo nie wracał.

- Nie zdąży - powiedział Simon, który razem z żoną przyszedł pomóc przy żniwach. - Kiedy kogo zabiorą żandarmi, to nie zdążą... Ja już stary jestem, żeby nie to, mnie też by wzięli.

A Juana pocieszała córkę.

- Już on wróci, musi wrócić...

Ale Martinie serce mówiło, że Mateo jest bardzo daleko.

Do młócki pszenicy zeszli się, zgodnie z obyczajem*, inni chłopci z sąsiedztwa. Potem już we czworo, zdobywszy się na wielki wysiłek, zebrali z pola resztę. Mozolnie wyłuskali ziarno kukurydzy, bobu i quinuy.

* Chodzi tu o tzw. mingę, tzn. obyczaj ochotniczej pracy spełnianej w dni świąteczne.

Takie zajęcia niegdyś były radosne, ale teraz, zwłaszcza dla Martiny, niedużo miały w sobie wesela. Mówiono mało, tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Simon próbował opowiadać dykteryjki, ale zaniechał ich widząc, że nie ma audytorium. Martina ledwo go słuchała, Juana była przygłucha, Damian nie wszystko rozumiał. Tylko Łata popatrywał na starego uważnymi ślepiami.

Rodzice nocami szeptali ze sobą i to nasunęło Martinie myśl, że rozprawiają o czymś nieuniknionym. Denerwowała się.

- Tato, mam, co wam? Powiedzcie mi przecie...

Na to starzy milkli udając, że śpią. Ostry wiatr wciskał się przez szpary w trzciniowych ścianach, niosąc z sobą cały smutek gór. Szarpał okrycia i jęczał przeciągle. Martina obejmowała młodszego synka, który wydawał jej się jeszcze biedniejszy i bardziej bezbronny przez to, że nieświadomy nieszczęścia.

Po kilku dniach rodzice odeszli. Simon powiedział:

- Jak będzie pora, to wam tu przyślę Timotea, żeby zasiał...

Martina patrzyła za nimi, kiedy wolnym krokiem szli wyboistą drogą na przeciwległym zboczu, aż dotarli do ostatniego wierzchołka. Tam przystanęli, pomachali kapeluszami i zniknęli za linią horyzontu.

Chętnie by pobiegła za nimi, aby ich dogonić i razem powędrować dalej, ale tu na miejscu był jej dom i trzoda, i wszystko to, co Mateo chciałby ujrzeć po powrocie, więc została, wpierając się mocno w ziemię, jakby w nią wrastała. Poczula, że Damian chwycił ją za pasek... Jej dzieci! I dom, i bydło, i ziemia. Musiała zostać. Czekać na niego.

Ten wieczór był bardzo smutny. Mrok szybko zatarł kontury dalekich wzgórz, których czepiała się nadzieja Martiny: tamtędy biegły strome ścieżki, którymi musiałby podchodzić Mateo, gdyby wracał.

Noc wysała i zagarnęła dla siebie całe tętniące tu życie. Martina, mimo obecności synów, czuła ciężącą na niej samotność.

* * *

To, co się wydarzyło, tłumaczy nam ów szczególny awans Łaty.

W domu, w którym nie ma mężczyzny, pies czuwa nad wszystkim. I dlatego Łata stał się teraz wyjątkowo ważnym domownikiem. On sam - choć niezbyt jasno - zdawał sobie sprawę, że

ma do spełnienia inną rolę niż dawniej. Nie był tylko nocnym strażnikiem, węszącym w ciemnościach. W dzień był razem z Damianem i owcami, które pasły się w pobliżu chaty. Martina, osamotniona, znajdowała w nim oparcie. Wołała go, kiedy z daleka widziała ludzi: chata stała blisko szosy, którą przechodzili biali mężczyźni. Ona była jeszcze ciągle ładna i młoda. Jej twarz miała dziewczęcą świeżość, której ból nie zdołał zwarzyć. Krągłe piersi i biodra nie ze wszystkim dały się ukryć pod luźną bluzką i grubą bają spódnicy. Kiedy wiatr unosił jej suknię, można było zobaczyć gładkie, śniade nogi, jakby ulepione z ciemnej, połyskującej gliny.

Łata, czując się stróżem domu i jego mieszkańców, nabrał dumy i pewności siebie. Przy najmniejszej okazji warczał i pokazywał ostre kły, a przy tym zawsze czujnie natężał wzrok i słuch. Siedząc na pagórku lub na skale, był niestrudzonym opiekunem całego obejścia. Mimo wszystko jednak i on też tęsknił za gospodarzem i czasem w nocy rozlegało się jego żalose wycie.

IV. Puma w ciemnościach

Noc była czarna. W zagrodzie szczekły psy, ale nie tak jak zawsze, monotonnym i znużonym głosem; w ich jazgocie był jakiś niepokój, zaciętość, powściągana gwałtowność. Tak ujadają, kiedy wywęszą przyniesioną przez wiatr woń pumy i lisa.

- Oho! Czują pumę, ani chybi - zauważył Timoteo.

W sąsiednich zagrodach też nie było ciszy. Noc rozbrzmiewała szczekaniem i nawoływaniem.

Gospodarze okrzykami podnosili na duchu psy i odstraszaali drapieżniki, które być może czaiły się w pobliżu.

- Weź go... weź go... huziaaa...

- Bierz pumę... pumę... pumę...

- Lisa, lisa, lisaaa...

A była to istotnie noc sprzyjająca napadom takich szkodników. Nie zabłysła ani jedna gwiazda. Noc bez nieba, bez przestrzeni, nieprzenikniona dla oczu, zamknięta dla ludzkich kroków, otwarta dla cieni. Kiedyś, dawno temu w taką noc puma skoczyła do zagrody Roblesów. Grzmot rzucił się na nią i ścigał w ucieczce. Skończyło się to zawziętą walką, bo pies wrócił po dłuższej chwili, ziajał i był okrutnie pokaleczony. Na próżno Juana przykładła mu do ran cytrynę z solą i biały rum. Krwawił, krwawił aż do świtu i zdechł. Ale tego samego dnia po południu sępy krążyły nad jednym ze wzgórz i zniżały tam swój lot. Simon poszedł zobaczyć i przekonał się, że Grzmot też miał mocne kły: puma była nieżywa.

To właśnie wtedy postanowił pójść do don Roberta Pomy po dwa szczeniaki. Zambo, Wańka i ich potomstwo, chociaż, jako psy dobrej próby, uczciwie spełniały swoje pasterskie zadania, nie miały jeszcze na swoim koncie krwawych wyczynów, jakkolwiek trzeba dodać, że cztery psie mordy w jednej zagrodzie to wystarczająco dużo, aby żaden szkodnik nie ośmielił się tam zbliżyć. Co prawda psy bez wahania rzucały się w pościg za lisami i pumami, ale drapieżniki, gotowe na wszystko, potrafiły się od nich odsądzić na sporą odległość i w porę schronić się w gęstych zaroślach któregoś z wąwozów. Może niezbyt grzecznie byłoby teraz przemilczać zasługi Shapry. Ten strażnik domu złapał i uśmiercił kiedyś rabusia zagród canchaluco, który włóczył się za kurami. Chytry canchaluco ma zwyczaj owijać swój długi, goły ogon wokół szyi ofiary i ciągnąć ją uciekając pełnym pędem. Tak właśnie zrobił ów nieboszczyk z jedną z kur śpiących w klatce na zapleczu chaty. Ale towarzyszek ofiary podniosły ogromny wrzask, a że i ona sama była ciężka i gdała tak głośno, jak tylko pozwalało jej na to ściśnięte gardło, więc rabuś nie mógł odbiec zbyt daleko i Shapra szybko wpadł na jego trop. Co gorsza, czy raczej na szczęście, kiedy drapieżnik przeskakiwał rów nawadniający, ciężar odebrał mu impet i spadł razem ze swoją zdobyczą w wodę. Tutaj dogonił go Shapra. Walka nie była długa. Dwoma ruchami szczęk pies rozerwał mu gardło. Jakby tego nie było dosyć, nadbiegły pozostałe, żądając swej części łupu, i wkrótce poszarpały na strzępy niefortunnego łowcę kur.

Teraz psy szczekały gniewnie, pałając chęcią walki. Może samo jej pragnienie kazało im węszyć pumy i lisy tam, gdzie były jedynie poruszane wiatrem liście. Nagle jeden po drugim dały susa nad płotem zagrody i pomknęły na przelaj przez pola. Do chaty dolatywał tylko ich daleki jazgot.

- Chodźmy do owczarni - powiedział Simon Robles. - Lis to mądra sztuka. Jak tu się czai gdzie blisko, to już na pewno poczuł, że psy pobiegły dalej, i zaraz się nam podkradnie do bydłatek.

Rzeczywiście, lis jest bardzo chytry. Korzystając z okazji mógł porwać jagnię. Ponieważ nie ma zbyt dużo siły, zabija owce tylko, jeśli napotka którąś z nich zabłąkaną w polu. Porywa zaś wyłącznie jagnięta i kury, bo ich mały ciężar pozwala mu na szybką ucieczkę.

Simon Robles i jego domownicy weszli do zagrody i usiedli na psim legowisku wymoszczonym słomą. Trzoda w nocy to widok niezwykły i wzruszający. W ciemnościach widać tylko oczy. Żółte i nieruchome, błyszczą w mroku. Rzekłbyś, że to płoną setki dziwnych spokojnych światełek. Albo raczej że to resztki żaru pozostałe po jakiejś zdumiewającej pożodze. Gdy ciemność pochłonie biel ich runa, oczy owiec tracą swój zwierzęcy charakter i jarzą się pośród nocy jak baśniowe drogie kamienie. Roblesowie byli przyzwyczajeni do tego, toteż nie

wdając się w żadne komentarze zaczęli pokrzykiwać, aby dać znać o swojej obecności w zagrodzie:

- Bierz lisa, liiisaa, liiisaaa...

Psy szczekały coraz dalej, to tu, to tam. Tak bywa, kiedy nie są całkiem pewne wywęszonego tropu albo kiedy nie udaje im się nic wywęszyć. Simon zwrócił na to uwagę, po czym rzekł:

- Noc potrafi omamić. Nastraszy zwierzę, a i człowieka też. W takiej oćmie to i strach się rodzi, i można zobaczyć takie lisy i pумы, co to ich wcale nie ma.

W ciemności ledwie można było dojrzeć Simona. Ale zapach przeżuwanej przez niego koki i chrobotanie wiszącej na jego kciuku tykwy z wapnem, którym łagodził smak całej prymki, wskazywały, gdzie jest i co robi. Timoteo, który, jako dorastający chłopak, żuł już także owe słodko-gorzkie liście, nie był w nocy zbyt gadatliwy.

- Ano tak, ano tak - dodał i zamilkł nagle na pewno dlatego, że właśnie wkładał do ust drut umoczony w wapnie, po to, by zmiękczyć przeżuwaną kokę, wypychającą mu jeden policzek. Drut jest przymocowany do pokrywki owego naczynia z tykwy. W zetknięciu z wilgotną koką staje się mokry i taki mokry zanurza się z powrotem w tykwie, ta zaś porusza się na palcu i pokrywa drut nową warstwą wapna, które w każdej chwili może powędrować do ust osoby żującej. Indianie i cholos* odpoczywając po pracy siadają rzędem i raczą się koką, leniwie żując jej liście.

* Cholo (z jęz. aymaia - kundel) - Indianin lub Metys nie będący członkiem wspólnoty, który umie się porozumieć z białymi, bywał w mieście, lepiej lub gorzej zna język hiszpański.

Postukiwanie drutu o tykwę, głucho i częste, jest przy tym swego rodzaju muzyką. Koka żądana w dzień ma ponoć zwiększać siły do pracy. W nocy - przynajmniej jeśli chodzi o Simona - wzmagała chęć do rozmowy. Jeśli zaś chodzi o innych, to raczej stają się skupieni i milczący. Bo Simon był co się zowie gawędziarzem. To nie znaczy jednak, że był gadułą. Przeciwnie: potrafił milczeć i zamyślać się głęboko. Ale kiedy w jego piersi wzbierała chęć do gawędy, głos płynął mu z gardła żywiołowo jak rzeka, a każde słowo zajmowało właściwe sobie miejsce i przybierało właściwe brzmienie.

Tym razem bez wątpienia zabierał się do rozpoczęcia jednej ze swych opowieści. Nie bardzo wiedziano, czy uważać je za prawdziwe, czy za bajki. On sam nadawał wszystkim tym historiom pozory prawdy i wyciągał wnioski z każdego przypadku. Teraz, na przykład, jego słuchacze nie potrafiliby powiedzieć, czy tak było powiedziane w Piśmie Świętym, czy też Simon dorzucał tu pewne wydarzenia z własnych doświadczeń.

My zaś, korzystając z tego spotkania, przyjrzyjmy się od stóp do głów Simonowi - który tak często pojawia się w tej książce, że powinniśmy zwrócić nań baczniejszą uwagę - chociaż w tej chwili okrywają go ciemności. Był to cholo o żółtawej skórze, którego indiańskie rysy zostały jakby wygładzone przez dopływ krwi hiszpańskiej w żyłach jego przodków. Toteż kości policzkowe miał niezbyt wystające, a nos dość długi i prosty. Był już stary, bródkę i wąsy miał szpakowate. Pomarszczone i obwisłe powieki nie zdołały ukryć ruchliwości i szelmowskiego błysku brązowych oczu. Ubierał się nasz przyjaciel na sposób regionalny: kapelusz z trzciny, długie ponczo, koszula, ciemne spodnie podtrzymane kolorowym szerokim pasem, skórzane łapcie na nogach. Plecy miał trochę przygarbione, ale nikt by nie powiedział, że to starzec. Wszyscy wiedzieli, jak prężne ma mięśnie, a jego ręce były duże, jak to u człowieka, który orze rozległe połacie ziemi i krzepko trzyma twarde cugle.

Simon słyszał z tego wszystkiego, o czym już tu była mowa: ze swego fletu, bębna, psów i opowieści. Poza tym miał dzieci. Prócz tych, które znamy, jeszcze jedną córkę i dwóch synów, przebywających z dala od rodziców: córka była zameżna tak jak i Martina, a dwaj synowie wciąż wędrowali po górach jako poganiacze bydła. Juana, ma się rozumieć, dorównywała mężowi w żywotności. Starość nie zdołała jeszcze wycisnąć swego piętna na jej szerokich i okrągłych biodrach, pełnych piersiach i kształtnym brzuchu. A że niedaleko pada jabłko od jabłoni - a w tym wypadku były to dwie okazałe jabłonie - synowie też stąpali po świecie silni, ciemnowłosi, ufni, nie bojąc się życia.

Ale wróćmy do tamtej nocy i tamtej chwili.

Simon znowu postukał w tykwę wiszącą na palcu i odezwał się:

- To ja wam teraz opowiem historię o ciemnościach albo lepiej o jednej pumie i różnych jej sprawkach w ciemności. Tylko posłuchajcie... To było wtedy, jak nasz ojciec Adam był w Raju i, jak to wiecie, żył sobie bez żadnej troski. Owocu tam było co niemiara: a to mango, a to chirimoye, a to pomarańcze, paltas i gojawy, i jakie tylko się znalazły na świecie. I zwierzęta też były wszelkiego rodzaju, a wszystkie zgodnie żyły ze sobą, a i z naszym ojcem też. No i patrzajcie, co wyciągnął rękę, to miał, czego mu było trzeba. Ale człek już jest taki, że nigdy się nie nasyci. Tak i nasz ojciec Adam dalej prosić Pana Boga. Nie wiadomo na pewno, czy na początek prosił o kobietę. Wpierw poprosił, żeby nie było nocy. „Panie Boże - powiedział - zabierz od nas ciemność; nie rób nocy, niechby zawsze był tylko dzień.” A Pan Bóg mu na to: „Czemuż to?” A nasz praojciec powiada: „A bo się boję: ani widzę, ani mogę chodzić, i boję się.” I tak mu wtedy Pan Bóg odrzeknie: „Noc ma być do spania, na to ją stworzyłem.” A nasz ojciec Adam rzekł: „Jak nie spocznę w nocy, to zaraz mi się widzi, że mnie napadnie jaki zwierz w tej ciemności.” „Aha - Pan Bóg mu na to - mam cię, bratku, to znaczy, że złe myśli cię nawiedzają.

Ani jedno z moich stworzeń nie przyszło na ten świat po to, żeby napadać na drugie.” „Tak ci jest, Panie Boże, ale w ciemności strach mnie oblatuje: spraw, żeby był tylko dzień, niechby wszystko błyszczało jak samo światło”, prosił nasz ojciec. I wtedy odpowiedział mu Pan Bóg: „Jak zrobiłem, tak i będzie”, bo Pan Bóg nie psuje tego, co raz zrobił. A potem rzekł naszemu ojcu: „Popatrz no”, i pokazał, gdzie ma patrzeć. I nasz ojciec zobaczył ogromniastą pumę, większą niż wszystkie inne, a ona podeszła i ryczała dzikim głosem. I zdało się, że chciała pożreć naszego ojca. Otwierała pysk i szła na niego. Nasz ojciec przestraszył się widząc, jak puma podchodzi. I już była blisko, już go miała złowić, ale Adam patrzy, a tu ona się rozplywa, unosi nad nim i nie robi mu krzywdy, a potem znika. Bo to była puma z tej oćmy. I Pan Bóg mu rzekł: „Ano widzisz, to był tylko cień. Tak to jest w nocy. Nie bój się. Strach robi różności po nocy.” I odszedł nie słuchając więcej naszego ojca. Ale że nasz ojciec też nie potrafił wyrozumieć Pana Boga, to choć i nie musiał, ale się przecież ciągle w nocy bał, a potem zaczęły mu się zwidywać przeróżne zwierzęta. I tak oto my widzimy po nocy diabły, duchy, dusze cierpiące, a także pумы i lisy, i wszelkie paskudztwa. A przeważnie to nic nie jest, ot, cień, jak ta puma, co ją Pan Bóg pokazał naszemu ojcu. Tylko że na tym nie koniec tej gadki. Bo nasz ojciec Adam, że to nie umiał wyrozumieć Pana Boga, wciąż się bał - jakem to już mówił - i prosił Pana i Stwórcę, żeby mu dał kogo do kompanii. I wtedy dopiero powiedział, żeby mu dał żonę: „Panie Boże, każdziutkiemu stworzeniu dałeś towarzyszkę życia, a tylko mnie nie.” I Pan Bóg musiał mu ją dać, boć to była prawda, że wszystkie zwierzęta miały swoje samice, tylko człowiek nie miał. I tak się stało, że kobieta go zgubiła, bo przyszła do niego razem z tym strachem i z nocą...

Psy wróciły zmęczone pościgiem i wyciągnęły się na słomie.

Simon Robles zakończył:

- Teraz to sobie myślę, że to też była taka puma z samego cienia...

Po tych jego słowach wszyscy poszli spać.

V. O tym, jak Gnat zmienił pana

Pewnego wieczoru Vicenta powiedziała do siostry:

- Antuca, jutro i ja się z tobą zabiorę, chcę nazbierać ratanii.

Jest to nieduża góraska roślina, której poskręcany korzeń miele się i w jego wywarze gotuje góralski samodziół, farbując go na fioletowy kolor. Barwnik z tej rośliny jest bardzo powszechny w użyciu, i dlatego w rejonach, gdzie ona występuje, najczęściej widzi się fioletowych poncz i spódnic.

Simon dorzucił:

- Przynieście też pacry. Dam jej bydełku, razem z solą...

Pacra to również mała góraska roślina, ale występuje ona na najwyższych wzniesieniach, tam gdzie już nie chce się pnieć nawet trawa. Kiełkuje na skąpych pasemkach ziemi w skalnych szczelinach, rozkładając i tuląc do kamieni szerokie, mięsiste liście. Górale mielą je i mieszają z solą, dawaną bydłu. Podobno zwierzęta tłuszcją od tego i są bardziej płodne.

Tak więc ów ranek ujrzał obie siostry idące razem za stadem.

Były w dobrym humorze. Wszystko skłaniało do radości. I tu, i tam. Na polach wschodziło zboże. Jaśniało słońce, które dopiero co wyrzało, a jego łagodny blask iskrzył się w kroplach porannej rosy i mrugał na żdźbłach trawy, kiełkującej obficie w wilgotnej ziemi.

Psy szczekały i skakały radośnie. Wańka, wieloródka, matka kilku pokoleń, krążyła wokół Vicenty, swej dawnej pani, oddalając się nagle bez żadnego powodu, aby zaraz wrócić 'w podskokach. To właśnie nazywamy wysiłkiem czysto sportowym. Inne psy, zarażone radosnym podnieceniem Wańki, też harcowały. A biedny Gnat, nie zważając na to, że może sam sobie zaszkodzić, szczekaniem zmuszał do kręcenia się w kółko te owieczki, które odłączyły się od stada. Aż Antuca musiała się wtrącić:

- Gnat! A przestańże szaleć! Po tych słowach skarcony pies powrócił do swej poprzedniej układności.

Przybywszy na miejsce, gdzie szczyty rozstępują się i cofają przed płaskowyżem puny, siostry odwróciły się i spojrzały w dół. Przyjemnie było patrzeć na jaśniejące żywymi kolorami uprawne pola. Szare chaty dymiły pośród wielobarwnych zagonów. Liściasty zagajnik eukaliptusów otaczał dwór na hacjendzie Paucar. Wąwozy znaczyły krajobraz szarozielonymi pasmami lasu, zbiegając ku dolinie rzeki Yana. Mężczyźni i kobiety w kolorowych ubiorach szli żółtymi ścieżkami. Ktoś dosiadał konia przed domem. Pod górę wspinały się z wolna inne białe stada owiec.

Siostry ruszyły dalej, pogadując o tym, że zbiory zapowiadają się dobrze i że będzie dobry rok. Przechodząc przez wierzchołki pokryte czerwonałą ziemią usłyszały krótkie i uparte gwizdy.

- Co to? Psy złapały wiskacze?

- Nie, ona je zwodzi. Psy się rzucają z jednej strony, a wiskacza ucieka drugim końcem nory i dalej pogwizdywać. Psy zostają w miejscu i szczekają przy jamie, a jej już tam nie ma.

- A tak, one tak zawsze - powiedziała Vicenta.

A chętna do śpiewu Antuca zanuciła znaną piosenkę o wiskaczy:

Gdybym był wiskacza, zwodzić bym cię zaczął, pod domem kołując i wciąż pogwizdując.

Tu gwizdnęła zabawnie naśladując świst zwierzątka i zaraz obie - także i dlatego, że miały ochotę się rozweselić - wybuchnęły głośnym śmiechem.

Płaskowyz stawał się coraz bardziej pofałdowany. Zwolniono tempo marszu, a psy, poszczekując coraz zajadlej, wpędziły stado na pastwisko. W górze, nad nimi, niebo było błękitne i białe. Naprzeciwko - czarne szczyty widniały przed nimi jak groźnie wzniesione pięści.

- Ano to pójde za ratanią i za pacrą. Wrócę przed wieczorem...

Antuca została ze swą trzodą; śledziła wzrokiem siostrę, która znikła pośród skał wspinając się na jeden z najdalej widocznych górskich grzbietów.

* * *

Ołowiane chmury piętrzyły się na niebie, a ostry wiatr targał trawą na pastwisku. Psy, na rozkaz Antuki, zaczęły zganiać stado. Zaraz miała nadejść Vicenta. Dopiero co siostra widziała ją, jak schodziła ze zbocza dźwigając spory tobolek. Jej spojrzenie zresztą natknęło się tylko na tę jedną ludzką postać, choć przez cały dzień wpatrywała się w rozległe przestrzenie dookoła. Pancho nie przyszedł. Na pewno zaprowadził swoją trzodę gdzie indziej.

Ale oto nagle w dali pojawili się dwaj jeźdźcy, ich czarne sylwetki zmały żółtą monotonię pastwisk. Galopowali. Za chwilę byli już całkiem blisko. Ich poncza fruwały na wietrze, trzciniowe kapelusze były zsunięte na kark. Przy siodłach mieli karabiny. Jeden z nich, jadący na przedzie, rozwinął powróż, którego zwój przepasywał mu pierś.

Mijając stado jeździec ten zarzucił zręcznie powróż na biednego Gnata, który pierwszy wpadł intruzom w oko. Pies nie zdążył odskoczyć, i pętla lasa owinęła się wokół jego ciała. Kiedy sobie z tego zdał sprawę, już miał jarzmo na szyi. Jeździec przygotował był zawczasu niewielką pętlę i teraz, ledwo dotknęła ona karku zwierzęcia, szybko pociągnął za laso. Powróż z giętkiej, dobrze natłuszczonej skóry zacisnął się i bez oporu przesunął przez lśniące metalowe kółko. Antuca już nadbiegała, by zobaczyć, co się stało. Vicenta zaś, która schodząc ze zbocza ujrzała nadjeżdżających mężczyzn, ukryła się pośród skał. Była bardzo blisko i widziała wszystko jak na dłoni. Wańka i pozostałe psy szczekając rzuciły się ku napastnikom. Żółty pies o gładkiej sierści skoczył w ich obronie. Zaczął warczeć i najwyraźniej zanosilo się na walną bitwę. Biedny Gnat tymczasem dyszał, na próżno szarpiąc powróż. Mężczyzna trzymał go mocną dłonią i uśmiechał się.

- Druh, spokój - wrzasnął drugi jeździec na żółtego psa, który podkuliwszy ogon odsunął się na bezpieczną odległość i przywarł do ziemi.

W tym momencie nadbiegła Antuca.

- Puście go, puście mojego psa! - krzyknęła.

Jeździec z lassem odpowiedział spokojnie:

- A ty cóżeś myślała? Że ja rzucam laso dla zabawy?

- Puśćcie go, panie, a to nie wasz pies - klóciła się Antuca z pobladłą twarzą i błyskiem w oczach.

Vicenta przez cały ten czas nie traciła z oczu ani jednego szczegółu, zerkając z ukrycia. Tak; to był Julian Celedon, a ten drugi to jego brat Blas. Parę lat temu, na zabawie w Saucopampa, dużo tańczyła z Julianem. Był taki jak i dziś: wysoki cholo o żółtawej cerze, orlim nosie i dużych ciemnych oczach. Rzadkie wąsy opadały mu bezładnie na grube wargi. Nie postarzał się od tamtego dnia. Teraz, spokojny i wyprostowany, siedział na swym karym koniu. Spojrzenie miał twarde i pełne energii. I Vicenta przypomniała sobie, że wtedy, w tańcu, Julian przypadł jej do serca i nie oddała mu się tylko dlatego, że tatko nie spuszczał z niej oka. Ten chłopak już wtedy cieszył się złą sławą. I poczuła, jak tamto dawne pogrzebane pragnienie teraz się odradza. Prawie pożałowała, że się przed nim ukryła. Chciała, żeby ją dostrzegli i żeby Julian, po krótkiej walce, posiadał ją na dziko rosnącej szorstkiej i ostrej trawie. Ale przybysze jej nie widzieli. A i ona nie odważyła się wyjść z ukrycia.

- Puśćcie go, na Boga, puśćcie go - błagała Antuca.

Psy, słysząc jej krzyki, warczały na jeźdźców, gotowe w każdej chwili rzucić się na nich. Wańce sierść zjeżyła się na szyi. Jedno słowo Antuki, a psy skoczyłyby na intruzów. Julian, który patrzył na to wszystko z twarzą pełną współczującej łagodności, zdał sobie sprawę z tego, co im grozi, i powiedział do brata:

- A poślij no kulkę tym kundlom...

Blas chwycił karabin, ale Antuca co prędzej odpędziła psy i kazała im być cicho.

- Wiesz, kto ja jestem? - spytał Julian.

- Nie, nie wiem - odparła Antuca zbolalym głosem.

- Julian Celedon - powiedział z dumą i spokojną pewnością siebie.

Antuce krew zastygła w żyłach. Jasne, że słyszała o Celedończykach. Mówiono o nich, że są rozbójnikami. On zaś napawał się przez chwilę efektem swych słów, po czym zapytał:

- A te psy to z hodowli Simona Roblesa?

- Tak.

- Ano właśnie, tegom chciał.

I spojrzął przed siebie, jakby zamierzając ruszać w dalszą drogę. Ale coś sobie przypomniał.

- Jak się wabi?

Antuca się zawahała. Więc naprawdę chcą go zabrać? Biedny Gnat, uwięziony, dyszał z wywieszonym językiem, szarpiąc za powróż.

- Powiedz, jak się wabi, ty głupia... I dziękuj Bogu, zem ci nic nie zrobił, boś jeszcze młódka...

Antuca zadrzała:

- Gnat. Tak się wabi.

- Gnat! - powtórzył Julian patrząc na psa. - Gnat! A to uciészne imię!

I dał ostrogę koniowi. Gnat nie chciał iść, więc Julian ciągnął go za sobą dobry kawałek drogi.

- Przyłóż mu - krzyknął do Blasa.

Ten zaś, aż do tej chwili zajęty trzymaniem na muszce karabinu pozostałych psów, podjechał i smagnął Gnata cugłami. Pies odskoczył w bok i znów wyciągnął się na ziemi. Zawołano Druha, który zbliżył się do Gnata z przyjacielską miną, ale ten warknął piorunując go mętym spojrzeniem zaczerwienionych ślepi, które zaiskrzyły się nagle. Wtedy Julian kazał go chłostać, póki nie wstanie, a gdy i to nie pomogło, ciągnął go dalej. I tak, bijąc i ciągnąc swego więźnia ruszyli przed siebie, aż w końcu Antuca ujrzała, jak znikają za jednym z górskich grzbietów. Dziewczyna, do tej chwili sparaliżowana strachem, zaczęła głośno płakać.

Psy skowyczały patrząc w tę stronę, gdzie zniknęli jeźdźcy.

Vicenta zeszła do nich i widząc rozpacz siostry i psów poczuła, że poprzednio doznane pragnienia gdzieś się ulotniły... Tyle razy trzymała Gnata na kolanach, kiedy był mały! Biedaczek! I starała się pocieszyć Antucę:

- Nie płacz, nie płaczże już... Z następnego miotu będzie piesek dla ciebie...

Antuca nie przestawała szlochać i jęczeć.

- Nie płacz, Antuquita, nie płacz. Weźmiemy pieska i damy mu tak, jak chciałaś: Goździk...

Ale i jej też było żal, i jej też grube łzy toczyły się po policzkach.

VI. Pies rozbójnika

Gnat słuchał wycia swych towarzyszy, a poza tym wydawało mu się, że chwyta uchem płacz Antuki. Tak: płakała i rozpaczała. Jego serce jeńca łomotało w piersi nabrzmiewając tęsknotą i buntem. Coraz bardziej zawzięcie opierał się na drodze, nie chcąc iść. Wleczono go po ziemi, a on miał całe boki obolałe i ubłocone, ale wciąż nie chciał stanąć na czterech łapach. W końcu udało mu się zaczepić o kamienie. Julian zaklął i mruknął:

- Rozwałę ci łeb kulką!

Zatrzymał konia i odwrócił się do brata, który kłusował kawałek za nimi:

- No i co powiesz? Diabeł siedzi w tym ich Gnacie...

A Blas na to:

- Może by z nim po dobremu...

Julian zsiadł z konia i podszedł do Gnata, który patrzył na niego z nienawiścią i urazą. Druh przysiadł w rozsądnej odległości. Mężczyzna schylił się nad Gnatem, który dyszał z trudem i najwyraźniej potrzebował pomocy. Lasso wpijało się w sierść i uciskało mu szyję. Kiedy Julian wyciągnął rękę sięgając do powroza, Gnat wyszczerzył kły; mężczyzna zmienił więc taktykę i przydepnął więźniowi klatkę piersiową, aby go unieruchomić. Potem rozluźnił mu węzeł na szyi i pieszczotliwie poklepał po głowie i grzbiecie.

- No Gnat, piesku, teraz to już i sam pójdziesz. A to nie morduj się tak, zwierzaku, dobrze ci będzie, zobaczysz...

Gnat nadal leżał między kamieniami, ale zaskomlał cicho.

- Widzisz? - powiedział Blas. - Teraz go zostaw. Zobaczysz, sam pobiegnie.

Julian dosiadł konia, po czym lekko pociągnął za powróż.

- Gnat, piesku, a pobiegnij no, bracie...

- Bracie? - zakpił Blas. - To mi gadka, do stworzenia mówisz jak do człeka...

Roześmiali się obaj.

- Ale patrz no, nie idzie - powiedział Julian ciągnąc mocniej. - Zejdź i przyłóż mu, aż się ruszy...

Gnat był w rozpacz. Już nie słyszał wycia innych psów ani płaczu Antuki. Gdy milkły głosy jego prześladowców, na punę spadała cisza i samotność. Ale nie miał zamiaru iść. Niech go ciągną, póki się nie udusi lub nie odzyska wolności. Bo przecież w końcu zbrzydnie im to i go wypuszczą. Tak myślał. Jak widać, nie znał tego człowieka - przywykł do potulnych owieczek, do miękkich dłoni Vicenty i Antuki, i nawet tych kijów, którymi Timoteo czasem zaprowadzał porządek przed korytem ze strawą. Teraz miał poznać mężczyznę - stworzenie uparte i twarde, od którego nie można było oczekiwać niczego, jeśli nie okazywało mu się bezwzględnego posłuszeństwa.

I rzeczywiście, Blas zeskoczył z konia i odwiązał bat do popędzania bydła, który miał przy siodle.

- Dalej no, ruszaj! - powiedział podchodząc do Gnata i potrząsając biczyskiem.

Pies wciąż leżał między kamieniami. Skoro się tak tutaj zapał, to go nie wyciągną ani siłą, ani po dobroci. Chciał tylko, żeby mu rozwiązali powróż. Widok bata nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Nie wiedział, co to znaczy. Razy cugłami, otrzymane przedtem, nie dały mu pojęcia o palącym bólu, jaki zadaje bat.

- Nie ma rady, przyłóż mu - powiedział Julian.

Blas podniósł bat za drewnianą rękojeść i opuszczył go na grzbiet Gnata. Bicz świsnął i trzasnął z hałasem, nieco stłumionym, gdyż dotknął obfitej sierści psa. Rzemienią zmięła opasała

zwierzę palącą jak ogień obręczą, przeszywając je zarazem drzeniem, które jak tysiącami igiełek dotarło do mózgu. Powtórzyło się to raz i drugi, podczas gdy Julian ciągnął za powróż. Gnat poruszył się trochę, a Blas podszedł i wyciągnął go spośród głązów. Pozwolili mu chwilę odpocząć, po czym znów naprężono sznur. Gnat usiłował się opierać: nie wstał z ziemi.

- No dalej, bierz się za niego - rozkazał Julian.

Blas spytał:

- Naznaczyć go?

- A jakże...

Bat uniósł się opisując łuk, zawisnął nad dyszącym psem, skręcił się i podwójnym rzemieniem spadł na jeden z jego pośladek. Otworzyła się tam rana, czerwona jak kwiat. Gnat wydał z siebie przejmujący skowyt.

- Z drugiej strony też? - spytał Blas.

- Nie, nie trza, boby mu robactwo dopiekło. Przyłóż mu jeszcze trochę...

I bat unosił się i spadał na drżące ciało, świszcząc i trzaskając rytmicznie. Gnat czuł, że cały płonie. Wstał na nogi, chcąc uciec, ale zdołał tylko odskoczyć w bok, bo powróż go trzymał. Nie pamiętał o nim, tak był zamroczony. Ale już nie próbował kłaść się z powrotem. Julian pociągnął za łąso, a drugi mężczyzna rozkazał, potrząsając ciemną i giętką żmiją:

- Ruszaj!

I Gnat, pokonany, z bolesną i krwawo opłaconą rezygnacją, dysząc szybko, z piekącymi bokami i rozplamioną głową, pobiegł za koniem. Strużka ciepłej krwi spływała mu z jednej łapy.

Przekonał się, że mężczyzna jest istotą upartą i nieubłaganą.

* * *

Wędrowali tak aż do późnej nocy. Nagle, daleko na górskim grzbiecie, ujrzeli mrugające światło. Julian zatrzymał konia - długi, przenikliwy gwizd przeciął nocny mrok. Po chwili odpowiedział mu podobny gwizd.

- O, tam - powiedział, znów ruszając w drogę.

Mężczyzna w czarnym ponczu wyszedł im naprzeciw razem z psem, który poszczekiwał bez specjalnego przekonania. Rozsiadłali konie przed drzwiami kryjącej się w ciemnościach chaty. Była tam także kobieta - zaraz jęła rozniecać ogień na palenisku - i małe dziecko śpiące na stercie łachmanów. Gnat został przywiązany do jednego ze słupów podtrzymujących słomiany dach, a mężczyźni odeszli z końmi, by po chwili wrócić i usiąść w kącie na ganku. W słabej poświacie czerwonego ognia z paleniska zaczęli pogadywać o tym, jak to sprzedawali bydło, po czym zabrali się do liczenia brzękłych monet.

Kobieta podała cushal z bobu i pszenicy i prażoną kukurydżę w dużych miskach z tykwy. Zziębnięci ludzie chciwie siorbali gorącą strawę, nad którą unosiła się para. Julian wziął część posiłku ze swojej tykwy i zaniósł więźniowi, który otrzymał ponadto od niego kilka chrapliwych, twardych słów i kilka pieszczotliwych klepnięć. Gnat zajadał popędzany głodem, ale ciągle jeszcze z sercem pełnym nienawiści. Gdzieś bardzo głęboko w jego wnętrzu tkwiło postanowienie o tej nienawiści. A raczej można powiedzieć, że nienawiść rozsadzała mu pierś, fioletowa i gorąca, jak krew, co płynie z rany.

Kobieta zgasiła ogień, a mężczyźni pogadali chwilę żując kokę i zaraz ułożyli się do snu. Druh i drugi pies skuliły się u nóg swoich panów. Gnat, samotny, przywiązany do słupa, schował głowę między łapami i pograżył się w smutku wspominając owczą zagrodę i całe swoje dotychczasowe życie. Wańka i inne psy, jego towarzysze, na pewno już śpią na ciepłej słomie, pośród miękkich, wełnistych owiec, a może ujadają w pościgu za jakimś dzikim szkodnikiem. Tuż obok słychać, jak owce powoli, z cichym chrzęstem przeżuwiają paszę, a jutro dzień znów zaświta taki jak zawsze, spokojny i pełen blasku. Ale jemu życie chyba już nie przyniesie takich dni. Mężczyzna jest twardy i nieubłagany, a powróż mocny. Chociaż może i nie, jeśli zacznie go uparcie nadgryzać, trzeć zębami, rozrywać. I powolutku obrócił pysk, dotykając lassa. Jasne, że można je przegryźć. Jego kły zagłębiały się weń całkiem łatwo. Miało jeszcze miły smak skóry i tłuszczu. W końcu jeden rzemyk został przerwany, a pies, z nadzieją w sercu, gryzł dalej, chłostany przez wiatr, oślepiiony ciemnością. Był jednak pewny, że mimo tych ciemności nie zabłądzi w mroku. Że trafi do rodzinnej wsi, do swej owczarni, do stada. Gryzł po cichu, ale nie tak cicho, aby nie dał się słyszeć lekki szmer. Jeden z mężczyzn obrócił się na swym legowisku. A jeśli się obudzi i odkryje jego zamiary? Ale mężczyzna nie poruszył się już więcej i Gnat gryzł dalej, uparcie, i zajadle. Drugi rzemyk puścił. Został tylko jeden z tych trzech, z których skrecono lasso. Gnat czuł już, jak robi się coraz cieńszy w jego pysku, kiedy nagle mężczyzna krzyknął:

- Hej tam, pies gryzie lasso...

Inni obudzili się, a Gnat zamarł bez ruchu, ale jeden z mężczyzn wstał i obmacał powróż.

- A to i prawda, zaraz by przegryzł... Zaczęli kłąć, a gospodarz domu powiedział:

- Wezmę rzemień ze świńskiej skóry...

Poszukał czegoś w stosie piętrzącym się w kącie chaty i po chwili Gnat był już przywiązany do słupa grubym powrozem ze świńskiej skóry, a Julian nie omieszkał jeszcze wymierzyć mu kilku straszliwych razów resztkami poprzedniej smyczy, którą więzień zdążył pogryźć.

Gnat poczuł, że teraz jest naprawdę zgubiony. Ten drugi powróż ranił mu pysk i nie poddawał się zębom. Nie, nie będzie mógł uciec. Może już nigdy. Mężczyzna był nie tylko uparty i bezwzględny, ale prócz tego przezorny. Stado musiało znajdować się teraz bardzo daleko.

Dojmujący smutek wyłobiał bruzdę w jego życiu i pies zapragnął wyrazić swój ból długim i żalonym skowytem. Ale był pokonany i zbyt zmęczony, aby wydać z siebie chociażby jęk skargi. I zapadł w sen, niespokojny sen niewolnika, wypełniony cierpieniem i poczuciem nieszczęścia.

* * *

Wyruszyli w drogę skoro świt.

- Bywaj, Martin.

- Bywajcie, dona Pascuala - powiedzieli. Dokąd ciągnęli? Gnat nigdy nie był w tych stronach. Już wczoraj wędrowali dość długo całkiem nie znanymi ścieżkami, ale teraz wrażenie obcości było coraz bardziej wyraziste, może dlatego, że jego ciało nie płonęło już pod batem. Bolało go jeszcze, ale jego biedna głowa mogła zauważać to wszystko, co napotykali po drodze. Jak zawsze, miał przed oczami szumiące trawy, wielkie złomy skalne i ostre górskie szczyty. Ale mimo całego podobieństwa mijanych okolic do tych, gdzie zwykle pilnował stada, ciągle przecież odczuwał ową wrogość płynącą z obcości, ów smutek, jakim tchnie wszystko to, co nie daje schronienia. Co gorsze, powróż, choć już nie ten sam, bo w nocy zmieniono go na inny, opasywał mu szyję tak jak poprzedniego dnia, a drugi jego koniec dzierżyła dłoń Juliana.

W południe mężczyźni zeskoczyli z koni, żeby się posilić. Usadowili się na ziemi i wyciągnęli z podróźnej sakwy płachtę, w którą owinięty był wielki kawał pieczonego mięsa. Błyszczący nóż pokroił mięso w plastry i kilka z nich dostało się Gnatowi i Druhowi. Ten ostatni zazwyczaj nie zwracał na siebie uwagi biegnąc cicho za koniem Blasa.

Wkrótce potem znowu ruszyli, upartym, równym, niezmordowanym truchtem. Raz i drugi minęli grupy krów lub koni, co odłączyły się od stada, i kierdel owiec, ale przeważnie widzieli przed sobą tylko puste hale.

Gnat poczuł nagle, że zaczyna się męczyć. Że zmęczenie to coś, co wyrasta przed nim wprost z ziemi, z wyboistej dróżki, z ciemnego wgłębienia wydeptanego w zjeżonej płataninie traw. Dyszał coraz gwałtowniej z wywieszonym, ociekającym śliną językiem. Ale droga wpadła teraz w wąwóz i jęła się wic wśród gęstych krzaków. Im niżej się znajdowali, tym obfitsza stawała się roślinność. Naprzeciw widniały wysokie, czerwone skaliste zbocza. Po chwili doleciał ich potężny łoskot rzeki, a kiedy zaczęły opadać pierwsze nocne mgły, podróżni stanęli nad samym jej brzegiem. Było gorąco i Gnatowi nieznośnie ciążyło gęste futro. Konie przepłynęły rzekę, a ludzie wraz z psami przedostali się na drugą stronę łodzią, która leżała pod drzewami tuż przy brzegu. Przeprawiwszy się jechali kawałek, aż stanęli przed chatą. Gnat został przywiązany do palika. Wyglądało na to, że jest mu już na zawsze przeznaczone życie w dręczącej niewoli, na smyczy. I wtedy, mimo znużenia, zawył przeciągle i boleśnie.

- No i czemu krzyczysz? - powiedział Julian.

Wyniósł z chaty kawał suszonego mięsa i rzucił mu go.

Znajdowali się w Canar.

Canar nie przypominało w niczym gniazda kondorów, lecz raczej legowisko pum. Była to głęboka niecka na dnie kamienistego wąwozu, porośnięta gęstym lasem - to bujnym i zielonym aż do rozpasania, to, gdzie indziej, uschniętym i szarym aż do kompletnej martwoty.

Po jednej jej stronie płynęła rzeka Maranon. Odległe wzgórze użyczało swoich śniegów, te zaś topiąc się tworzyły potok, który spadał w dolinę, przeskakiwał niedostępne skalne urwiska, aby zrosić wodą niewielki ogród, i ginął w rzece. Tuż za ogrodem stała licha chałupka z liści i trzciny.

W tym ogrodzie i w tej chacie można było czasem ujrzeć dwóch mężczyzn. W chacie, kiedy siadali rozleniwieni, żując kokę. W ogrodzie, kiedy go uprawiali albo zbierali plony z tych kilku uprawionych zagonów: maniok, banany, kokę, paprykę. Ale nikt nigdy nie widział tych ludzi. Nikt nie przejeżdżał przez Canar.

Maranon, burzliwy i zachłanny, bronił tego miejsca czy też raczej - bronił Celedończyków. Na dobrą sprawę, można tu było sforsować rzekę, tylko po co? Podróżny ujrzałby wtedy maleńką dolinkę w zakolu rzeki, kryjącą się wśród skał. Te zaś, bardzo spadziste i ostre, zagradzały drogę, chociaż wąwóz ciągnął się jeszcze dalej, ku górze, tworząc w wyższej swej części rodzaj przełęczy porośniętej lasem. Przełęcz tę przecinał nagle labirynt stromych skał. Kto przybywał do Canar, wpadał na tę skalną przeszkodę i nie miał przed sobą innego wyjścia, jak rzucić się w niebezpieczne nurty ryczącej rzeki. Nie było to więc miejsce odpowiednie dla spokojnych ludzi, chcących uprawiać swe pola, zwłaszcza że gdzie indziej nad Maranonem - i w górę, i w dół jego biegu - ciągną się doliny rozległe i łatwo dostępne. Ale Julian i Blas Celedon wiedzieli, czemu osiedlili się w tym zakątku. Po jakimś czasie zorientowali się w tym także i inni ludzie, a na koniec przedstawiciele władzy.

Ponura sława otaczała ów mroczny wąwóz, do którego wiodły krwawe tropy. Ludowa gadka ukuła z nazwiska braci jeden wspólny przydomek i słowo „Celedończyk” brzmiało w całej okolicy jak salwa z winczestera.

* * *

Gnat nie został uwolniony ani nazajutrz, ani w ciągu wielu następnych dni.

- Myślisz, że by wrócił? - spytał Julian. A Blas:

- Jakżeby nie. Psy zawsze wracają. A ten, choć i nie pływał nigdy, to da radę przepłynąć cztery rzeki raz za razem... Takie to zawzięte.

Tak więc Julian tym bardziej sprawdził jeszcze węzeł na lassie. A potem zabrał Gnata nad rzekę i nie zdejmując mu jarzma z szyi wykapał go razem z Druhem. Więzień poczuł ogromną

ulgę, bo, jakżeśmy już mówili, jego gęste futro nieznośnie go grzało, zwłaszcza że nie był przyzwyczajony do upału.. Jako mieszkaniec gór, nigdy dotychczas nie zaznał wiecznie gorącego klimatu dolin. Przywiązany do palika rychło spostrzegł, że, jak to powiadają, przyleciała mucha do psiego ucha, a raczej, że kilka takich much, wielkich i błękitnych, krąży nad jego raną. Julian też to zauważył.

- Widzisz? - powiedział do brata. - Nawet tutaj przyleciały za nami, a jakbym przeoczył, to już by mu się zaległo robactwo.

I wylał na skaleczoną łapę psa trochę czarnego, palącego płynu.

Gnat poczuł, że ów człowiek, uparty, bezwzględny i przebiegły, potrafi także być przyjacielem. Przesiadywał przy nim klepiąc go po grzbiecie. Przynosił mu jedzenie w dużej misce, aby jadł razem z Druhem, który istotnie był mu prawdziwym druhem. Jadł z jednej strony, bardzo oględnie, i choć sam na wolności, nie warczał ani w żaden inny sposób nie dokuczał Gnatowi. Julian mówił:

- Niech będą jak bracia. Jak się dwa stowarzyszą, to w potrzebie starczą za czterech.

I on też bez wątpienia szukał sobie takiego brata, bo ile jeszcze miesięcy, ile dni nawet, miał pożyc Blas? Któż to wie. Wśród złodziei bywała prawa są pisane nożem lub strzelbą, te zaś w jednej sekundzie mogą przeciąć nić żywota.

Julian patrzył na Gnata, mierząc go byстрыm i bacznyim spojrzeniem.

- Gnat, piesku...

Ból od razów batem minął. Gnat potłuścił, obficie karmiony suszonym solonym mięsem i maniokiem. Druh zżył się z nim i towarzyszył mu wszędzie, przy czym jeden drugiego przyjaźnie obwąchiwał. Oczy pojmanego psa przywykły do szarozielonej gęstwiny lasu i czerwonej plamy skał. Huk wody i szum liści już był znajomy jego uszom i - jak to bywa, gdy się do czegoś przyzwyczajamy - kołysał go do snu. A człowiek, ten wczorajszy zły człowiek, miał dlań teraz serdeczne ciepło w dłoniach, w oczach i w mowie.

- Gnat, piesku...

I któregoś wieczoru Gnat zrozumiał. Poruszył ogonem. Polizał ręce mężczyzny, niespokojny i wzruszony. Julian co prędzej uwolnił go z powroza. A Gnat zaczął biegać i skakać wokół swego wczorajszego wroga, poszczekując przy tym. Cóż za radość dla obydwu!

- Popatrz, Blas, popatrz no... - wołał Julian.

Gnat skakał na swego pana - bo był to teraz jego pan - a ten klepał go i obsypywał pieszczotliwymi przekleństwami, bo ludzie tego gatunku potrafią ranić i hołubić tymi samymi słowami: różnica tkwi tylko w tonie.

Kiedy mężczyzna i pies do syta uradowali się sobą nawzajem, Gnat z Druhem pobiegły spenetrować dolinę. Przybysz niewiele tu ujrzał. Ogród, dwa konie na maleńkim pastwisku, kaktusy, las po jednej i drugiej stronie, skały i rzeka, zewsząd widoczna rzeka otaczająca ów skrawek ziemi. Ale Gnat napił się czystej wody z tego wąwozu. Od tej więc chwili możemy mu przyznać obywatelstwo Canaru, zakładając, że jest to woda, która przywiązuje do tego miejsca przybysza z obcych stron. Bo trzeba wiedzieć, że w górach północnej części Peru - a tu właśnie rozgrywa się nasza opowieść - w każdym osiedlu można znaleźć wodę o magicznych właściwościach. W Cajamba na przykład jest to woda z małej rzeczki Tacshana. W Huamachuco woda tryskająca ze zbocza Pajaritos. I tak dalej. Przyjezdny, który się jej napije, nie wraca już do swego kraju. Woda przywiązuje go do nowego miejsca.

* * *

Gnat, rzecz oczywista, nie pilnował teraz owiec. Musiał dawać sobie radę z krowami. Jedne były narowiste, inne potulne, ale wszystkie opornie ruszały w drogę i często ich gniew obracał się przeciw szczekającemu psu. Poza tym nie rozumiały języka, do jakiego Gnat był przyzwyczajony. Kiedy szczekał im tuż przy uszach, wpadały w złość. Ale Druh był dobrym nauczycielem i dzięki niemu Gnat odkrył, że krowy mają delikatny pysk i ścięga pod kolanem. Nieprzyuczony praktykant zarobił wiele kopnięć i ciosów rogami, ale szybko wydoskonalił się w trudnej sztuce kąsania bydła po nogach i przytrzymywania pyska, tak żeby uniknąć ogłuszającej odpowiedzi atakowanej krowy. Na ogół jednak szczekając z pewnej odległości potrafił zmusić bydła do marszu, co, jakżeśmy już mówili, nie udawało mu się, kiedy podchodził blisko. Wtedy bowiem rozzłoszczona krowa zatrzymywała się mierząc weń rogami i przez dłuższy czas nie ustawała w ataku. Julian i Blas wtrącali się w takich okazjach wymachując batem i łając psa za to, że opóźnia marsz. Ale Gnat w końcu całkiem jasno zdawał sobie sprawę, co powinien robić, i stado szybko posuwało się naprzód. Ciągle się spieszyli.

A była to ciężka harówka. Wyruszali z Cafiar nocą kierując się ku zagrodom dla bydła. Przeważnie docierali na miejsce o świcie, ale bardzo często po dwóch dniach marszu. Odłączając część stada od reszty działali we wczesnych godzinach przed świtem albo w nocy, przy świetle księżyca, aby ujść czujności strażników i szpiegów, których hacjenderzy rozsyłali po wszystkich swoich posiadłościach. Rozdzielenie stada krów jest zadaniem trudnym i kłopotliwym. Te, które wprowadzono, raz po raz uciekają, aby połączyć się z pozostawionymi w zagrodzie. Czasem, rzecz jasna, można było zebrać wszystkie, ale zwykle cała operacja polegała na oderwaniu od reszty dziesięciu lub dwunastu sztuk. Wielkie stado porusza się powoli, a Celedończykom zależało przede wszystkim na szybkości. Dlatego uformowawszy trzodę wędrowali dzień i noc, póki nie przybyli do miejsca, gdzie przekazywali ją innym. Szli zagubionymi wśród gór ścieżkami, w

ciemnościach, w ulewie i wichurze, bo ciągle, bez przestanku, trzeba było gnać bydło naprzód. Gnat cierpiał z początku, ale później przywykł do tego życia. Serce biło mu radośnie, kiedy biegł za niespokojnymi krowami, to chłostany deszczem, to w pieszczocie gwiazdnej poświaty, to w ostrych jak nóż podmuchach wiatru, pod osłoną mroku... I przyjemnie było wyciągnąć się obok Juliana, czuć jego ciepło, pewność siebie i siłę i czuwać, z bacznie nastawionymi uszami. Jego pan miał niewielu przyjaciół. Prócz Martina, w którego chacie spędził pierwszą noc po porwaniu, Gnat poznał Cantosa Baca, Venancia Camposa i jeszcze trzech lub czterech rozsianych po płaskowyżu. Niektórzy spośród nich pracowali jako repunteros w hacjendach i przymykali oko na niejedną sprawkę, a poza tym, w razie potrzeby, potrafili też wyciągnąć strzelbę ukrytą pod kocami na pryczy i przyłączyć się do Celedończyków. Gnat poznał także Elisę ładną Indianeczkę z Sarun, która mieszkała u wylotu głównej ulicy, w biało-czerwonym domu otoczonym opuncjami o mięsistych błękitnawych liściach. Tam przychodził czasem Julian, gdy zapadała noc. Elisa witała go pod żywoplotem. Gawędzili półgłosem, a Julian w ciemnościach otrzymywał należną mu porcję czułości. Gnat pilnował drogi, trzymając w zębach uzdę konia. Ten zaś kiwał głową zmęczony czekaniem, bo jeździec wracał dopiero o świcie.

Pewnego razu Gnat zobaczył z daleka swoje dawne stado. Tam była Antuca, psy, owce, to wszystko, co niegdyś było jego życiem i co później przyprawiało go o wielogodzinne ataki tęsknoty. Zatrzymał się niezdecydowany i patrzył na powoli drepczącą trzodę. Biec ku niej? Iść za Julianem? Jego pan przystanął z boku, obserwując psa. Po czym zawołał:

- Gnat, piesku...

Pies odwrócił głowę do pana. Tu były jego oczy, twarde i tkliwe. I urozmaicone życie, pełne przygód, zuchwałe i szybko płynące; noc, niebezpieczeństwo i śmierć.

- Gnat, piesku...

I z wolna, poddając się gwałtownemu naciskowi przemocy, pies zawrócił do Juliana. W ten sposób został przesądzony jego los.

Gnat był dobrym kompanem i wiernym strażnikiem. Służył swemu panu nie tylko przy zaganianiu stada. Wielekroć ratował mu życie.

Pewnego razu, ukrywszy trzodę między złomami skał na wyżynie, czekali na dwóch mężczyzn, którzy mieli przyjąć po bydło. Noc była ciemna, nie na tyle jednak, by zupełnie okryć mrokiem białe łaty na krowich bokach, zarysy głazów i garbatą linię Andów. Świszczał wiatr, i przenikliwy chłód wciskał się pod poncza. Julian i Blas ulokowali się w sporej odległości od siebie, aby nie dać rozproszyć się bydłu, toteż ledwo się nawzajem widzieli. Usiadłszy wśród kęp trawy, z winczesterami w dłoniach, wstawali tylko wtedy, kiedy któraś krowa próbowała uciec. Psy, u boku panów, patrzyły w dal, a konie, z puszczonej luźno cugłami, skubały twardą trawę.

Nagle Gnat się zaniepokoił. Warknął i postawił uszy. Ale nic nie można było dojrzeć. Julian, prawdę rzekłszy, też był niespokojny. Instynktem człowieka, którego życie nieustannie wisi na włosku, przeczuwał niebezpieczeństwo. Zresztą wiele pamiętał. Wspominał właśnie swoje życie. Ta ziemia z pewnością dawała niewiele, a hacjender kazał bardzo dużo pracować. I oto ta chwila - wyraźna, czerwona, rozjarzona wściekłością i błyskiem noża. To wtedy dziedzic powiedział: „Ty indiański złodzieju”, i puścił w ruch bat, a on, Julian, wyciągnął sztylet i przebił go nim. Sztylet wszedł miękko aż po rękojeść, a dziedzic upadł brocząc krwią. On zaś, mógłby przysiąc na Świętą Panienkę, w owych czasach nie był jeszcze złodziejem. Bywało, że walczył z kimś na noże i rozlał cudzą krew, ale złodziejem nie był. Potem, ścigany przez władze, musiał zdobywać to, co niezbędne do życia. Blas zjawił się pewnego dnia u Martina, w którego domu był Julian:

- Wiesz ty, żem się wywinął żołnierzom? Przyszli do chałupy po ciebie, a mnie złapali. „Gadaj, ty psie, ty kundlu, gdzie on jest.” A com ja miał powiedzieć jakem sam nie wiedział. To oni mnie batem. „Gadaj, ty bydlaku.” I znowu batem. Przyszła noc, a że oni się spili, bo wychlali całą cziczę, co ją matka zrobiła na święto, to i dałem radę uciec. I tak żem cię szukał, aż Venancio mi powiedział, no i jestem: Będę z tobą. Jak bym wrócił do domu, to mnie wsadzą do więzienia. Gadali, że ja też kradłem bydło.

I tak to Blas się z nim stowarzyszył. W jakiś czas później postanowili uciec do Canar. Jedynym, co dobre, była Elisa. W życiu biedaka zawsze trafi się okruch szczęścia, który ma kobiece imię. Julian myślał o Elisie czując, jak tęsknota dławi go w gardle. Nie móc jej widzieć co dzień!

Nagle Gnat szcękając rzucił się przed siebie. Druh pognał za nim. W samą porę, bo jeszcze chwila, a bracia padliby pod kulami. Napastnicy, odkryci, otworzyli ogień. Zamigotał płomień wystrzału. Celedończycy wskoczyli na konie, a noc grzmiała i błyskała za ich plecami. Kula zraniła jedną z krów, a ta użaliła się rycząc drżącym i chrapliwym głosem. Reszta stada, ogarnięta paniką, rozbiegła się we wszystkie strony. Celedończycy pognali zwierzęta pomiędzy rozpadliny i wykroty, aby utrudnić pościg, a jednocześnie odpowiedzieli nieprzyjaciołom strzałami. Psy już znowu były obok swych panów. Mężczyźni popuścili cugle i dali koniom ostrogę. Kopyta zadudniły i przez wiele godzin były tak w bęben mroku. Promienny świt wstał ponad galopującymi i wtedy się zatrzymali. Wokół nie widać było nikogo.

- To był Chytrus...

- Pewnie, że on...

- A podlec! Jak go kiedy dopadnę...

Druh miał bok osmalony od bliskiego wystrzału.

A dodajmy teraz, że zatarg między Celedończykami a Chytrusem, podporucznikiem żandarmerii, trwał już od dłuższego czasu, i to na całej linii.

Kiedy indziej podszedł on aż pod sam Canar. Przyjechał nocą. Szczekanie Gnata i Druha obudziło Celedończyków, którzy schronili się w wąwozie. Podporucznik poczekał, aż wstanie dzień, aby lepiej rozeznac się w terenie, ale widząc gęste zarośla nie odważył się tam wkroczyć. I on, i jego ludzie staliby się łatwą zdobyczą zaczajonych w zasadzce rozbójników. Ku ostatecznej klęsce żandarmów, jacyś dwaj mężczyźni otworzyli do nich ogień z przeciwległego zbocza. Jednym z tych dwóch był yencio Campos - mieszkał on na wyżynie i mógł dosłyszeć przedłużony echem odgłos strzałów w Canar. Celedończycy, którzy już dawniej się z nim sprzymierzyli, posłali wrogom kilka kul i zaczęli uciekać. Chytrus musiał odejść, tak jak przyszedł, pod osłoną nocnych ciemności. Nie znaczy to, że Venancio i jego prawa ręka zostali wyprowadzeni w pole. Pozwolili żandarmom odejść, bo zależało im tylko na uratowaniu przyjaciół. Ale Julian wkrótce potem zemścił się za to wykurzenie ich do wąwozu. Wkroczył do stolicy prowincji w biały dzień, w pełnym blasku słońca, i wychylił kieliszek pisco w sklepie don Mamerta leżącym naprzeciw budynku podprefektury, gdzie mieścił się także posterunek żandarmerii. Julian wyszedł ze sklepu, w którym biedny don Mamerto tak osłupiał, że aż odebrało mu mowę, spokojnie wsiadł na konia, wystrzelił cztery kule w stronę posterunku żandarmerii i odjechał. Kiedy Chytrus i jego ludzie wybiegli waląc z mauzerów, Julian był już daleko i trudno było go dosięgnąć strzałami. Tyle tylko, że pukanina zwiększyła jeszcze efekt tego wypadu. W miasteczku nie lubiano podporucznika, toteż - wzgardliwie lekceważąc okoliczności łagodzące, jak zaskoczenie i brak koni gotowych do pościgu - wyśmiano go i uznano za skończonego głupca. Był to główny powód, dla którego Chytrus poprzysiągł zemstę na Celedończykach i nie przepuszczał okazji, by ich prześladować. Wszedł w ugodę z hacjenderami i obsadził drogi i pastwiska swoimi ludźmi, posłanymi tam na przespiegi. Nie dało to wiele. Noc, strach, śmierć i brzęcząca moneta są dobrymi współnikami.

Nie musimy nawet dodawać, że w wyprawie do stolicy prowincji Gnat był razem z Julianem. Biegł za nim, pośród huku strzałów i świstu kul. Już teraz się ich nie bał, chociaż za pierwszym razem ogromnie się przestraszył słysząc detonacje. Było to wtedy, gdy Julian stanął nagle twarzą w twarz z człowiekiem z hacjendy Llata, który uchodził za bardzo dzielnego. Rozpoznawszy się, obaj rzucili się na ziemię. Otworzyli ogień, a Gnat umknął, przerażony hukiem. Po chwili zrobiło się cicho i usłyszał głos Juliana, który go wołał. Markotny, z podwiniętym ogonem, pies zbliżył się do pana. Ten zaś zaprowadził go do tamtego drugiego. Był sztywny, zalany krwią, nieruchomy. Julianowi krew ciekła z ramienia, więc rozerwał koszulę zabitego i strzępem płótna zabandażował ramię. Potem wziął strzelbę, którą ścisnął w garści

tamten, dosiadł konia i szybkim truchtem, z ramieniem skulonym tuż przy piersi, ruszył dalej w drogę. Gnat ciągle jeszcze słyszał huk strzałów, a w oczach miał krew zabitego - bolało go to jak rana. Ale wkrótce przywykł. Słyszał potem strzały mnóstwo razy i wielokrotnie widział mężczyzn, którzy padali, by się więcej nie podnieść. Julian Celedon dobrze celował. Ale krewni zabitych stawali się jego straszliwymi wrogami.

Ostatnio ktoś odkrył jego wizyty u Elisy. Oto kiedyś, jak zwykle nocą, mężczyzna, koń i pies przybyli pod dom otoczony opuncjami. Dziewczyna nie przywitała go jak zwykle pod żywopłotem, tylko powiedziała:

- Matki nie ma. Wyszła czuwać przy nieboszczyku. Wejdźże...

Zatonęli w miękkim łożu, pośród koców i owczych skór. Kochali się. Nagle w ciemnościach zabrzmiał głos kobiety:

- Nic żeś nie poczuł?

- Nie.

- Będę miała dziecko.

Twarde dłonie dotknęły jej brzucha, był ciepły, wypukły, miękki. Tak: był wzdęty, chciałoby się powiedzieć, że pulsował. I te nieokrzesane ręce, które dzierżyły śmiercionośny winczester albo chłuszczący bat poganiacza znieruchomiały na płodnym kobiecym łonie - czułe, łagodne i pełne spokojnego szczęścia. A noc nie mogła widzieć pięknej i szlachetnej twarzy mężczyzny. Jakby nigdy nie kradł ani nikogo nie zabił, i żaden zły czyn nie zaciążył na jego życiu. Miał w sobie spokój i dziecięcą pogodę. Obok niego leżała piękna brzemienna Indianka, a strzelba, zdawało się, zniknęła... Ale oto nagle przypomniał sobie o niej, chwyciły ją dłonie podobne do łap drapieżnika, dłonie jak obcęgi, to ona, a nie kobieta, była teraz upragniona i objęta uściskiem. Bo na dworze Gnat ujadął wściekle. Ktoś walił w drzwi i chciał je wyważyć. Julian zdołał wyjść małymi drzwiczkami przez kuchnię i zniknął wśród nocy, przy czym jedna z kul świsnęła mu nad głową. Krótco był sam: Gnat go zaraz dogonił. Mężczyzna, ze strzelbą w rękach, szedł przełęczą, póki nie znalazł się na wyżynie. Obok niego, dysząc, biegł pies. Stracili konia, ale byli wolni i to im wystarczało.

O świcie Julian przystanął na drodze. Miał ze sobą psa i strzelbę, oto był cały jego dobytek. Pozbawiono go - już był tego pewny - Elisy i dziecka. Ach, prawda, miał też kokę - kokę, która rozprasza smutek! Wyjął z kieszeni spodni woreczek z koką i żuł cmokając językiem.

- Gnat, piesku, żeby nie ty, to by otoczyli dom i już by mnie złowili...

Minęło kilka godzin i wreszcie w dali pojawił się jeździec. Mężczyzna i zwierzę ukryli się za skałami. Jeździec zbliżał się, nie przeczuwając niczego. Kiedy był już całkiem niedaleko,

można było usłyszeć, jak gwizdże. Jego koń kary z gwiazdą na czole, był to piękny wierzchowiec o wdzięcznej sylwetce.

- Ej, przyjacielu, zejźdź no z konika - krzyknął Julian wyskakując na drogę i celując ze strzelby.

Koń zatrzymał się nagle. Jego pan pobladł i wahał się jeszcze, bardziej dlatego, że był zбитy z tropu, niż z chęci opierania się napastnikowi.

- Zejdzże, panie, nie słyszałeś, com rzekł? - powtórzył Julian.

Mężczyzna dygocąc zsiadł z konia. Julian wskoczył na karego i rzucając obrabowanemu jego podróżną sakwę przytroczoną do siodła, powiedział:

- A weź swoją sakiewkę; ja nie rabuję takich rzeczy... Tylko ponczo... co to, to i owszem, nie widzisz, że mi zabrali moje?

I ruszył galopem.

W taki oto sposób bez większego trudu zdobył nowego konia, jako że ten, kto nic sobie nie robi z powszechnie obowiązujących praw, jest jednocześnie i panem tego świata, i jego niewolnikiem.

Po tej przygodzie Celedończycy zrozumieli, że są pilnie śledzeni, i postanowili zawsze trzymać się razem.

- Jak zły los przyciśnie, to dwaj starczą za czterech.

Ale tak naprawdę to ich starczyłoby za ośmiu, bo przecież były z nimi ich dwa psy. I tak oto mieli ciągnąć swój żywot Julian i Gnat, Blas i Druh, borykając się z niepowodzeniami, to w dobrym, to w złym losie, ze strzelbą w ręku, mając uszy i oczy zawsze otwarte - ile jeszcze miesięcy, ile dni?

VII. Salomonowa rada

Nic z tego, o czym mówiły córki Roblesa w pamiętnym dniu porwania Gnata, nie sprawdziło się. Rok był zły. A wiemy, że w języku rolników zły rok to taki, w którym nie ma obfitych zbiorów. Trzeba wtedy zacisnąć pasa, i stąd też wzięło się porzekadło o kimś, kto się najadł: „Ciesz się jak ten, co w złym roku brzuch napęlił.”

Tego roku, kiedy zdarzyło się to, o czym tu opowiadamy, deszcze ustały całkiem nagle i w najlepszym dla pól okresie było zbyt sucho. Nie brakowało łysin na obsianych zboczach ani słomy bez kłosów w żółtej okrągłości stogów. Wieśniacy patrzyli w niebo, błękitne i bezlitosne, i myśleli o ziarnie do przyszłych zasiewów i o tym, jak doczekają do następnych żniw. Toteż jedzenie wydzielano w skąpych porcjach.

Nie spełniła się również obietnica, jaką Vicenta dała Antuce przyrzekając jej pieska o imieniu Goździk. Simon powiedział:

- Nie ma ich czym karmić, a drudzy też ich nie zechcą, bo nie mają...

I kiedy Wańka się oszczeniła, jeszcze tej samej nocy wziął małe i wrzucił je w największą wodną głębię w pobliskim wąwozie. Ich matka długo skowyczała nad nieubłaganym lustrem ciemnej wody.

Tak więc z powodu suszy życie stało się ponure. I ludzie, i psy, odczuli boleśnie utratę Gnata - jakże mogłoby być inaczej! - ale ta nawałnica blasków i cieni, jaką jest czas, wkrótce ściągnęła na nich jeszcze większe troski. Krótko mówiąc, piękne jest, mimo wszystko, życie człowieka i życie psa; ale jeśli się ma co jeść. Jak sobie radzą Roblesowie i inni wieśniacy, którym nie starcza żywności, żeby napęłnić żołądek? Ano, przeklinają, obwiązują się mocno wielobarwnym pasem i kręcą się jak głupcy po wyjałowionych suszą półkach. Przedtem takie rzeczy się nie zdarzały. Przyzwyczajeni do niezawodnego daru deszczów, nie myśleli o uprawianiu terenów, które można by sztucznie nawodnić. A poza tym strumienie miały teraz o wiele mniej wody i płynęła ona w głębi, na samym dnie wąwozów.

- A jak tam u Marty? - spytał pewnego razu Simon zwracając się do Timotea.

- Tam też wszystko przepadło - odparł syn. - A jeszcze do tego teraz tam jest jej szwagierka, co to się pokłóciła ze swoim. Siedzi u nich i nie chce wracać do siebie.

Mimo tak ciekawego tematu rozmowa się urwała. Właśnie siedzieli przy wieczerzy i widzieli jasno, że wkrótce skończy się pszenica, którą jeszcze mieli w miskach. Dawno już zabili ostatnią kurę. Słońce kryło się za dalekimi wierzchołkami gór, a pałające ogniem niebo rzucało płomieniste blaski na pola z więdnącymi zbożami. Ani Juana, ani jej córki nie odezwały się słowem, chociaż przyniesiona przez Timotea wiadomość prosiła się o wyjaśnienie.

- Weź no, Timoteo, nie siedź tak jak ten smutny kogut - powiedział w końcu Simon, podrzucając synowi swój woreczek z koką.

Obaj wzięli po dużej prymce. Zmrok już zapadał, ale głównie w palenisku mieniły się jeszcze przedwieczornymi barwami.

Więc Simon podjął rozmowę, czy to aby ulżyć swej gawędziarskiej chęćce, czy też pragnąc po prostu przerwać to smutne milczenie wywołane okolicznościami, za które nie ponosił winy, ale które przygnębiały go bardzo, gdyż przywykł mieć w swoim domu pełne spiżarnie i ludzi o pełnych brzuchach.

- To powiadasz, że się pokłóciła ze swoim? Ot, głupi, ot, durny chłop - powiedział.

Czekał chwilę, aby ktoś go zapytał, czemu uważa tamtego za głupca, i podjął:

- Kiedyś, dawno temu, był jeden człek, co miał za żonę wdowę po innym. No i popatrzcie, jak to ta wdowa umiała dopiec biedakowi. Niech tylko jej coś nie przypadnie do smaku, zaraz wspomina swego nieboszczyka i płacze, i zawodzi: „Ojoj, ojoj, zły jesteś, a mój umarły mąż taki był dobry, ojoj, ojoj.” Biedak wychodził z siebie, żeby jej dogodzić, ale zawsze nieboszczyk był lepszy. A to jeszcze nie wszystko. Bo żona, jak popłakała, to potem mówiła: „Już ja pójde, już sobie pójde od ciebie.” A on prosił ją i zaklinał, słodki był jak miód, aż w końcu z nim zostawała. I tak zawsze. Nie było już życia dla tego biedaka. Aż pewnego dnia wpadło mu do głowy, żeby pójść do króla Salomona i prosić o radę. Bo król Salomon to był mądry, ale to strasznie mądry pan. Potrafił widzieć z daleka i nie było takiej rzeczy, której by nie wiedział. A przyszedłszy do króla, ów człek mu się uzałił na to wszystko, co wycierpiał. I król tak mu gada: „Ja ci powiem, żeś głupi.” A człek na to: „I czemuż to, Wasza Mość?” (Bo do króla trzeba mówić „Wasza Mość”.) A król mu wytłumaczył i tak poradził: „Głupiś, bo nie wiesz tego, co wie każdy poganiacz. Idź i usiądź przy drodze, tam gdzie się ona z drugą krzyżuje. Przyjdzie tam człowiek z osłem. Słuchaj, co powie do osła, i zrób, co powie.” Po tych słowach króla nasz biedak poszedł, gdzie król mu kazał, i siedział sobie na kamieniach, aż tu patrzy, jedzie jakiś, na osle jedzie. A jak przyjechali do rozstaju, to jeździec chciał w jedną stronę, a osioł w drugą. Musiał jeździec zsiąść z osła i ciągnąć go tam, gdzie mu było trza, ale kiedy znów na niego wskoczył, osioł zawracał i ruszał w drugą stronę. Wtedy jeździec zsiadł i złapał za kij...

- Aha - wtrąciła Juana. - Jużem to kiedyś słyszała. Nie ucz Timotea takich bezceństw...

- Cichaj, kobieto, miejże ździebko wstydu - odparł mąż. - Nie mieszaj się w męskie sprawy.

I ciągnął dalej:

- Złapał za kij, dosiadł osła, a kiedy osioł chciał iść nie tą drogą, zaraz mu świsnął kijem po uszach i jeszcze dołożył raz i drugi... I osiołek wtedy ruszył, gdzie mu kazano, a jeździec tak powiada: „Na osła i na babę jeden kij poradzi.” Widząc to i słysząc, nasz biedak też pojął coś niecoś, chwycił za kijaszek i wraca do domu. A w domu żona znów zaczyna swoją śpiewkę: „Ojoj, ojoj, a gdzieżeś to chodził? Samiutką mnie zostawiasz. Mój nieboszczyk taki nie był. On to był dobry (i to, i tamto, i owo, wszystko u niego dobre było), ojoj, ojoj.” Kiedy już dość miała tej piosenki wyskoczyła z drugą: „To już ja pójde, to już sobie pójde od ciebie.” Wtenczas chłop jak na nią nie krzyknie: „Pójdiesz sobie, powiadasz?” I dalejże ją kijem raz i drugi... A tak mu to ducha dodało, że już sam ze siebie jej rzekł: „A idźże sobie, jak tak chcesz.” I znowu kijaszkiem, raz i drugi... Na to kobieta dalejże upraszać: „Już nie, już nie pójde, tylko mnie nie bij.” A chłop dołożył jej jeszcze raz i drugi, i tak ją zostawił. No i tyle. Kobieta już więcej nie zawodziła bez powodu ani nie gadała, że nieboszczyk był lepszy, ani nie chciała sobie iść... Dobrze powiadają, że król Salomon to był wielki mędrzec...

Dziewczęta zachichotały, Timoteo przytaknął, a Juana zmarszczyła się, ale tylko dlatego, że tak jej wypadło. Dobry nastrój powrócił. Aby mu nadać bardziej konkretne wymiary, Simon rozkazał:

- Timoteo, jutro zabijesz owieczkę...

VIII. Pole kukurydzy

Niedokarmione psy? To prawda, psy nie mogły ani opowiadać, ani słuchać opowieści. Nie było owiec do pilnowania, ale nie było i mięsa do jedzenia. Po skąpym posiłku, w którym z rzadka tylko pojawiały się kości, skowyczały długo i włóczyły się po polach, na darmo tracąc siły.

Ale dla niektórych, dla tych najsprytniejszych, wyprawy takie nie były bezowocne. Dwór w Paucar, położony, jakśmy to już mówili, w kotlinie, otaczały zielone łąny lucerny i inne uprawne zagony, a wśród nich było też i pole kukurydzy. Dla nawodnienia lucerny specjalna zaporą zatrzymywała wodę z wąwozu; teraz służyła ona także i innym zasiewom, no i oczywiście kukurydzy.

Za nic sobie mając żar płynący z czystego nieba, rośliny na polach dziedzica puszyły się dumnie, napojone wodą obmywającą ich korzenie, i zachwycaly zielonością, która pośród ogólnej kłęski wyglądała wręcz wyzywająco. Zwłaszcza kukurydza, wysoka, mocna i szumiąca jak las, otwierała ku słońcu swe żółtawe pióropusze i liście o radośnie zielonej barwie. Na jej łodygach tkwiły parami pęczniejące swym brzemieniem kolby.

Po ten właśnie przysmak przybiegały tu psy.

I pewnej nocy, kiedy Wańka i Shapra myszkowały poza domem, zobaczyły pędzące najwyraźniej w ściśle określonym kierunku dwa psy, Manolię i Pioruna. Znały je dobrze. Zwłaszcza Shapra. On, Zambo i Skórka, zwykle tyranizujące całą okolicę, zapominały o dzielącej je wrogości, kiedy Manolia - która należała, jak i Piorun, do pewnego tutejszego człowieka - zaczynała wydzielać zapach podniecający i burzący im krew. Wtedy zawierały pokój, a Manolia była potulna i łagodna. Kiedy indziej tyrany gryzły i przepędzały każdego psa, który wszedł im w drogę, z wyjątkiem Rafflesa i całej podstępnej psiarni ze dworu. Teraz Shapra widział, że dokąś śpieszyły, również pokojowo nastawione, bo nie był to dla nich wojenny okres. Ale Wańka, której wiedza brała się raczej z podeszłego wieku niż z psiego instynktu, szybko spostrzegła, że Manolia i Piorun nie tylko biegły w jakimś określonym celu, ale ponadto miały wygląd całkiem sytych. I jedno, i drugie dawało do myślenia. Należało ruszyć za nimi. I trzymając się ich tropów psy Roblesów dotarli razem z nimi na kukurydziane pole. Shapra nie odstępował Manolii, ale bynajmniej nie z powodu romansowych zapędów. Cała grupka ukradkiem posuwała się wśród zagonów kukurydzy. Liście szeleściły nad głowami. Manolia przystanęła nagle i jednym susem

skoczywszy na łądę kukurydzy złamała ją. Pazurami i zębami oderwała kolbę i pożarła ją chciwie. Shapra postanowił zrobić to samo i jego zabiegi zostały uwieńczone pełnym sukcesem. Tak samo postąpiła Wańka, która o parę kroków dalej otrzymała podobną lekcję od Pioruna. Ziarno, które niedawno zdążyło zawiązać się na kolbie, było miękkie, słodkie i miało smak mleka. Nasyciły się nim.

Nazajutrz Zambo i Skórka, których oczom nie uszła pełna zadowolenia sytość towarzyszy, też dołączyły do gromadki rabusiów. Ostrożnie poczekały, aż Manolia i Piorun pobiegną naprzód, a potem ruszyły za nimi, było bowiem oczywiste, że to one są głównymi bohaterami całej wyprawy, a Wańka i jej pobratymcy nie wyzbyły się jeszcze obaw właściwych początkującym. Poza tym poprzedniej nocy, kiedy obżerały się ziarnem, do ich uszu dochodziło bliskie i ostre szczekanie psów-bandytów ze dworu.

Na kukurydziane pole, dobrze chronione gęstym żywopłotem z jeżyn i kaktusów, wchodziło się przez tak zwane dziurawe wrota. Mówią tak tutaj na bramę składającą się z dwóch wkopanych w ziemię słupów, na których, wsunięte w wyżłobione na jednakowej wysokości otwory, opierają się belki poprzeczne. Człowiek otwiera przejście dla siebie i bydła odsuwając te belki. Psy, rzecz jasna, przechodziły swobodnie pod najniższą poprzeczką. Musiały tylko trochę się skulić.

Tej nocy jednak nozdrza Wanki podrażniła unosząca się w pobliżu bramy mocna woń człowieka. Był to zapach don Romulo Mendeza, zatrudnionego we dworze. Suka знаła go dobrze. Inne psy też zwróciły nań uwagę.

Manolia, która aż do tej chwili biegła dumnie na czele gromady, przystanęła przed wrotami. Bo, na domiar złego, wyglądały one trochę inaczej niż zwykle. Pod dolną belką znajdował się ukryty w trawie sznur, a z boku, przy jednym ze słupów, wznosił się skośnie duży drąg z przywiązany doń ogromnym kamieniem. Ślepią psów, nawykłe do ciemności, widziały wszystko doskonale. Oto znowu jakiś dziwny i podejrzany wymysł człowieka. I ów całkiem jeszcze świeży zapach don Romulo Mendera. Wańka pamiętała wysokiego, kanciastego mężczyznę z czarnymi wąsami.

Chwilę stały niezdecydowane. Po czym Piorun się odważył. Podpełznął pod dolną belkę i przedostając się na drugą stronę ruszył powrozem. Drąg opadł gwałtownie i całym swym ciężarem przygniół Pioruna. Biedak wydał z siebie ostry skowyt, a jego towarzysze uciekli w panicznym strachu. Ale potem zapadła cisza, więc psy wróciły z wolna, stąpając miękko i ostrożnie. Pod wrotami leżał, przygnieciony i nieruchomy, nieszczęsny Piorun. A więc stał się ofiarą tego wynalazku człowieka. Czy mają wejść na pole? Owładnęła nimi niepewność. Czas mijał w tym pełnym przerażenia niepokojem. Usiłowały przeniknąć nocne mroki wyęzając wzrok i słuch, i nie zauważyły nic szczególnego. Skoro drąg opadł, było rzeczą oczywistą, że sam się już nie

podniesie. Więc to było wszystko, co się miało stać. A tymczasem tam, za ogrodzeniem, pyszniły się bujne łany kukurydzy pełne kolb o słodkim i soczystym ziarnie.

Shapra, najzuchwalszy, przeszedł na tamtą stronę i śmiało zapuścił się w gąszcz łądyg.

Inne psy nabrały ducha i poszły za nim. A na polu kukurydzianym najgorsze jest to, że jeśli sami się poruszamy, to nie słyszymy cudzych kroków. Chrząst liści jest tak donośny i ostry, że zagłusza każdy inny odgłos, byle trochę dalszy. Toteż psy zdały sobie sprawę z obecności człowieka dopiero wtedy, gdy znalazł się on tuż przy nich. Rozległ się huk wystrzału, błysnął ogień. Głos Shapry rozdarł nocną ciemność. Nie było czasu do stracenia. Dalej, do bramy! Przy bramie stał drugi mężczyzna i też celował do nich z huczącej i błyskającej płomieniami rury. Czy to Manolia zaniósł się teraz skowytem? Mężczyźni ciągle strzelali, a psy nie ustawały w ucieczce. Zatrzymały się dopiero we własnej zagrodzie, na własnym legowisku ze słomy. Wtedy zaczęły znów szczekać gniewne i zarazem przestraszone. Wielkie psiska ze dworu, podrażnione hałasem, też dołączyły do chóru swoje basowe głosy.

Spokój zapanował w końcu na polach osnutych mrokiem, ale w zagrodzie Roblesów psy niecierpliwie czekały świtu. Dzienny blask nie przyprowadził z powrotem Shapry. Ale ukazał jego zewłok, w dolinie: czarny, ze zjeżoną sierścią, znieruchomiał pod żywoplotem na polu kukurydzy. Obok leżała też biedna Manolia, po raz ostatni pyszniąca się swymi biało-brązowymi łatami, i Piorun, który stał się już tylko strzępem żółtawego futra. Sępy krążyły nad nimi.

Pozostałe, ocalawszy po tej wyprawie, nigdy już nie wróciły na dworskie pole. Życie toczyło się dalej, jałowe i wstrzemięźliwe.

W głosach wyjących psów, które użalały się nad nieobecnymi towarzyszami i własnym pustym żołądkiem, brzmiał teraz jeszcze większy smutek.

IX. Papaje

Zastępca prefekta policji na całą prowincję, don Fernan Friasy Cortes i tak dalej, i tak dalej, obudził się pewnego rana w kwaśnym humorze. Poprzedniego wieczora dotarły do niego z Limy bardzo złe wiatry - to znaczy listy od jego protektorów. Całą noc trapił go niepokój z powodu tej fali niepomysłnych nowin, a świt zastał go z otwartymi z bezsenności oczyma i zmierzwionym włosiem.

O wczesnej godzinie poszedł do swego biura. Nie odpowiadał na ukłony Indian, których spotkał po drodze i którzy zwracali się doń z czołobitnym i pokornym „ojczulku”. Mamrotał krótko: „Won!”, i szedł przed siebie, nie widząc ich. Gdyby nie był tak zafrasowany, porozpędzałby ich kopniakami. Bo don Fernan należał do tego rodzaju bezużytecznych zarozumialców, jakich razem z innymi dobrymi i obrotnymi ludźmi wydaje z siebie całymi

setkami Lima i których właśnie ona, stolica państwa, rozsyła po prowincjach, aby uwolnić się od głupoty urzędników, nieustannie domagających się jakiegoś zajęcia. Oczywiście ich przeznaczeniem nie może być nic innego jak łatwa biurokracja w podprefekturach i ściąganie podatków, a skoro już się znajdują na prowincji, usiłują wszelkimi sposobami „ciągnąć pieniądze”, aby potem wrócić do Limy, roztrwonić je na wytworne ubrania i na burdele, a następnie zakrzętnąć się wokół nowej posady. Skutkiem tego prowincjusze uważają, że wszyscy limańczycy to intryganci i darmozjady o miódopłynnym języku i wytwornych manierach maskujących ostre i długie pazury - ba, nie tylko tak uważają, ale ponadto, kierując się także i innymi racjami, nieustannie snują plany wyrzucenia ich z powrotem do stolicy.

Teraz pojmiemy łatwo przyczynę złego humoru don Fernana: jego przeciwnicy robili skuteczne i daleko sięgające zabiegi, toteż upragnione przez wielu stanowisko zastępcy prefekta było mocno zagrożone. Musiał zatem czymś się zasłużyć, aby wykazać przydatność swych usług.

Co robić? Odesłał już do Limy wszystkich „wywrotowych” Metysów, jacy mu się nawinęli pod rękę, a wielu z nich, zanim jeszcze wytoczono im sprawę o to ostatnie przewinienie, popełniło ciężkie przestępstwo wypisując na ścianach nazwisko kandydata opozycji. Wysłał także pokąźną ilość deklaracji opowiadających się - a podpisanych przez całe miasteczko, pod groźbą kary więzienia dla tego, kto nie podpisze - za „naszym wybawcą, rządem republiki, na którego czele stoi pan, panie prezydencie, nasz genialny przywódca”, etc.

Dorzućmy przy okazji, że nie warto tutaj dochodzić prawdy i zastanawiać się, który z dwóch czy trzech utalentowanych prezydentów Peru mógł być przedmiotem takich peanów. Do krótkiej listy geniuszy, jakich dała nam ludzkość, należałoby dołączyć bardzo długą listę peruwiańskich prezydentów. Wszystkich ich ocenił w ten sposób - z przymusu czy ze służalczości - naród, który nazajutrz po ich upadku gotów bezlitośnie ich oczernić. Jedni, jak Leguia, z chytrym i sardonycznym uśmiechem pozwalali nazywać się geniuszami, ale zachęcali tym do pochlebstw i ugodowości; inni uwierzyli w swoją wielkość, toteż rola, jaką odegrali, była śmieszna lub dramatyczna.

Cóż jednak robić? Nad tym medytował don Fernan w pewien jasny andyjski poranek, kiedy ciepłe słońce rzucało blaski na nierówne kamieniste uliczki, przy których tłoczyły się domy o żółtych ścianach i czerwonych dachach. Na rynku kościół wznosił swoje dwie zuchwałe wieże, gdzie rozbrzmiewały splekane dzwony, a podprefektura pyszniła się piętrowym budynkiem o białej fasadzie i balkonie z balustradą.

Co robić? Zastępca prefekta siedział w swoim gabinecie za stołem zawalonym papierami i spoglądał na wszystko z góry - z podwójnej wysokości: swego stanowiska i piętra budynku. Przez chronione zardzewiałą kratą okno patrzył na rynek porośnięty trawą i przecinającą go żółtawą

ścieżkę. Naprzeciwko don Mamerto już otworzył sklep i stojąc w drzwiach wypinał okazały brzuch i z rozbawieniem obserwował kilka wynędzniałych, chudych świń, które chrząkały i rozgrzebywały ryjami ziemię. Dwie czarne sylwetki okutanych w szale dewotek przecięły plac i zostały połknięte przez bezzębne usta świątyni, po czym wszystko pograżyło się w bezruchu, jak zwykle. Tylko opasły don Mamerto i beżpańskie świnię. „Co za nędza, te zapadłe mięciny!”, burknął zastępcę prefekta. I aby rozproszyć zły nastrój, zaaplikował sobie dwa kieliszki dobrej stołecznej wódki. Ale utrata stanowiska nie była rzeczą pożądaną. W każdą niedzielę Indianie i cholos zapełniali miasteczko i skargi sypały się obficie. Od skargi do skargi, od grzywny do grzywny, dopełniającej jego „pensyjke”, don Fernan zebrał sobie niezłą sumkę, którą pragnął powiększyć przed powrotem do Limy. Gdyby nie to, nie warto było się poświęcać! A poza tym, jeśli do czterdziestego roku życia nie zdołał, jak to mówią, wyjść na swoje, to musi teraz zadbać o zapewnienie sobie przyszłości.

Co robić? Skryta dusza don Fernana dyszała w okowach tego pytania jak uwięzione w klatce zwierzę, kiedy nagle chuda i długa postać podporucznika Chumpi, przezywanego Chytrusem, pojawiła się na rogu zmierzając ku podprefekturze. W oczach don Fernana rozjarzyła się błyskawica, jakby wpadł mu do głowy jakiś szczęśliwy pomysł, a usta rozciągnęły się w uśmiechu pod równo przyciętym czarnym wąsem.

- Melduję się na rozkaz, panie prefekcie - powiedział zaszalutowawszy jak zwykle podporucznik Chumpi, ledwo mieszcząc się w drzwiach gabinetu.

W odpowiedzi zdumiony podporucznik nie usłyszał jednak jak zwykle: „Nic nowego... Niech pan wejdzie, łykniemy sobie.”

- Panie podporuczniku - rzekł don Fernan - myślę, że dosyć tego zbijania bąków...

- Ależ panie prefekcie!...

- Tak jest - głos zwierzchnika brzmiał poważnie. - Skończmy z tym warcholstwem, przyjacielu... Niech pan wejdzie, mam panu coś do powiedzenia...

Podporucznik wszedł, dzwoniąc podkutymi butami. Zastępcę prefekta wstał:

- Krótko mówiąc, pojedzie pan do Canar i sprowadzi mi tutaj Celedończyków, żywych albo martwych. Zrozumiano? Żywych albo martwych...

Kanciasta, pszenicznej barwy twarz Chumpiego jakby jeszcze bardziej stwardniała. Po krótkiej chwili jego prosty wąsik drgnął, gdy podporucznik odezwał się ochryplym głosem:

- Sprowadzę ich, panie prefekcie... Zastępcę prefekta zstąpił teraz z wyżyn swej władzy i godności. Stanął ramię w ramię z Chumpim. Poklepał go po mocnych barach. Ten zaś, korzystając z tej chwili serdeczności, podsunął:

- Ale trzeba będzie poprosić prefekturę o posiłki. Także czterech żandarmów...

Don Fernan się zdziwił.

- No, mój przyjacielu. Jakże to! Przecież prefektura musi ścigać wywrotowców. Cały rząd się tym trapi... Nikogo by nam nie przysłali... Ale, tak między nami, ja wiem, kto mi miesza szyki... Moi przyjaciele. I jeśli oni zatryumfują, każemy podpisywać deklaracyjkę... A jakże, podporuczniku, nie ustąpię tak łatwo... Jeszcze przez jakiś czas ten oto pański sługa będzie tutaj razem z panem...

I dorzucił:

- Ale co do Celedończyków, to pan, mój drogi Chumpi, może mieć wszystko w garści... A ja poinformuję władze, że trzeba panu dać awans...

Rozmowa przybrała zwrot nieco ryzykowny. Chumpi nieufnie podchodził do obietnicy awansu i nawet za nią nie podziękował. Przeciwnie, ściągnął usta krzywiąc się pogardliwie. Don Fernan poczuł się nagle bezsilny. A jeśli Chumpi wyruszy, jak to już bywało, i wróci z niczym? Biała twarz zastępcy prefekta, która na tych wysokościach nabrała lekkich rumieńców, przybladła teraz. Mimo wszystko w dalszym ciągu uważnie patrzył w szare oczy Metysa Chumpiego, ten zaś, wysoki, dobrze zbudowany, stał skrzyżowawszy ramiona. Mógłby go zmiażdżyć jednym ciosem ogromnej łapy, która spoczywała na bicepsie drugiej ukazując grubą stalową obrączkę - niezwykle skuteczny amulet. Ale oczy Chumpiego, unikając wzroku zwierzchnika, zaczęły błędzić po papierach piętrzących się na stole. Don Fernan uśmiechnął się. Nabrawszy otuchy, uciekł się, jako limańczyk biegły w szermowaniu pochlebstwem, do jednej ze swych chytrych sztuczek.

- Widzę, podporuczniku, że mi pan nie ufa. Ale może pan być pewny, że schwywanie albo zabicie Celedończyków nie pozostanie bez echa... Odezwie się prasa... Walna bitwa, co?... Jak pan myśli?... Daję tu moje słowo... Bo honor i obowiązek przede wszystkim...

Chumpi pomyślał chwilę. Niezdolny do przeciwstawienia się czy choćby do rozważenia tych wszystkich słów, powiedział po prostu:

- Za to mi płacę, żebym się uganiał za tymi zbójami... No dobra, to już ja ich tu sprowadzę.

Don Fernanowi wydało się, że oto wschodzi słońce po jednej z tych górskich burz, które tak mu się dawały we znaki. Zatrzymał wzrok na butelce i obejmując Chumpiego przez plecy podprowadził go do stołu i zaproponował:

- No to wypijemy kieliszeczek dla lepszego samopoczucia. Coś zimno dzisiaj, nieprawda?...

Niejedyn kieliszeczek rozgrzał tego dnia pierś zastępcy prefekta i podporucznika. Zwierzchnik uznał za stosowne pożartować trochę i postawić kropkę nad i:

- Bo widzi pan, podporuczniku, ludzie tutaj gadają: Chytrus nic nie robi... Celedończycy mu znikają sprzed nosa... Ten Chytrus to już do końca życia będzie za podporucznika, bo go nie stać na nic więcej... I Chytrus taki, Chytrus owaki, wszyscy nim sobie gęby wycierają. Wszyscy! No

ale ja tak myślę, że ten Chytrus, jak się weźmie do roboty, to za jednym zamachem poradzi sobie i z Celedończykami, i z tymi wszystkimi, co plotkują...

I obaj, zbratani jedną myślą, zanieśli się śmiechem.

- Już pan zobaczy, don Fernan, jak ja kiedy tych plotkarzy przyprowadzę tutaj... I nie puszczę, aż zapłacą grzywnę...

- Tak jest, podporuczniku, trzeba ich ukarać; ale przede wszystkim Celedończyków, prawda? Żywych albo martwych...

- A jakże, żywych albo martwych... Przygotuję ludzi i za dwa dni ruszam... Pójdę aż do Canar, teraz już mi się nie wyślizną...

Pili dalej. Nie wystarczyła jedna butelka, posłali po więcej. Podporucznik zszedł ze schodów trzymając się poręczy. Zataczał się, przystawał co dwa, co trzy stopnie i wybuchał gromkim śmiechem. „To tak? Chytrus taki, Chytrus owaki, no nie? Ha, ha, ha!”

W tym śmiechu dźwięczało okrucieństwo i uraza. Toczył się po schodach i odbijał echem w krętej uliczce. „Ha, ha, ha...” Na bruku kładły się czyste i wesołe słoneczne błyski. Ale ten śmiech wszystko zasnuł cieniem. Znano go w miasteczku. Na jego dźwięk jakaś starucha wyszła na próg, pociągnęła nosem i zaraz gwałtownie zatrasnęła drzwi. Krętym, pełnym słońca wąwozem ulicy niosło się dygocące echo: „Ha, ha, ha...”

* * *

Na trzeci dzień rano stolica prowincji oglądała wyjazd oddziału podporucznika Chumpiego, który dosiadał dzielnego, ognistego kasztana. Okoliczni hacjenderzy nie szczędzili pomocy, toteż wszystkie konie były dobre. Na nich - w błękitnych mundurach z zielonymi wypustkami - pochylali się żandarmi o śniadych twarzach, a na ich czołach czerniły się równo rozczesane na boki włosy wymykające się spod staroświeckich kepi z podniszczonymi daszkami. Błyszczące lufy mauzerów przewieszonych przez ramię celowały we wschodzące słońce.

- Chytrus jeszcze bardziej się nadyma na tym kasztanku...

- A bo pewnie; wszyscy dziedzice się przyłożyli, żeby tylko skończyć z Celedończykami...

- A jużci! Tych to nawet haczyk nie złowi!

Tak to pogadywali ludzie na widok kawalkady, która z tętentem podkutych kopyt rwała przed siebie.

- A to nie wiecie? - mamrotał pewien szewc szczerząc zepsute zęby. - Wczoraj wieczór Chytrus był w aptece i coś kupował...

- Arnikę, na okłady...

- Nie, bracie, walerianę, na nerwy... Rozległ się śmiech.

Tylko Chytrus wiedział, co kupił. Pogadał z aptekarzem na zapleczu sklepu, po czym tamten wręczył mu paczuszkę, którą podporucznik szybko schował pod swą zniszczoną zielonkawą peleryną. Teraz, wzdurliwy i wyniosły, pewny swych jeździeckich umiejętności, ściągał cugle, by zmusić kasztanka do uniesienia głowy, a jednocześnie lekko ścisnął go ostrogami. Jego wierzchowiec, na czele oddziału, toczył pianę i harcował na całą szerokość ulicy. Jadący za nim żandarmi, niezbyt przyzwyczajeni do koni tej klasy, szarpali cugle tak gwałtownie, że zwierzęta natychmiast stawały w miejscu, albo też tak mocno kłuli je ostrogami, że nagle skakały do przodu. Ludzie śmiali się.

- Trzymajcie je, jak trzeba, niedołągi... - fukał od czasu do czasu Chumpi oglądając się na swych podkomendnych.

Ale pociechę stanowiła dlań własna zręczność w manewrowaniu koniem.

Jego kasztan - typowy peruwiański koń wywodzący się od araba - szedł dziarsko naprzód, to na czele, to z boku, posłuszny wędzidłu, ostrogom i łydkom jeźdźca.

Znalazszy się za miastem popuścili cugli i konie ruszyły równym kłusem. Wkrótce ukazała się przed nimi zygzakowata droga przez punę. Od czasu do czasu to z jednej, to z drugiej strony jakiś pies pilnujący wrót zagrody czy chaty zaszczekał na przejeżdżający oddział.

- Naprzód, naprzód - krzyczał Chumpi.

I dając wszystkim przykład, ścisnął konia ostrogami, a kasztan pędził jak wiatr. Żandarmi, nie chcąc pozostawać w tyle, potrząsali cugłami, a jeżeli któryś podnosił bat, ognisty wierzchowiec rzucał się w bok, zbuntowany i nieufny.

Prawie nie widzieli mijanych okolic. Kiedy indziej, gdy wyruszali po nabór rekrutów, było to zadanie łatwe i zabawne. Posuwali się krok za krokiem na nędznych szkapinach zarekwirowanych Indianom, wybierali dwudziestolatków nadających się do wojska i odpoczywając wśród pól przyglądali się pracom na roli. Czasami zatrzymywali się przed chatą, na której powiewał czerwony gałganek, znak, że mają tam cziczę - i nie żalowali jej sobie. Ale teraz było inaczej. Teraz musieli kłusować za Chumpim. Wciąż pod górę, przed siebie. Droga wiła się jak wstążka pomiędzy głazami, kryła się wśród drzew, pięła coraz wyżej, aż znaleźli się w wąwozie wiodącym ku wyżynie.

Kiedy stanęli na górskim grzbiecie, Chumpi zebrał swoich ludzi. Otoczyli go kołem. Pośród parskania spoconych koni, mając przed sobą niemo wyczekujące twarde twarze, powiedział:

- Kto się wam teraz nawinie przed oczy, do tego krzyczcie: „Stać!”, a jak nie stanie, strzelać, zrozumiano? Odbezpieczyć strzelby i mieć oko na wszystko, bo oni tu często myszkują po tej punie...

Zdjęto z ramion mauzery, dał się słyszeć szybki trzask sprężyn i zamków, po czym broń została umieszczona przy siodłach.

Oczy żandarmów i długa lorneta podporucznika badały każdy skrawek rozległej wyżyny. Nic, tylko skalne igły i żółta trawa porastająca niemal pionowe zbocza, na które powoli wspinały się kościste krowiny.

Jechali w milczeniu. Słyszeli jedynie przeciągłe wrzaski górskich ptaków, raz jakiś dziwny ryk - ustokrotniony przez echo - i stukanie kopyt na czarnej ścieżce, która biegła przed nimi okrążając szczyty. Każdy jej zakręt krył w sobie groźbę zasadzki, ale przebywali je jeden po drugim i nie spotkali żywej duszy. Chumpi trzymał się ciągle na przedzie, obmyślając plany obławy. Tyle razy mu się nie powiodło, ale teraz... teraz... uśmiechał się złowrogo, gdy silny andyjski wiatr unosił poły jego peleryny. Ciągący za nim żandarmi ponakładali barwne indiańskie poncza. Byli smutni. Celedończycy to dobrzy strzelcy, toteż niejeden z ludzi Chumpiego zostanie pewnie tutaj i zgnije nie otrzymawszy nawet przyzwoitego pogrzebu. Ale cóż mieli robić, podporucznik Chumpi parł naprzód! Puna pokazała im tylko swe rozległe pustkowia i tu i ówdzie skalne szczyty. Pod wieczór dojechali do miejsca, gdzie droga zaczynała skręcać w dół, ku rzece Maranon. Trzeba było przeprowić się przez nią, aby dotrzeć do Canar. Ach, ci Celedończycy! Nigdy się nie poddadzą! Chumpi rozkazał ludziom:

- Przypędzić mi tutaj tyle krów, ile się da... Ruszajcie, a żywo - pogonił ich, widząc, że się wahają z wypełnieniem rozkazu.

Kiedy zachód słońca rzucał płomienie na niebo, spędzono już ze dwadzieścia krów, wyszukanych na niebezpiecznych stokach i w jarach.

- A teraz je nagnajcie, niech wejdą do rzeki...

Żandarmi, zgodnie z poleceniem podporucznika, szli za krowami tylko do chwili, kiedy mogli być zobaczeni przez Celedończyków, noc bowiem zapowiadała się widna. Kiedy wracali, wzeszedł już księżyc, srebrząc obłoki.

- Gotowe, panie podporuczniku...

- Jak tam? Krowy zeszyły?

- A jakże, panie podporuczniku; jakeśmy zaczęli rzucać kamieniami, to zaraz pognały...

- To dobrze, to dobrze - oświadczył Chumpi zacierając ręce.

Skulili się pod skałą i czekali, a godziny mijały. Konie kręciły się to tu, to tam, na ile im pozwalały postronki, którymi je przywiązano do skalnych występów albo do mocno wrośniętych w ziemię kęp trawy.

- No dobra - powiedział Chumpi - teraz każdy się przychyli koniowi do szyi i tak przejdziemy rzekę... A uważajcie, trzymać się mocno...

Po czym wyciągnął z sakwy kilka flaszek wódki. Księżyc wolno posuwał się naprzód, oblewając górskie szczyty swym jasnym światłem.

Ale to światło, srebrne i spokojne, nie zdołało złagodzić napięcia owej chwili. Za parę godzin być może śmierć czekała wielu spośród tych ludzi. Ostre, czarne szczyty wyglądały jak procesja okrytych kirem widm, które zatrzymały się nagle, aby zaintonować psalm żałobny - wiatr przyniósł jego echa aż tutaj.

* * *

- Ej, bracie, czemu te psy tak szczekają?

- A to i prawda, szczekają jak najęte... Tak rozmawiali Julian i Blas Celedon, gdy psy ujadły wyciągając pyski ku stromemu zboczowi wznoszącemu się przed nimi. Byli w Canar, siedzieli w sieni swej chaty, przed paleniskiem i żarłocznie jedli suszone mięso i pieczone bulwy manioku. Cholo Crisanto Julca przybył do nich niedawno z wiadomością o zabłąkanych krowach, które odłączyły się od stada i które można by pogonić od hacjendy Sanchu na targ do odległego miasteczka albo sprzedać niedrogo handlarzom bydła wędrującym w stronę wybrzeża. Można je było także poprowadzić do Chonat, zapadłej dziury, której mieszkańcy trudnią się wielce zyskowną wytwórczością: solą i suszą mięso z kradzionego bydła, kupowanego po bardzo niskiej cenie. I tak, ze złodziejskim łupem pociętym na paski i plastry, przybywają do miast na wybrzeżu, gdzie sprzedają swój towar z dwustuprocentowym zarobkiem. Proceder ten pozwala im ponadto ujść czujności władz.

- To takie bydełko, co rzuciło swoje stado - zapewnił Crisanto.

A oni:

- Damy ci znać...

- Damy ci znać, to je tu nagnasz, po co ma przepadać...

Ale teraz, pod wieczór, już nie mówili o tej robocie, którą mieli się zająć nazajutrz. Przez całe popołudnie czyścili i smarowali winczestery. Rzecz była postanowiona. Żuli kokę i palili papierosy, które sami sobie robili z tej niewielkiej ilości tytoniu zasianego w ogródku przed chatą, a przy tym słuchali, jak Crisanto snuje miłe wspomnienia. Ten zaś przerwał w pewnej chwili i powiedział:

- Szczekają jak na krowy... Jakem tu szedł, widziałem ich sporo po tej stronie... to już pewnie zeszyły z gór.

Noc była jasna i nikomu nie wpadłoby do głowy niespodziewanie atakować. Tym bardziej nie wpadłby na to Chytrus, który łączył w sobie cechy lisa i żmii. Psy ujadły nadal, ale Crisanto na nowo podjął swą opowieść:

- Oj, tak, kiepsko jest chodzić samemu, ale kiedyś zaczynałem podprowadzać takie bezpańskie sztuki, to jeszcze tego nie wiedziałem... Razu pewnego poszedłem na samą punę Yaucarbamba, tam gdzie się pasą te bezpańskie krowy, co to je nazywają „suki”, bo takie to zuchwałe i tak ściga ludzi jak prawdziwe psy... No dobra, to idę ja z lassem na jedną, a ona jak się nie nastawi rogami, jak się na mnie nie rzuci... No i popatrzcie, tak ubodła mojego konika, że stanął dęba i mnie zrzucił na ziemię... Pół biedy, że ta przeklęta pognała za koniem, a ja zdążyłem się wdrapać na wysoką skałę... I co powiecie, ta diabelska gadzina podchodzi i staje pod skałę, a ja nie mogę zejść. Dwa dni tak żem siedział, a ona się nie ruszyła... Inne pasły się obok, jakby były pewne, że nie dam rady zejść. Głód mi doskwiera, a ona nic, jakby wrosła w ziemię, a mój konik tak samo, kawałek dalej, szarpie wędzidło i chciałby co zjeść...

Psy wybiegły nad rzekę. Szczekały i szczekały. Trzeba było obejść zagrodę i zobaczyć, co się stało.

- Pójdź ty, Crisanto... Coś tam się dzieje...

- Pójdę, niech wam będzie...

Crisanto wstał i zaraz zniknął między drzewami. Poszedł nad rzekę i wpił oczy w przeciwległy brzeg. Uważnie przyglądał się każdemu głązowi, każdemu drzewu. Widać było całkiem dobrze. Kilka krów zeszło już na nadbrzeżny piasek, a inne były jeszcze na stoku, ale też schodziły. Dwie czy trzy stały nad samą wodą piły powoli. Kiedy Crisanto wracał do chaty, jakiś byk zaryczał, napelniając jar swym potężnym głosem.

- Nie mówiłem? - stwierdził podchodząc pod dom. - Przecie to krowy... O tam, nad rzeką, a inne już schodzą...

Celedończycy wzięli jeszcze po szczypcie koci i nalegali na gościa, żeby opowiadał dalej.

- Ano dobra, to jakem wam gadał, krowa ani myślała odejść, a ja głodny, że strach... Ale jak człeka głód przyciśnie, to mu i myśleć każe... No i popatrzcie, rzucam ci ja ponczo na skałę, krowa jak nie skoczy na nie z rogami, a ja ją moim nożykiem w sam kark... Jak upadła, to już tak leżała i tylko się trzęsła, a ja w nogi, cichuteńko, i do konia. Wskoczyłem na niego i dalej przed siebie, póki mi życie miłe! Po drodze spotkałem stado łagodnych bydlątek, ale jużem nie chciał złować ani jednej sztuki. Głodny byłem okrutnie i tylko myślałem, żeby podjechać do jakiej chaty, gdzie by mi dali kawałek suszeniny...

Pogawędzili jeszcze trochę, każdy o tym, co mu się kiedyś przytrafiło, a potem weszli do izby i położyli się spać. Jutro pójda w góry i przypędzą całą tę gromadę zabłąkanego bydelka, o której mówił Crisanto. Noc była bardzo ciepła, więc nawet się nie przykrywali. Obok czuwały psy. Trochę dalej, ale w zasięgu ręki, winczestery połyskiwały w świetle księżyca, który zaglądał przez szpary w dachu. Maranon, mrużąc głębokim basem, nucił swą kołysankę...

I tak posnęli.

* * *

Gwałtowne, gniewne ujadanie obudziło Juliana. Psy wybiegały ku rzece i zaraz wracały, jakby przed kimś uciekając, po czym ponawiały atak i znowu się wycofywały. Julian szturchnął pięścią towarzyszy, wrywając ich ze snu.

- Wstawać, chłopcy, coś się dzieje...

Celedończycy chwycili za broń. Crisanto wyciągnął duży zardzewiały rewolwer. Świtało. W różowym półmroku można było dojrzeć drogę na przeciwległym zboczach. Nikt nią nie schodził. Żandarmi musieli już wtedy wkraczać do samej kotliny Canaru. Psy krążyły koło swoich panów, po czym rzucały się ostrym biegiem przed siebie, nie przestając szczekać.

- Chodźmy pod górę, do wąwozu - poradził Blas Celedon, pamiętając, że kiedyś uciekali tamtędy i żandarmi nie odważyli się ich ścigać przez las.

I ruszyli tam, z bronią w rękę, schylając się pod gałęziami drzew. Ale z tej strony nagle rozległ się suchy trzask mauzera i kula świsnęła złowrogo tuż koło nich. A za nią druga i trzecia... To byli żandarmi. Było ich trzech, szli rozstawieni, tak że zamykali wejście do wąwozu. Mundury błękitniały pośród szarości suchej trawy.

- A poślij no im kulkę, bracie... Winczestery odezwały się gromkim głosem.

Mauzery odpowiedziały im i wciąż parły naprzód. Chyba było ich więcej niż trzy, chociaż z drugiej strony nie strzelano. Rozbójnicy skryli się za drzewami akacjowymi i spojrzeli w górę. Żołnierze zniknęli na chwilę. Byli opodal, leżeli schowani za gałęziami. Niklowane kule mauzerów wybuchały wśród krzaków, wyrzucając w górę szczątki gałęzi. Daleko, w skałach, strzelało wojsko. Echo sprawiało, że odgłosy strzelaniny można było wziąć za prawdziwą bitwę.

- Chodźmy przez las, wyjdziem dołem i przez rzekę na drugi brzeg - mruknął Crisanto, który jak dotąd nie strzelał, świadom małego zasięgu swej broni.

I już chcieli zacząć się przedzierać, kiedy nowa salwa dała im znać, że i tam też są żandarmi. Chytrus, czując się bezpiecznym wobec winczesterów, których zasięg nie przekraczał czterystu metrów, stanął zuchwale, doskonale widoczny w miejscu, gdzie las się przerzedzał.

- Ty psia jucho! - ryknął Julian Celedon, strzelając do niego. Blas też zaklął i wyładował swoją wściekłość posyłając wrogowi kulkę z rozgrzanej lufy.

Spadł na nich deszcz strzałów, zawodząc pośród zawieruchy potrzaskanych gałęzi. Chytrus, ze strzelbą w rękę, patrzył bacznie na przeciwników, którzy najwyraźniej gotowi byli wydać im formalną bitwę. Niech się tylko przybliżą!

- Celedończycy! Rzućcie broń i cofnijcie się - krzyknął Chumpi.

Bracia odpowiedzieli wrzaskiem podobnym do ryku schwytych w pułapkę dzikich zwierząt:

- Chodźcie, sukinsyny, chodźcie tutaj!... Kule sypały się na nich ze wszystkich stron.

Sam Chytrus uniósł karabin i w jednej chwili opróżnił magazynek. Założył drugi, to samo zrobili żandarmi. Rozbójnicy widzieli ich wyraźnie w świetle słońca, które już wzeszło. Zarośla nie zdołały ukryć błękitnego kręgu mundurów.

- Walić w nich! - krzyknął Chytrus do swoich ludzi. - Celujcie dobrze!

Żołnierze biegli naprzód, by schronić się za drzewami. Jeden upadł. Rozbójnicy zajęli pozycję w rowie nawadniającym, który ciągnął się za chatą. Psy, przerażone, tuliły się do panów ocierając się o ich plecy. Wszędzie świszczala śmierć. Dosięgła Druha, który upadł jak długi, a krew lała mu się z pyska. Blas wciągnął w nozdrza ciepły opar tej wrzącej krwi i poczuł, że coś go pali w krtani.

- Macie kule?

- A będzie coś z pięćdziesiąt, nie więcej...

- No to idziemy do jaskini...

Jaskinia znajdowała się dość wysoko, u stóp skalnych ścian. Trzeba było wspiąć się do niej dróżką, która skręcała na niezbyt osłonięty stok. W tej grocie mogli być bezpieczni, przynajmniej na pewien czas. Nad nią, w górze, piętrzyły się niedostępne skały, a niżej biegła tylko ta jedyna ścieżka, dzięki której, wspomagani winczesterami, zapewnią sobie - choćby tylko chwilowe - ocalenie. Popatrzyli na siebie i nagle, na dany znak, ruszyli pędem ku jaskini. Chytrus krzyknął na swoich ludzi:

- Za nimi! Walcie w nich, chłopcy... Żandarmi biegli, zatrzymując się tylko po to, aby strzelać. Uciekinierzy już byli na ścieżce, już wspinali się po stoku. Ale Crisanto upadł. Celedończycy biegli dalej, pośród ogłuszającego koncertu kul, które świszczaly, trzaskały i wybuchały na skałach, wznosząc chmury pyłu, jeśli trafiły na skrawek ziemi. Wchodząc w czarną niszę pomiędzy skałami bracia osunęli się na kamienie. Gnat już tam był i szczekał, ukryty w kącie.

- Niech sobie teraz wchodzą...

- A niech wchodzą...

Winczestery wycelowane były w wylot jaskini. W jej wyższej części kule żandarmów pękały na skale, aż sypały się kamienie i odłamki gładów. Ogień ustał i Blas spojrział swym orlim okiem przez ocieniony otwór w jednym z krańców groty. Niżej, na równinie, żołnierze stali o sto kroków od Crisanta, mierzając doń z karabinów.

- Rzuć rewolwer!

Celedończyk zawył, kiedy biedny Crisanto odrzucił rewolwer na bok. Dwaj żandarmi zbliżali się do niego, chronieni przez pozostałych, którzy celowali do leżącego. Już jeden chwytą rewolwer Crisanta. Już podchodzą do niego.

- Zabijcie go - rozlega się za ich plecami głos podporucznika.

Crisanto wije się jak robak i krzyczy prosząc o łaskę, ale padają dwa strzały i oto już leży nieruchomo. Blas Celedon strzela, ale niecelnie, a ostra salwa zmusza go do odwrotu. Bracia przysięgli - na Chrystusa i na zbawienie duszy - że nie dadzą się zabić w ten sposób. Chumpi zaś tymczasem wydawał rozkazy. Trzech żandarmów ustawił pomiędzy skałami przy ścieżce prowadzącej w dół, a sam z trzema pozostałymi zajął się trupami.

- Jak tylko tamci wyjrzą, to w nich walcie - powiedział na odchodnym.

Żandarma pogrzebali pod drzewem. Crisanta zaciągnięto nad rzekę - dla takiego Indianina nie warto nawet kopać grobu! - i rzucono go do wody. Zanurzył się spadając, ale potem wypłynął i porwał go prąd - znosił go na nadbrzeżne głazy, na których trup coraz to się w nim zatrzymywał, by zaraz znów ulec wartkiemu nurtowi.

Wylądował na jakimś szerszym piaszczystym brzegu i obsiada go sępy rozrywając mu brzuch i wykłuwając oczy. W końcu zostaną zeń tylko białe kości rozsiane tu i tam na piasku.

Podporucznik tłumaczył swoim ludziom:

- Na nic innego sobie nie zasłużył... A to nie wiecie? Jednego razu, koło Chonat, wziął na łąkę byka i tak go prowadzi jakby nigdy nic. Zabrał go starowinie, a ona za nim i tak prosi: „Nie zabierajcie mi stworzenia, jedno tylko mam... Biedna jestem... synowie mi pomarli...” A ten gad nawet się nie ulitował i powiada: „Wracaj, starucho, do chaty... Wiem, co mówią.” A ona biegnie za nim i wciąż prosi i błaga. To ten zbój Crisanto jak nie wyciągnie rewolweru, jak nie strzeli, no i macie już biedaczka leży nieżywa, z kulą w piersi...

W drodze powrotnej natknęli się na zabitego Druha.

- A ciśnij go który do wody - powiedział podporucznik do swych podwładnych - jeszcze nam tu zacznie cuchnąć.

* * *

Uparcie, zaciskając kleszcze, przystąpili do oblężenia. Żandarmi na zmianę pilnowali zbocza, a jedyna ścieżka, która chroniła Celedończyków przed nagłym atakiem, teraz, w miarę upływu dni, zaczęła się przyczyniać do ich zguby. Ludzie Chumpiego w chwilach wolnych od pełnienia straży niuchali po ogrodzie, wyjadając resztki bananów i bulwy manioku. Zabrali także kokę i papaje - tych zresztą tylko parę, bo podporucznik rozkazał:

- Papaje mi zostawcie; już ja wiem, co mówię...

Przed chatą Celedończyków rosły cztery wielkie papaje, strzelając w górę wdzięcznymi, smukłymi łodygami. Pod ich koronami zaczynały dojrzewać owoce. W kilka dni potem wiele z nich nabrało żółtawej barwy.

- Zerwijcie te dojrzałe - rozkazał Chumpi. I żandarmi - jako że przywiezione z miasta zapasy kończyły się, a i to, co było w chacie, też zjedli żarłocznie - rzucili się na świeże i soczyste papaje. Zostały tylko te, które były jeszcze niedobre. Ale jeśli żołnierze cierpieli z powodu niedostatku jedzenia, to Celedończycy jeszcze bardziej. Pozbawieni wody i żywności, z dnia na dzień tracili siły. Winczestery ściskali jednak w dłoniach tak krzepko, jak jeszcze zdołali. W nocy i oni także na zmianę pełnili wartę, bo Gnat czekał na każdy najmniejszy szelest i nie wiadomo było, czy żandarmi zbliżają się od strony równiny, czy też wspinają po zboczu. A co się stało z Venanciem Campos? Na pewno był daleko poza domem. Im zaś dni i noce dłużyły się teraz bez miary, aż w końcu zatracili, niemal poczucie czasu. Woreczki na kokę były puste. Ale jak straszne krwawe i głębokie braterstwo łączyło ich w tych dniach! Dwaj mężczyźni i pies stanowili jak gdyby jedną całość, zespoloną okrutnymi więzami. Bliskość śmierci sprawiała, że rządziło nimi tylko jedno niecierpliwe pragnienie i jedno dążenie: bronić się i ocalić życie.

Julian, z zamierającą siłą i radością, które opuszczały jego własne ciało, wspominał Elisę. Jego udziałem był głód - wszelkie rodzaje głodu - a ona była niedosięglym owocem. Na zawsze oddalona od niego, nigdy - teraz to wiedział - nie miała już mu dać szczęścia. Urodzi małą siostrę, a ból świata zwiększy się o jeszcze jedną kroplę. Taka dobra dziewczyna! Ileż było życia i ile miłego spokoju w jej biodrach i brzuchu. Czulość wzbierała w niej jak mleko w nabrzmiałych piersiach. Pszeniczna dobroć wypełniała całe jej życie. Ach, te dni!

A dni miały pośród głodu i czuwania u wrót jaskini, aż upłynęło ich osiem. Chumpiemu nie udawało się już teraz zagadywać podwładnych opowieściami o rabunkach i morderstwach popełnionych przez Celedończyków. Mieli też dość szukania - w chacie i na polu, pod kamieniami i drzewami, które wydawały się coś kryć - pieniędzy, jakie musiały tu gdzieś być schowane. Jeden z żandarmów ośmielił się nawet zaprotestować:

- Przecieżeśmy głodni! Oni już tam pewnie pomarli w jaskini, a jak nie, to i niewiele im zostało do śmierci: toż to nawet i wody nie mają... Wejść by tam, ot co...

Była noc. Księżyc już się schował. Chumpi odparł z gniewem:

- Ano to idź i wpakuj im po kulce, choćby i nieżywym. Słyszysz, co ci mówię?

Żandarm pomyślał chwilę i w końcu wziął karabin. Kiedy znalazł się w miejscu, gdzie dróżka skręcała między skały wystawione na kule przeciwników, i mijał stojących na straży kolegów, ci zaczęli go pytać, czy już mu życie niemiłe. Nie odstraszyło go to i szedł dalej, skradając się jak wąż. Odezwało się ciche szczekanie psa. Po chwili huknął strzał, i coś miękkiego

i ciężkiego ześliznęło się po stoku. Myszkując w ciemnościach żołnierze natknęli się w końcu na ociekające krwią ciało.

Chumpi ryczał z wściekłości i twardo postanowił, że będzie oblegać Celedończyków, póki ich głód nie zmoże.

- I dlatego - powiedział jednemu ze swoich ludzi - jutro pojedziesz po żywność, trzeba się najęść, nie?

* * *

Bywają w życiu chwile przerażającej szczęśliwości. Tak właśnie było rankiem dziewiątego dnia, kiedy słońce zabłysło wśród skał na przeciwnym zboczu. Blas, leżąc na swym karabinie, baczny na wszystko, zobaczył pomiędzy tymi skałami dwóch skulonych mężczyzn.

- Widzisz? - powiedział do Juliana.

Ten popatrzył i nie mógł powiedzieć słowa. Wyjrzał z jaskini i aby nie tracić kulki na darmo, strzelił w stronę chaty. Mężczyźni wśród skał usłyszeli go - zobaczył, że poruszyli się i celują. Padły strzały. To był Venancio Campos i jego towarzysz!

- Venancio - zdołał wykrztusić Blas.

A jego brat powtórzył:

- Venancio.

Życie!

Po czym zgodnie doszli do wniosku, że jeśli Venancio z tym drugim zejda na dół, można będzie przystąpić do walki. Tamtych było sześciu przeciw ich czwórce, a i broń mieli lepszą, ale można by walczyć. A kule? Będą oszczędzać kul. Trzeba tylko podejść wroga w nocy. Strzelili cztery razy, aby zachęcić przyjaciół, ci jednak zachowywali się cicho i ostrożnie. Lufa jednego karabinu wysuwała się zza wielkiego głazu. Najwidoczniej Venancio uznał, że walka byłaby nierówna, i postanowił atakować tylko w ostateczności.

Żandarmi zaś wcale nie odpowiedzieli na strzały. Chumpi zrozumiał, że sytuacja się zmieniła, i chciał wykazać tyleż przebiegłości co jego nowi przeciwnicy. Tak czy inaczej, nie mógł teraz wysłać nikogo po prowiant. Jeden człowiek już by nie przeszedł, musiałoby wyruszyć dwóch albo więcej, a i to nie dawało całkowitej pewności powodzenia, natomiast opór pozostałych znacznie by się osłabił. A przecież w żadnym razie nie mogli znowu ponieść klęski! Tak, ale mieli jeszcze jednego nieprzyjaciela: głód. Pod tym względem sprawa była nie do rozwiązania. W ostateczności nie pozostanie mu nic innego jak wprowadzić w czyn zamysły, które snuł na wypadek, gdyby znaleźli się w podobnej sytuacji, ale które nie rokowały pełnej skuteczności.

Poczekali aż do zapadnięcia nocy i zgromadzili się pod drzewem.

- Musimy się trzymać - powiedział Chumpi, usiłując namówić podwładnych, aby zdobyli się na ostatni wysiłek.

- A głód? Jak się trzymać, kiedy głodno?

- Nie da rady przejść; tam po drugiej stronie siedzą jacyś - upierał się Chumpi.

- Panie podporuczniku, jak zobaczą, że odchodzimy, to nam nic nie zrobią. Pamięta pan? Już kiedyś tak było. Nie porwą się we dwóch na sześciu.

Była to ze wszech miar słuszna uwaga. Peruwiańscy Indianie, którzy oddają się zbójnickiemu rzemiosłu, tylko w razie wyjątkowej konieczności występują zbrojnie przeciw oficjalnym siłom porządkowym. Venancio Campos należał właśnie do takich rozbójników.

Tak więc postanowiono wyruszyć nazajutrz, chociaż Chumpi dopiero w ostatniej chwili miał dostrzec korzyść płynącą z odwrotu, co stwierdził z całym swoim nadwreżonym autorytetem. Tymczasem zaś stanąwszy na ramionach dwóch żandarmów, wspiął się na papaje, by dosięgnąć jej owoców. A dotykając ich, z uśmiechem wspominał słowa aptekarza: „Dam panu szprycę z tym płynem... Trzeba tylko wstrzyknąć...”

Następnego dnia gęsty obłok wzbil się w niebo ściągając na siebie wzrok Celedończyków. Pobladli, oddychając z trudem, kulili się w głębi jaskini, kiedy stwierdzili nagle, że na dworze robi się ciemno. Czyżby już tak osłabli? Nie, to był dym. Dym! Dlaczego, skąd? Blas Celedon podczołgał się do miejsca, skąd mógł widzieć kotlinę.

- Podpalili chatę i zabierają się, odchodzą... Konie już przepawili. Nasze też biorą...

Julian wyjrzał także. Strzecha z bananowych liści płonąca wyrzucała kłęby czarnego dymu. Ale żandarmi odchodzili. Wsiedli do czółna i byli już na środku rzeki.

- Sześciu ich jest... Brakuje jednego, coś mi się widzi, że on się tu gdzieś schował...

- A ten, coś go postrzelił wczoraj wieczorem?

- Prawda, ale nigdzie nie ma ciała...

- Pewnikiem go pogrzebali. Razem z tym, co to pierwszego dnia, to będzie dwóch... dwóch na dwóch.

Po drugiej stronie rzeki żandarmi osiodłali konie i wspięli się na zbocze. Jakby przez nieuwagę zostawili łódkę kołyszącą się przy brzegu, przycumowaną powrozem do skały.

- Czemu to jej nie puścili z prądem - westchnął Blas, czując, że coraz bardziej opada z sił.

Ale tamci naprawdę odchodzili. Powoli, przystając od czasu do czasu, wspinali się na stok. Venancia nie było widać. Widząc, że żandarmi są w odwrocie, wycofał się ku wyżynie i miał zamiar zejść później.

Indianie patrzyli uparcie, póki oddział umundurowanych nie stał się maleńką ruchomą plamką, wysoko nad nimi, tam gdzie droga docierała do puny. Wtedy dopiero sami zdecydowali

się wyjść z jaskini i zaczęli schodzić na dół zsuwając się i pełzając, i chwytając za skały i szczeliny między głazami. Znalazszy się w kotlinie mogli już stawiać chwiejne kroki. Dowlekli się do rowu nawadniającego i razem z Gnatem położyli się nad nim na brzuchach, by pić do woli. Moczyli ręce w tak upragnionej wodzie i zwilżali sobie skronie. I pili, pili, zanurzając twarze, krztusząc się i parszcząc głośno.

- Poszli sobie, bracie... I znowu pili, aż do wzdęcia brzucha. Po czym, już w nieco lepszym nastroju, obejrżeli zgliszczą swęj chaty i przysięgli zemstę spoglądając w niebo, gdzie Święta Panięka i święty Julian, i święty Błażęj, ich święci patroni, wszystko to musieli widzięć i nie mogli pozostawić bez kary łajdactw Chytrusa. Ale oto na papajowych drzewach, niezbyt wysoko, tak że można ich było dosięgnąć, zięleniły się owoce.

- Ej, bracie, papaje... - szępnął Blas.

- Ano papaje, bracie... Wstali, ale zaraz, może dlatego że już lepiej mogli chodzić, dostrzęgli, że owoce są zupełnie niedojrzałe. Na próżno przeszukali ogród, nie znalazłszy nawet listka koki, wrócili pod papajowe drzewo. Przekłęci najeżdżcy nie zostawili ani manioku, ani nawet jednego banana.

- O, patrz, jedna już jakby trochę dojrzała... Julian położył się na plecach i celował przez dłuższą chwilę. Huknął strzał i ze strzaskanej szypułki oderwał się owoc i spadł na ziemię. Rozpółowili go palcami drapieżnymi jak pazury. Mięsz był trochę gorzki, ale można go już było jeść.

- Niekiepska...

- Ano, może być... Strącimy drugą?

Drugi strzał i druga papaja. Pozostałe były jeszcze naprawdę zupełnie zielone. Wieczór zapadał, bracia położyli się pod drzewami. Potem, już w nocy pójdą dla większego bezpieczeństwa przęspać się w wąwozie, a jutro poszukają tam owoców chirimoi. Będą żyli. Spotkają jeszcze kiedyś Chytrusa i tych jego łajdaków zandarmów i porachują się z nimi. Venancio, głupi, nie chciał się brać do walki!

Nagle Gnat zaczął wyc, a oni pomyśleli, że jest głodny, i zaczęli sobie robić wyrzuty, bo nie dali mu ani kawałka papai. Dadzą mu jutro, jak znajdą chirimoyę. Ale po chwili Blas poczuł, że wstrząsa nim dziwny dreszcz.

- Brzuch mnie boli i głowa...

- Osłabłęś, bracie...

Ale i Julian, który nie wiedział, co to znaczy mieć dreszczę, zobaczył, że jego dłonie dygocą w jakiś szczególny sposób. I nogi też. A potem całe ciało.

- Trucizna! Trucizna, bracie...

Gnat wciąż wył. Blas już nawet nie odpowiadał. Julian poczuł, że coś rozrywa mu wnętrzności, i ryknął z gniewu jak wściekła puma. Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Wiedział tylko, że umrze. Z twarzą przy ziemi, rękami ścisnąwszy skronie, przeklinał ustami pełnymi piany. Jak długo tak leżał drżąc cicho, świadom swej tragedii? Gnat zaszczekał. Ktoś nadchodził. Może to Chytrus? Tak, to on szedł tam ze swymi ludźmi, z karabinem w rękę. A ręce jego, Juliana Celedona, nie mogły już utrzymać strzelby; jego oczy, jego bystre oczy zasnuwały się mrokiem i nie umiały już celować. Potrząsnął Blasem, ujmując go za ramiona:

- Ej, bracie, idą na nas...

Blas był sztywny i zimny. Julian odwrócił się w ostatnim wysiłku. Chciał strzelać, ale ogarniały go ciemności. Zdołał tylko zobaczyć, że jakiś cień przemknął szybko w stronę żandarmów. Rozległ się strzał. Potem inny cień szedł ku niemu, rosnąc i ogromniejąc. Coś twardego uderzyło go w czoło. I doznał krótkotrwałego, ale całkiem wyraźnego wrażenia, że otwiera się przed nim wielka, nie kończąca się cisza.

* * *

Kula roztrzaskała mu czaszkę. Konając Julian nie zdążył sobie uświadomić, że ów cień, co rzucił się ku żandarmom, to był Gnat. Wierny pies skoczył na Chumpiego, który odpowiedział na to strzałem. Leżał tam jeszcze na pół martwy, uparcie trzymając się życia. Porucznik spoglądał na swe piękne dzieło. Mówił chępliwie:

- I niech teraz gadają, że podporucznik Chumpi nie ma głowy na karku... Ha, ha, ha... ha, ha... To się nazywa polowanie... ha, ha...

Wreszcie rozkazał:

- Zabrać tych Indian do miasta. Sfotografujemy ich... Podnieście trupy.

Kiedy jego ludzie przenosili zwłoki rozbójników, zobaczył, że Gnat się rusza. Jednym strzałem rozwalil mu łeb i zgasił światło oczu, co jeszcze patrzyły, wodząc smutnym spojrzeniem za przegiętym w pasie ciałem Juliana, które żandarmi nieśli za ręce i nogi.

- Przeklęty kundel - powiedział Chumpi wspominając obławy, które udaremniło szczekanie tego psa.

Takie oto epitafium było nagrodą za pełne trudu życie wiernego Gnata, psa rozbójnika.

X. Nowy siew

Siew, uprawianie roli i żniwa przynoszą chłopom na nowo każdego roku radość z tego, że żyją. Jest to racja ich bytu. A że są to ludzie szorstcy i prości, więc zostawiają ślady swych kroków nie inaczej jak tylko wzdłuż niezliczonych bruzd na polach. Cóż poza tym? To wszystko. Życie może być dobre, jeśli jest płodne.

Zapada wieczór, a na hacjendzie obsiewa się ostatnie pola. Sam don Cipriano Ramirez rozrzucił ziarno pszenicy na wonnej ziemi, równo, pewnym i zręcznym ruchem, jak przystało weteranowi takich bojów. Były to szczęśliwe dni, kiedy, rok temu, po stracie wszystkich niemal zbiorów, na nowo spadł deszcz, na nowo zaorano pola i na nowo je obsiano. Dziedzice i peoni zjednoczyli się wtedy w radosnym uścisku z ziemią.

Kiedy słońce się zniża, robota na dworskim polu jest zakończona. Pięćdziesięciu indiańskich parobków uwalnia woły z pięćdziesięciu zaprzęgów. Zwierzęta porykują spokojnymi głosami, kierując się do zagród. Słychać cichy dźwięk kościelnego dzwonu dochodzący z odległego okręgu Saucopampa. Ale ludzie modlili się już, tutaj, pośród tych brzd, przy tym szlachetnym zajęciu, jakim jest obsiewanie ziemi.

Don Cipriano i majordomus z Paucar, don Romulo Mendez, ostatni opuszczają zaorane pole.

Don Cipriano, wysoki, biały, jest trochę otyły. Twarz ma pełną i nalaną. Odziany w żółty drelich, na nogach ma twarde, długie buty. Na głowie wciśnięty aż po brwi kapelusz z palmowego łyka. Don Romulo, żółtawy i szczupły, ma ponczo przerzucone przez ramię, a na głowie wymięty kapelusz z trzciny. Jego krzywe piszczele wyginają w łuki nogawki czarnych spodni. Obaj spoglądają na ziemię, w której zapadają się po kostki, i zdają się liczyć tę ogromną ilość brzd. Don Cipriano włożył ręce w kieszenie kamizelki. Coraz to się uśmiecha. Don Romulo idzie z boku i trochę w tyle, tak jak mu nakazuje szacunek, i podkręca wąsa. I on też się uśmiecha.

Ziemia jest piękna, zwłaszcza kiedy jest zaorana. Miękka i delikatna, życzliwa, ma w sobie żyzny posmak i działa na zmysły.

Peoni czekają na dziedzica, stojąc rzędem - gdyż tak rozkazał - na brzegu pola. Zapadający wieczór przyćmiewa już grę kolorów na ich ponczach. Z kapeluszem w ręce prostują kudłate głowy, nie spuszczać oczu z don Cipriana. A jego głos rozlega się z boku, mocny, władczy, jakby nieco karcący:

- Siejcie, siejcie. Ani jedno chłopskie pole nie może zostać nie obsiane. Sami wiecie, jaki zły był zeszły rok: zebraliście bardzo mało. Jak i ten będzie taki, to sam Pan Bóg tylko wie, czym wykarmicie dzieci. A nie roztrwońcie tego, co wam zostanie. Nie trzeba być zanadto ufnym. To wam chciałem przypomnieć. Jak kto będzie czego potrzebował, to niech prosi. No, to już idźcie...

Nierówny szereg rozrywa się i wokół don Cipriana zbiera się barwna grupa. A to zaprzęg, a to ziarno na siew. On zaś słucha uważnie, po czym wydaje polecenia:

- Zaraz, dobrze... Weź Łaciatego... To nieprzyuczony byczek, jego trzeba zaprawiać przede wszystkim... A ty weź Burego... A ty Cytrynka... Niech się wciągną do pracy... Sam widziałem, nic, tylko próbują swoich sztuczek... Zaraz jutro niech don Romulo rozda ziarno tym, co nie mają;

jęczmień i pszenicę, bo nic innego już nie ma. Słyszysz pan, don Romulo? Don Romulo, który stoi obok maltretując swój straszliwie czarny, prosty wąs, przerywa to zajęcie aby odpowiedzieć:

- Tak, panie dziedzicu, jutro...

Niesforny ten jego wąsik. Będzie już ze trzydzieści lat, jak don Romulo go podkreca, i wciąż nie może osiągnąć swego ideału: sterczącej, zuchwale najeżonej miotełki. Teraz jednak, rzecz jasna, jego manipulacje przy wąsie nie służą już podniesieniu urody, lecz po prostu przeszły w nawyk.

Peoni wreszcie odeszli. Dziedzic i majordomus ruszyli do domu, krokiem wolnym i rozluźnionym, pogadując o tym i owym, słowami, co miały smak ziemi, pszenicy i ulewnego deszczu.

W jadalni stół był już zastawiony. Usiedli przy nim, jak co dzień, razem z doną Carmen, wiekową świekrą don Cipriana, z doną Julią, jego żoną, która w ramionach trzymała maleństwo, i z paniczem Obduliem.

Hacjender i jego majordomus przynosili wiadomości z prac na roli, toteż rozmowa przy stole bardzo się ożywiła. W dodatku deszcz zaczął padać i walił hałaśliwie w dach i w podwórko. A z pół doleciała, wdzierając się w każdy kąt domu, świeża i ostra, obiecująca woń zaoranej ziemi, wilgotnej i napełnionej ziarnem.

XI. Gdzie się podział

Stary Indianin Mashe, a razem z nim jeszcze pięćdziesięciu innych - mężczyźni, kobiety i dzieci - błagali don Cipriana stojącego na ganku wielkiego domu:

- Niech pan nas przyjmie, panie dziedzicu, proszę nas przyjąć...

A don Cipriano:

- No i cóż tu będziecie robić? Nie widzicie, że wszystko przepada?...

W jego głosie brzmiała troska. Bo i był, od wielu dni, bardzo skłopotany. Z początku deszcz lał jak z cebra. Przez cały tydzień strugi wody bębniły o ziemię. Don Cipriano cieszył się i powtarzał stare wiejskie porzekadło: „Po dużej suszy duży deszcz.” Na dworskich polach i na zagonach chłopów-kolonów pojawiła się świeża zieleń kielkujących upraw. Młode roślinki wzbijały się ku górze w radosnym zryw, z dziecięcą łatwością i lekkością. Ale nagle deszcz zaczął tracić na obfitości. Chmury ciągle jeszcze co rano zbierały się i nadpływały znad rzeki Yana i znad wąwozów, wznosiły się ku niebu nad przełęczami pośród wzgórz, do których się kierowały, to zasłaniając je, to odsłaniając. Gęstniały, bardzo wysokie i odległe, po czym znikwały. Czasem uroniły krótką, gwałtowną ulewę, a czasem kilka kropli, które nie zdążyły nawet przeniknąć w głąb ziemi.

- Będzie padać? - pytał codziennie don Cipriano zwracając się do don Romula, ten zaś odpowiadał:

- Ba, panie dziedzicu, zawsze o tej porze padało...

Mówił tak, rzecz jasna, aby się pocieszyć. Już poprzedniego roku deszczów było mało, ale teraz wydawało się, że będzie ich jeszcze mniej.

I pośród tych wszystkich trosk mieć jeszcze przed sobą pięćdziesięciu Indian, którzy przyszli prosić o pracę! Wzdychali i jęczeli, okryci szalami i złachanymi, zakurzonymi ponczami. Stali przed don Ciprianem jak stado osaczonych zwierząt. Ale byli przecież ludźmi: prosząco wyciągali dłonie, a oczy patrzyły błagalnie.

- Przyjmijcie nas, panie dziedzicu... Pochodzili z rozwiązanej wspólnoty Huaira.

Po kilku latach procesowania się don Juvencio Rosas, hacjender z Sunchu, dowiedział swego niezbitego i jedynego prawa do ziemi pewnego ayllu*, które uparcie trwało w tym miejscu jeszcze od czasów inkaskich poprzez okres kolonii aż do republiki, znosząc cierpliwie wszystkie ataki.

* Ayllu - indiańska wioska, rządząca się na zasadzie wspólnoty.

Tenże Juvencio Rosas pojawił się pewnego pięknego dnia w Huaira - a towarzyszyli mu oficjalni przedstawiciele władzy i gromada jego własnych najemnych zbirów - aby objąć panowanie nad wsią. Indianie w ostatecznym, rozpaczliwym zrywie próbowali stawiać opór. Kilku poległo. Grzmiący głos mauzerów bardzo szybko uświadomił im nikłą przydatność bojową ich maczet i proc. Stary Indianin Mashe razem z pięćdziesięcioma innymi, tymi, którzy potem przyszli błagać don Cipriana, zdołał uciec. Był jednym z filarów tego zaciętego ostatniego buntu i sądził nie bez racji, że wsadzą go do więzienia. I nie był w błędzie, bo taki los spotkał wielu spośród tych, co zostali na miejscu; nie dość na tym: w stolicy departamentu wytoczono im proces o działalność wywrotową. Ci nieliczni, którzy pozostali w Huaira, stali się kolonami, jako poddani don Juvencia.

Mashe miał chrześcijańskie imię Marcelino i ciemną, pozbawioną zarostu, pełną zmarszczek twarz.

- Co poczniemy, panie dziedzicu? - mówił żalonym tonem, dopiero ucząc się prosić, bo przedtem korzystał ze wspólnych dóbr i jego głos brzmiał donośnie, jak głos człowieka, który jest właścicielem ziemi.

Don Cipriano patrzył na gromadę Indian myśląc o suszy, ale także o tym, że potrzebuje rąk do pracy, a wśród tych ludzi było ich wiele, i to silnych.

- No dobrze - powiedział w końcu - zostańcie i wybierzcie sobie ziemię w dzierżawę, gdzie kto chce, z tych terenów ma się rozumieć, których nie zajęli inni koloni... Ale nic wam nie mogę zaręczyć, widzicie, jakie niebo? Jak nie będzie deszczu, to sami się przekonacie...

Niebo o tej godzinie było bezchmurne. Indianie zbyt dobrze wiedzieli, co to oznacza, a zwłaszcza świadom tego był Mashe, który w swym długim życiu - a rzecz to całkiem naturalna - wiele widział. Wiatr dał, miotał się i krakał jak złowrogi ptak. Puna, jakby w oczekiwaniu, wysuwała swe czarne i wysokie igły skalne na północ, na południe, wschód i zachód. Nigdzie nie wykluwał się zwiastun życia. Ani jednej ciemnej, gęstej chmury. Nieliczne obłoki, które szybko przemykały po niebie, były przejrzyste i tak postrzępione jak łachmany wygnanych Indian.

- Panie dziedzicu, nie będziem się naprzykrzać... ale dajcież nam tu jakieś miejsce, żebyśmy mieli gdzie się podziać, choćby i najmniejszy skrawek...

Don Cipriano zakończył rozmowę:

- Niech będzie, na razie poproście kolonów, żeby was przyjęli do siebie... Oni was pomieszczą... Na pewno...

Indianie nie ruszali się. Mashe ośmielił się poprosić:

- Panie dziedzicu, i jeszcze coniebaź do jedzenia. Jęczmienia bardziej nam trza niż czego... A i innego ziarna także...

Hacjender zmarszczył brwi wobec tego nowego kłopotu. Ale nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie istotnie są w potrzebie, a jako jego koloni winni uzyskać odeń wsparcie. Należał do tych feudalnych panów, którzy trzymają się jeszcze w peruwiańskich górach i, jak sami mówią, mają dla swych poddanych „w jednej ręce miód, a w drugiej bat”, co znaczy, że karmią ich i chłoszczą. Teraz była pora miodu.

- Dobrze - powiedział. - Niech wam don Romulo wyda po jednej miarce jęczmienia i pszenicy na głowę... Więcej nie ma. Zasiejcie trochę. Może jeszcze popada, to taki późny siew okaże się korzystny. No a teraz już idźcie...

Chłopi odeszli powoli, otrzymawszy swoją część ziarna, które miało złagodzić ich nędzę.

Don Cipriano został na ganku rozmyślając o tragedii Indian i o drugiej tragedii, już niedalekiej i większej, która dosięgnie wszystkich w jednakowym stopniu. A jeśli jeszcze spadnie deszcz? Potem przypomniał sobie porzekadło: „Kto późno zasieje, ten wyjdzie na swoje.”

- Ba! - roześmiał się - jeszcze dziesięć dni suszy i ani wczesne, ani późne zasiewy tego nie przetrzymają...

* * *

Simon siedział na kamiennej ławie przed chatą i żuł kokę. Wiatr igrał z jego brodą i długimi siwymi wąsami, co były tak rzadkie, że, jak żartowała Juana, „włosków w nich tak mało, aż liczyć

by się chciało”. Jego żółtawa, pomarszczona twarz była równie smutna jak wyschnięta ziemia. Mashe przechodził szukając schronienia, zobaczył go i podszedł bliżej:

- Dobry wieczór, panie. Dalibyście jaki kąt w chacie...

Mashe był razem ze swoją starą żoną i z dwiema dziewczynami, toteż Simon popatrzył na nich wszystkich myśląc o suszy i o własnych skąpych zapasach. Ale zaraz odparł:

- A czemu by nie, chodźcie do nas... Starzec z brodą użyczył gościny starcowi bez brody. Gdyby miał do czynienia z białym, może by tego nie zrobił. Bo też ów pszeniczny kolor skóry zbierał ich i napełnił poczuciem wspólnoty rasy i ziemi, z jakiej pochodzili, tej cudzej ziemi, którą mimo wszystko kochali, gdyż była ich celem i przeznaczeniem.

Przy podwieczorku Timoteo nie mógł się napatrzeć na jedną z dziewczyn, którą nazywali Jacinta. Potem Mashe opowiedział dzieje Huairy i na koniec dodał:

- No i tak to przyszedliśmy do was, zebrać o ten kawałek miejsca, choćby i najmniejszy skrawek na tej wielkiej ziemi...

A Simon odrzekł:

- Mnie tam nie trza tego powiadać... Ja też zszedłem kawał drogi, jakem tu przybył... I ta ziemia też nie moja, nie nasze te pola, tylko my je obsiewamy... Szuka człek swego miejsca na świecie i wciąż go nie ma, a jak ma, to jeno pożyczone... A toć to tylko mały skrawek, żeby się mieć gdzie podziać...

Trzej mężczyźni cmokając żuli kokę i smakowali ją do woli. Simon dorzucił:

- Niejedno wiecie, nieprawda? Ale i wam się przytrafiło to, co temu białemu lisowi...

I z chytrą prawdziwego gawędziarza zamilkł, aby sprowokować wyczekującą ciszę. W rodzinie Mashego wszyscy przepadali za przypowieściami, toteż zamienili się w słuch.

Ci, którzy już znali tę historię, też chętnie nadstawiali uszu, bo Simon za każdym razem dodawał do niej jakiś nowy szczegół.

- A było to w czasach, kiedy wielki głód spadł na lisy. I był tam jeden taki, co to już nie mógł tego ścierpieć. Chodził głodny okrutnie, a tu wszystkie zagrody miały wysokie płoty i wszędzie było dużo psów. I ów lis tak powiada: „Nie ma co, tutaj głupi nic nie zwojuje, trza się wziąć na jaką chytrą”. I zaczął się koło młyna, odczekał, aż młynarz odejdzie, i wytarzał się w mące, aż był ze wszystkim biały. A w nocy podszedł pod jedną zagrodę: „Mee, mee”, beczy, całkiem jak owca. Pastuszka wyszła i patrzy, a tu pośród nocy coś bieleje, więc powiada: „Jedna owieczka mi się została na dworze.” Otworzyła wrota i wpuściła lisa. Psy szczekały, a lis tak sobie mówi: „Poczekam, niech usną i psy, i owce. Potem wyszukam sobie najtłuściejsze jagniątko i jak się puszcę biegiem, kto mnie dogoni.” Jak rzekł, tak i zrobił, ale wyjść, nie wyszedł. Bo nie pomyślał, że może mu przeszkodzić ulewa. Jak się rozpadało, deszcz mu zaczął splukiwać mąkę z

sierści, a jedna owieczka, zaraz obok niego, zobaczyła, że coś się bieli na ziemi, i tak sobie myśli: „Która to moja siostra tak zmienia maść?” Dobrze się przyjrzała, patrzy, a to lis, więc dalejże beczeć. Inne też zobaczyły i też beczwały, a na to wpadły psy i raz, dwa, zrobiły z lisa siekaninę... A ja wam tak rzeknę: żebyś nie wiem jak był chytry, to i tak wszystkiego nie przewidzisz... Ot, i my teraz: posucha nas gnębi, a i don Cipriana, i don Juvencia też, po równo małych i dużych. Tyle że te lisy poginą bez deszczu... Z nieba idzie na nie tylko posucha... My, biedacy, zawsze cierpimy od posuchy... Bo i sprawiedliwość wysycha, i dobre serca też...

Mashe przytaknął krótko:

- A pewnie, a pewnie...

I chciał opowiedzieć historię o ropusze, która się pyszniła, że mieszka w wielkim stawie, po czym staw wysechł i ropucha nie miała gdzie się podziać; ale obawiał się, że nie opowie tego tak, jak trzeba, i zamilkł. Po chwili spytał zacinając się:

- Myślę wziąć ten kawałek ziemi, tam gdzie te olchy... Co byście o tym rzekli?

- Ano, dobrze... Choć to teraz i dobrze, i źle... Ale jakby popadało, to się zobaczy...

Poszli spać. Przybysze złożyli zmęczone głowy na ganku, na tych kilku łachmanach, jakie mieli, i na tym, co im dała Juana.

Na nikogo sen nie spłynął lekko. Do późnej nocy słyszeli jeszcze wycie psów i wiatru.

XII. Wspomóż nas, Święta Panienko

Wysoko na niebie są święci i święte! Wszyscy niebiescy święci i święte, co czynią cuda. Wysoko na tym niebie, które teraz zsyła tylko gorycz. A każdy z tych świętych ma swoją specjalność. I wszędzie są ich wizerunki, aby ludzie mogli prosić o to, czego im potrzeba. Święty Izydor napelnia ziarnem kłosa. Ale nie napomykajcie mu o deszczach: w tych sprawach, przynajmniej w rejonie, o którym opowiadamy, najbieglejsza jest Święta Panienska z Góry Karmel. Natomiast zapobieganie wypadkom, jakie niosą z sobą deszcze, należy do świętej Barbary. Kiedy grzmi, ludzie zwracają się do niej tymi słowami:

Święta Barbaro, dziewico, wyzwól nas od pioruna i błyskawicy.

Święty Krzysztof jest patronem wędrowców, a święty Mikołaj - żeglarzy. Ma on swych czcicieli wśród indiańskich flisaków znad rzeki Maranon. Święta Ryta z Cascii służy pomocą w sprawach beznadziejnych, ale dzieli się nimi ze świętym Juda Tadeuszem. Święty Kajetan sprawia, że w domu zawsze są pieniądze i chleb. I tak dalej, i tak dalej. Na sam koniec zostawiliśmy świętego Antoniego, bo jest to największy cudotwórca, szczerzy, demokratyczny i najcierpliwszy ze wszystkich. Jest on specjalistą od rzeczy zagubionych i skradzionych, ponadto zaś wyszukuje pracę, kojarzy małżeństwa, uzdrawia chorych, ratuje z nędzy, zna lekarstwo na

niewierność, etc. A przy tym zadowala się małą ofiarą: jedna świeczka i kilka modlitw. Co więcej, jeśli nie ześle tego, o co go proszono, uszkodzony może wyrzucić na niego nacisk, aby zmusić go do zajęcia się jego sprawą. Niektórzy chłoszczą świętego. Inni ustawiają go do góry nogami. Jeszcze inni kaza mu wachać mocz. A także zabierają mu nowy ubiór - jeśli go akurat ma. Należną mu karę otrzymuje dopóty, dopóki cud się nie spełni. Jeśli nic nie działo, grozi mu nawet ucięcie głowy. Taki los przypadł temu, którego nosił w swej podróźnej sakwie dziad Simona Roblesa, poganiacz bydła. Stado mułów, które prowadził - ze trzydzieści sztuk co najmniej - zginęło mu w ogromnych punach Callacuyan. Szukał go przez trzy dni. Czwartego dnia, doprowadzony do rozpacz, wyciągnął z sakwy świętego Antoniego, postawił go na ziemi i jednym ciosem maczety uciął mu głowę. Ale nie należy zbyt szybko się spieszyć z bezbożnymi czynami! Wchodząc na wzgórze zobaczył w dali gromadę mułów, które poganiał przed sobą mężczyzna siedzący na oklep na jednym z nich, ostatnim w szeregu. Stado szybko posuwało się naprzód. Podeszło blisko. Były to jego muły. Były wszystkie, co do jednego, tylko poganiacz zniknął. I wtedy dziad Simona zrozumiał. Więc ustawił świętego, przymocował mu, jak potrafił, uciętą głowę, która trzymała się trochę krzywo na strzaskanej szyi, i klęknął przed nim płacząc i prosząc o przebaczenie. Od tego dnia był o wiele pobożniejszy. Oczywiście kazał porządnie skleić głowę świętego. Pobożność została przekazana potomkom razem z figurką, którą Simon ustawił na skromnej półce w kącie chaty. I właśnie ta figurka o posklejanej szyi była cudowna. Inne nie miały tego daru.

Ale obecne kłopoty nie podlegały świętemu Antoniemu. Trzeba było uderzyć czołem przed deszczową Świętą Panią, której wizerunek czczono w małym kościółku w Saucopampa.

I poszedł tam Simon Robles razem z całą rodziną - z wyjątkiem pastuszki - tak jak i inni chłopcy z okolicy. Co roku urządzano na cześć Matki Boskiej, patronki okręgu, procesję i odpust, ale weszło do tradycji wynoszenie jej także i wtedy, kiedy nie było deszczu. I wówczas sprowadzała ulewę. Robiła to chyba zawsze! Simon, który już był stary, pamiętał tylko jedną suszę, a zdarzyła się ona, kiedy jako mały chłopiec pasał owce.

W nocy były modły, żółty płomień świec na ołtarzu i wołanie wiernych: „Wspomóż nas, Święta Panią”, ciżba czarnych głów tłoczących się w ciasnej nawie kościoła, woń dymu i wełny, błagalne spojrzenia skierowane w obraz i wreszcie sen pełen rolniczych marzeń - w kościele, w domach osiedla i pod gołym niebem.

Nazajutrz rano, gdy tylko wstał dzień, odbyła się procesja. Słońce rozsiewało blask na niebie, na którym tylko z rzadka pojawiał się obłok. I jeszcze więcej Indian i cholos - kolorowe świąteczne ubiory i stroskane serca - którzy zbiegali drogami wijącymi się po zboczach, stokach i stromiznach i zatrzymywali się dopiero pośród spokojnego morza głów na rynku. Diń, diń, diń,

diń... śpiewał dzwon zwołując wiernych. I wreszcie pojawiła się Święta Panienska, biało-różowa, w szacie z fioletowej satyny obrzeżonej cekinami, umieszczona na małym feretronie, o którego niesienie ubiegało się wielu chętnych. Wyprostowana, uroczysta, o wielkich oczach utkwionych gdzieś przed sobą, w smutnej dali, gdzie szarzały dogorywające na polach zboża. Indianie i cholos tłoczyli się wokół feretronu i ciągnęli za nim wydłużoną ławą. Głowy uczesane lub z nastroszonymi czuprynymi. Ciemne twarze, skupione i pełne pobożności. Czarne szale, poncza fioletowe i piaskowe, z kolorowymi wypustkami. Spódnice czerwone, żółte i zielone, spodnie czarne i szare. W jednej ręce świeca, której dymiący płomień bladł w blasku słońca, a w drugiej biały lub żółty kapelusz. Nad szmerem modlitw górowało drżące wołanie: „Najświętsza Paniensko, wspomóż nas.” Procesja wyszła z uliczki i posuwała się polną dróżką, aż dotarła do wierzchołka wzgórza, gdzie otwiera swe wielkie ramiona ustawiony na prostym kamiennym postumencie krzyż, cieszący się największą sławą w całej okolicy. Tutaj wszyscy się zatrzymali i uklękli, aby wznieść modlitwę: „Wspomóż nas, Święta Paniensko! Daj nam deszcz, dużo deszczu!” Wracali wolno, bardzo wolno. Pochód zamykała gromada psów, wśród których był i Skórka. Zwierzęta z niechęcią obserwowały całe to widowisko. Marsz był męczący, a poza tym głód nie przysparza dobrego humoru. Dalej, w środku tłumu, szedł oczywiście Timoteo, trzymając się blisko Jacinty. Gdyby tak wróciły dawne czasy! Zagłębiłby pług w ziemi, a potem rzekłby dziewczynie:

- Trza by co zjeść. Chodźże ze mną.

Wzięłyby ją za żonę. Ale teraz było to niemożliwe. Co gorsze, już jej teraz tak często nie widywał. Stary Mashe wyniósł się razem ze swoją rodziną na działkę z olchami. Sklecił tam jaką taką chałupinę i wykarczował, na próbę, suchą ziemię. Gdyby tak teraz spadł deszcz! „Wspomóż nas, Święta Paniensko!” Timoteo chętnie by się zabrał do siewu. „Wspomóż nas, Święta Paniensko!”

Procesja wkroczyła do osiedla bardzo późno.

Simon Robles wracał do domu pełen nadziei, ale też i trochę smutny w głębi duszy. Kiedy indziej Święta Panienska przynosiła jedynie radość. Nie musieli jej prawie o nic prosić, a jej święto obfitowało we wszelkie dary boże: cziczę, jedzenie, kobiety, taniec. Simon z ochotą grał na flecie i bębenu, zachęcał do tańca i sam tańczył, kiedy inny „mistrz” zabierał się do grania. Lubił też, nawiązując do procesji w tym świątecznym dniu, opowiadać o przedziwnym wydarzeniu, jakie miało miejsce podczas jarmarku we wsi Pallar. Mieszkańcy tej miejscowości mieli bowiem zwyczaj co roku wynosić adorowaną przez nich figurę Matki Boskiej aż na szczyt pobliskiej stromej góry. Figura była bardzo duża i ciężka, feretron zaś, rzecz jasna, też musiał być taki, toteż w połączeniu z niewygodną i wąską drogą wszystko to składało się na trudną próbę dla wiernych,

którzy dyszeli i oblewali się potem forsując zbocze. Cały ów wytężony i bolesny wysiłek był hołdem dla Niepokalanej Dziewicy i dlatego za feretronem szli tancerze i chór, śpiewając:

To wszystko i stokroć więcej należy się naszej Pani.

To wszystko i stokroć więcej dzisiaj składamy jej w dani.

Droga, okrążająca skaliste wzniesienia, okazała się tak nierówna, że większa część uczestników procesji wcale nie widziała świętej figury, co oczywiście nie przeszkadzało im - jako że brali na siebie w pewnej mierze trud i cierpienia tych, co dźwigali feretron - co jakiś czas powtarzać refrenu pieśni. Nagle jeden z idących na czele poślizgnął się, inni się zachwiali, feretron obsunął się na skały, przy czym pękły linki podtrzymujące Świętą Panienkę. Figura potoczyła się w dół po stromiznie odbijając się od głazów i rozpadając na kawałki, a wierni tymczasem nie ustawiali w śpiewie:

To wszystko i stokroć więcej należy się naszej Pani.

To wszystko i stokroć więcej...

Kiedy ktoś podbiegł do nich mówiąc, żeby zamilkli, z nieszczęsnej figury zostały już tylko drzazgi.

Teraz jednak Simon nawet nie próbował przypomnieć tej historii. Szedł, jakeśmy to już mówili, z sercem pełnym troski. Nie miał w ustach wesołych i żartobliwych słów ani słodkiego świątecznego smaku cziczy. Przaśne były modlitwy i jeśli czymś pachniały, to chyba tylko krwią i cierpieniem. Mimo wszystko nie tracił ufności, a nadzieja na deszcz działała pokrzepiająco. Święta Panienka czyniła przecież cuda! Żona i dzieci szły za nim w milczeniu. Skórka dreptał patrząc w ziemię. Suchy wiatr niósł z sobą pył i zatykał oddech. Daleko, bardzo daleko, nad południowymi szczytami płynęła duża, ciężka chmura.

„Wspomóż nas, Święta Panienko!”

XIII. Jakim głosem przemawia susza

Nie pada - mówili wieśniacy w dziesięć dni po procesji.

Zasiewy już przepadły, ale oni wciąż czekali na deszcz. Można było zasiać na nowo. Ziarno zdążyłoby jeszcze wejść, zwłaszcza gdyby je zrosiła nadzieja oczekujących ludzi.

I pewnej nocy nastąpił cud. Usłyszeli upragniony odgłos deszczu. Padał długo i obficie, nasycając ziemię miłym zapachem. Nad ranem ciągle jeszcze łagodnie chłostał pola. I mężczyźni znowu zaprzęgli woły, chwycili za czepigi, wyorali bruzdy i wrzucili w nie ziarno. Serce - ono przede wszystkim - to gleba zawsze wilgotna i niezawodna.

Po raz drugi wykiełkowały młode roślinki, jakby radując się, że wyjrzały na świat, który na nie czeka. Deszcz nie ustawał przez wiele dni. Wszystko rozwijało się. Cudowna Święta Panienska!

Ale ból, głód i śmierć to bat, który wciąż wisi nad nami. Niebo znów się oczyściło, ziemia straciła swe soki, a wszystko, co żyje, poddało się cierpieniu.

Dni mijały na jałowym oczekiwaniu. Któregoś wieczora Simon Robles poszedł do owczej zagrody i długo przypatrywał się trzodzie. Poprzedniego roku zjedli i sprzedali sporo owiec, w nadziei, że na przyszłość nie będą musieli tego robić. No i zostało im niecałe pięćdziesiąt par, a tu deszcz ustał.

Czy mają zjeść wszystkie bydłatka? Pozbawić się wełny na samodziół? Żal mu było biednych owieczek, co leżały na ziemi, łagodne i miłe, nieświadome swego losu. Podszedł do psiej budy i przez chwilę bawił się z psami. Były chude, bo niedojadały; ale na jego widok radośnie i serdecznie machały ogonem. Wańka oszczeniła się jeszcze dwa razy i małe znowu wrzucono do wody. Biedna Wańka! Mimo wszystko postąpili słusznie.

Nazajutrz Simon dosiadł Pędziwiatra - z powodu niedostatku paszy imię to pasowało do niego bardziej niż kiedykolwiek - i pojechał na pastwiska, gdzie trzymano konie i krowy. Na próżno przez cały dzień szukał swojej krowy: nie znalazł jej. Nie ulegało wątpliwości, że nadeszły złe czasy. Mroczny i ponury wrócił do domu.

Ale jeszcze pozostała ludziom resztką nadziei. Niebo igrało z ich sercami i z niespokojną żywotnością ziemi. Znowu przez kilka dni spadło trochę deszczu. Dogorywające rośliny ożyły, wróciła im rzeźkość, próbowały się podnieść. Ale nie zdołały wytrwać w swym uporze. Nie zaspokojone pragnienie znów zaczęło je dręczyć i w końcu się poddały. Simon wyniósł na strych wielki dzban i dwa ogromne garnki. Ustawił je w kącie i powoli, jakby spełniając jakiś obrządek, napełnił naczynia pszenicą, nasieniem wyki i kukurydzą. Starannie przykrył je pasującymi do nich miseczkami z tykw, a potem, spojrzawszy na niemal doszczętnie opróżnione zasobniki, w których przechowywał zapasy, zszedł na dół i powiedział do Juany:

- Odłożyłem ziarno na siew.

Wszystko zawarł w tych słowach. Juana poczuła w głębi duszy przyływ takiej rozpacz, że gdyby to było możliwe, własnymi łzami zrosiłaby pole. Ale w dalszym ciągu z pogodną twarzą krzątała się przy palenisku zacisnąwszy pełne usta, i tylko odrzekła:

- A to i dobrze.

I nadeszły długie, bezlitosne i przygnębiające dni suszy. Płakali przez nią nie tylko ludzie i zwierzęta. Cała natura krzyczała złowieszczym głosem o pragnieniu i śmierci.

Wiatr świszczał nad puną unosząc ze sobą chmury, od ziemi wzbijały się powietrzne wiry, a odpowiadała im długa modlitwa zwiędłych liści na drzewach. „Nie pada”, jęczała bliska agonii niteczka wody z samego dna rzecznej koryta. „Nie pada”, powtarzały nadbrzeżne olchy, roniąc liście i wykręcając konary. „Nie pada”, wtórowały chórem trawy, gdy mierzwiły się, żółkły i ginęły usychając na ziemi. Głos ten docierał aż do wielkiego domu na hacjendzie. „Nie pada”, mówiły otaczające dwór wysokie i surowe eukaliptusy i metalicznie podzwaniały liśćmi.

Rozjarzone słońce jaśniało na pięknym, błękitnym niebie. Życie biegło jak pod kryształowym kloszem i byłby to widok radosny, gdyby się przy tym nie patrzyło na ziemię. A ziemię - wąwozy i strome zbocza, wzgórza i niziny wraz z niszczejącą trawą i szkieletami drzew - ogarniała rozpacзлиwa symfonia szarości.

Wiatr ciągle wzbijał kłęby pyłu i wykradał chmury, aby zepchnąć je aż za ostatnie szczyty, kto wie dokąd. I wciąż to słońce, jasne i płonące od zorzy do zorzy. I od zorzy do zorzy zawsze nieskalane niebo, które uśmiechało się ponad ludzką rozpaczą.

Noce ciągnęły się bez końca. Nigdy nie były tak czarne, nigdy tak głębokie. Wiatr był rozsiewając woń kurzu, rozkładu, trupów. Jeśli wschodził księżyc, to nad tą zamierającą naturą, nad drzewami, co schły albo już wcale nie miały liści, zdawał się przewodzić jakiemuś soborowi duchów.

Susza przyniosła z sobą nocne przymrozki, toteż pola wkrótce stały się podobne do brunatnych płacht. W porowatych brzdach ani jeden ptak nie zakwilił, nie było ani cienia słodkiej, młodej zieleni kielkujących roślin.

Ludzie i zwierzęta, zmęczeni i skuleni, snuli się pośród smutnej szarości pól. Wydawali się bardziej szkieletowaci niż drzewa, bardziej wynędzniali niż poskręcane trawy, mniejsi niż wypalone na słońcu kamienie. Tylko ich oczy, oglądające tę stanowczą odmowę jaśniejącego nieba, zdradzały ból, który pulsował dramatyczną wzniosłością. Drgała w nich agonია. Były to oczy życia, co nie chciało umierać.

XIV. „Przyszedł na nas głód”

Czas płynął, a jego obojętna miarowość pogarszała istniejące zło. Woda sączyła się maleńką stróżką na dnie najgłębszego wąwozu. Don Cipriano zrezygnował z odprowadzania jej na swoje pola. Kobiety musiały wchodzić z dzbankami pomiędzy skały i głazy w korycie rzeki i tam czerpały wodę do picia. A wiadano, że niżej, nad brzegami Yana, gdzie rosła koka i drzewa pomarańczowe, ludzie umierali przy wodopojach, walcząc pięściami i z bronią w ręku o tę odrobinę wilgoci, jaka zdołała do nich dotrzeć. Pewnego dnia don Romulo podsunął myśl:

- Panie dziedzicu, a może rząd...

- Rząd? - warknął oburzony don Cipriano. - Pan nie wie, co to jest rząd. Z Limy inaczej się patrzy na te sprawy. Ja tam byłem. Kiedyś był straszny głód w Ancash, a rząd miał to w nosie. Zastępca prefekta, jeżeli nie jest bydlakiem, na pewno już zawiadomił stolicę. Mogę się założyć, że rząd nic nie zrobi...

Po tak przekonywującej odpowiedzi don Romulo nie powrócił już do tego tematu i, rzecz jasna, poprzestał na szarpaniu wąsa.

Simon tymczasem posłał syna do Martiny, a kiedy chłopak wrócił, odbyła się taka oto rozmowa:

- Nie chce przyjść... Zjadają owieczki. Pszenicy nie ma. Mówi, że tylko patrzeć, jak Mateo wróci...

Simon odparł krótko:

- Wróci, a juźci! Durna dziewczucha! Zaniesiesz jej miarkę pszenicy...

Bydło bezkarnie rozwalalo płoty - i po cóż mieli temu przeszkadzać? - i rozbiegało się po polach, aby na próżno a zawzięcie węszyć za pokarmem. Dawniej takie wejście w szkodę oznaczało napelnienie brzucha. Teraz po długim galopie zwierzęta przekonywały się, że na zewnątrz jest tylko trochę lepiej niż w zagrodzie.

Krowy ryczały marząc o obiecujących dalekich krainach i ruszały przed siebie, aby iść, iść bez końca, ale przekonywały się, że zieleń, zawsze i niewątpliwie, pozostawała za najbardziej odległymi górskimi grzbietami. I wracały ze zwieszonym łbem, z coraz wyraźniej widocznymi żebrami odznaczającymi się pod ziemistą i matową skórą.

Kozy - don Cipriano miał ich bardzo dużo - wspinały się na głązy i skały, bo niepokój gnał je, gdzie oczy poniosły. Dzięki zręczności i zamiłowaniu do karkołomnych skoków udawało im się czasem znaleźć kępkę rzadkiej, suchej trawy, która jeszcze tu i ówdzie pozostała w jakiejś skalnej szczelinie. Zazwyczaj jednak takie wspinaczki ukazywały im tylko w jeszcze bardziej bezwzględny sposób rozmiary głodowej klęski.

Łagodne owce dysząc kładły się przy ścieżkach. Nieukozone rzenie żrebacków wstrząsało nagimi skalnymi szczytami, a wychudłe psy wpadały w gniew i szczekały. Szczekały zwracając się ku horyzontowi, ku niebu, czekały na każdy widmowy cień.

Głód kąsał żołądki żarłocznymi, nieubłaganymi szczękami. Chłopi raz i drugi zachodzili do dworu na hacjendzie. Posłuszni radom don Cipriana odłożyli swego czasu tyle zboża, ile było można, ale już im nie starczało. Położenie uciekinierów z Huaira było, rzecz jasna, jeszcze smutniejsze. Prawda, że Indianin, nienasycony w okresach obfitości, potrafi w porze głodu zadowolić się kilkoma kęsami. Ale ta niewielka pomoc dziedzica tak czy inaczej już się

wyczerpywała. Miejscowi zaczęli patrzeć podejrzliwie na przybyszów. Szczodrze otwarta dłoń zacisnęła się teraz. A wydeptywanie przez Indian ścieżek do dworu wywoływało wrogą nieufność.

Don Cipriano, jeśli proszących była duża gromada, uparcie wykręcał się od udzielenia pomocy:

- Nie, nie ma, nie mam i dla siebie...

Ale temu i owemu kazał zostać i po cichu, jakby ukradkiem, sypał mu do sakwy trochę jęczmienia. Po czym mówił, dając do zrozumienia, że darzy wybranego specjalnymi względami:

- Nie mów nikomu. Robię to tylko dla ciebie...

Bo taki już był don Cipriano.

Ale proszących było coraz więcej i w końcu dziedziec musiał naprawdę odmawiać. Nieustannie słyszał płacz i błagania, toteż, choć zawsze miał nieulekłe serce, teraz sam stchórzył. Stał się przez to jeszcze bardziej nieprzystępny.

Zresztą głód jakby sparaliżował chłopów. Siedząc na progu chaty żuli kokę - jeśli ją mieli - od czasu do czasu rzucając jakieś krótkie słowo. Oni umieli tylko siać i zbierać. Rytm ich życia wyznaczała praca na roli. A teraz to właśnie sprawiło, że, związani z ziemią, umierali.

Ale jeśli dla człowieka głód jest smutną rzeczą, to jeszcze smutniejszą jest dla zwierzęcia. Krowy rozwiązały ten problem jedząc kaktusy i owoce opuncji. Były kolczaste i gorzkie, ale wewnętrzny głos życia jest nieubłagany. Kozy skubały chamizę, a owce i konie przeprosiły się z suchą i kłującą ostnicą. Ale psy czuły, że nie ma dla nich ratunku. W domu przeważnie już nie dawano im jeść. Musiały wybiegać na pola - i tak oto pojawiły się pierwsze wędrowne gromady psów, gnane bez opamiętania nie zaspokojonym łaknieniem.

Wańka i jej towarzysze w dalszym ciągu służyły swym panom. Można powiedzieć, że dzieliły z nimi ich nędzę. A ludzie, tak jak i psy, coraz bardziej chudli. Simon Robles nie opowiadał już dykteryjek. Zapomniał też o flecie i bębenu: flet leżał porzucony na półce, obok świętego Antoniego, a bębenek wisiał opodal - niezmienny księżyc w pełni, jaśniejący w ciemnym kącie. Bo nadszedł dzień patrona Saucopampy i obchodzono go tylko modlitwą; zresztą przyszło na to święto niewiele ludzi. Co mieli jeść i pić, jeśli nie było pożywienia, a cziczę robi się wszak z kukurydzy, nie z kamieni? Cóż mieli grać, jeśli jedyną melodią było dzikie wycie wiatru? Co mieli tańczyć i śpiewać, jeśli nikt nie miał do tego serca? Święta Panienska stała zapomniana przez swe dzieci, tak samo święty Wawrzyniec, patron Paucar. Jego kaplica, wybudowana nie opodal dworu, była zawsze otwarta i chłopci przychodzili tam, by zanieść prośby do świętego, tak samo jak chodzili prosić don Cipriana. Pewnego dnia poszła tam Juana i wróciła bardzo przestraszona. Otóż zwykle przed wizerunkiem świętego sterczał pęk kłosów. Chłopi

składali mu je co roku, bo są one dla nich najpiękniejszymi kwiatami ziemi. A teraz pełen ziarna bukiet zniknął.

- Bezbożnicy! - rzędziła Juana.

- Kiedy się zgodził, coby mu zabrali, znaczy, że tak chciał - tłumaczył Simon, uspokajając żonę.

Vicenta zapomniała o tkanyim właśnie samodziale, a Timoteo chciał zapomnieć o Jacincie. Antuca zaś nadal razem z psami wyprowadzała stado. Wańka, Zambo i Skórka jak dawniej biegły za trzodą, ale ich ruchy zdradzały zmęczenie, a w ujadaniu niewiele było zapału.

Pewnego dnia Antuca przypomniała sobie piosenkę:

Słońce moim ojcem, Księżyc moją matką, a jasne gwiazdeczki to moje siostrzyczki.

Ale jej głos nie brzmiał tak jak kiedyś. Przestraszyła się własnego śpiewu. I w panteistycznym odczuciu, przejętym od indiańskich przodków, zrozumiała, że ciemne i potężne siły przyrody wypowiedziały wojnę człowiekowi i zwierzęciu.

- Chmuro, chmuro, chmuuuuurooo... Wietrze, wietrze, wieceetrzeee...

Nie, już nie było tak jak przedtem. Obłoki wznosiły się, malały i odpływały w ogromie nieba, na skrzydłach wiatru. Dawniej przychodziła gęsta i ciężka mgła i owijała pastuszkę tak szczelnie, że czasem Antuce, obracającej wrzeciono, zdawało się, iż przedzie samą mgłą.

Ale teraz zaledwie lekki opar unosił się znad Yany i zaraz znikał. A wiatr, co niegdyś pędził chmury i zapowiadał deszcz, teraz porywał je z sobą, świszcząc obelżywie nad leżącą odłogiem ziemią.

I dla człowieka, i dla zwierzęcia nie było znikąd opieki.

Co gorsze, Pancho już nie przybiegał, by grać na swej antarze huaynos czy manchaipuitos. Jeszcze jakiś czas temu, gdy przychodził, za każdym razem zjawiał się z coraz szczuplejszym stadem; teraz zaś na pewno on i jego rodzina zjedli już wszystkie owce.

A tak dobrze było przebywać z Panchem! Choć, co prawda, ona już nie mogła mu nic ofiarować. Kiedyś marzyła o tym, że będzie duża, będzie miała szerokie biodra i krągłe piersi, tak jak Vicenta w czasie żniw, i pokocha go z całych sił, i będzie miała dzieci. Ale głód i ją jakoś pomniejszył. Pod bawełnianą bluzką i samodziałową spódnicą krył się pozbawiony ciała szkielet. Jej duże oczy lśniły smutno i wydawały się jeszcze większe w bladej twarzy o zapadniętych policzkach. Podobnie działo się z psami. Wańka, Zambo i Skórka, bardzo chude, pyski miały wydłużone, boki zapadłe i tylko ślepia im płonęły. Owce, o nędznym runie i smutnym spojrzeniu, ledwo się ruszały; ich dola była równie żałosna.

I pewnego wieczoru, kiedy Antuca mocniej niż kiedykolwiek odczuła wrogość natury, własny ból i samotność, i cierpienia zwierząt, w takich oto kilku słowach streściła wszystkie swe nieszczęścia:

- Ano, tak, moje owieczki, przyszedł na nas głód...

XV. Wygnanie

Zwierzę kocha tego, kto daje mu jeść. I bez wątpienia tak samo ma się rzecz ze zwierzęciem wyższego rzędu, jakim jest człowiek, chociaż dostaje on swą porcję pożywienia w postaci ekwiwalentów. Stąd też dawny sentyment podwładnych do panów. A uczucie to na pewno nie jest niczym innym jak fizycznym wspomnieniem, pierwotnym przywiązaniem do ziemi, wody, powietrza i wszystkich życiodajnych zjawisk. Koniec końców, głód to życiowa potrzeba, toteż poszukiwanie jedzenia jest rzeczą całkowicie usprawiedliwioną. Ale zwierzę żyjące w niewoli stało się tchórzliwe, trud i mozół drogi stępiły mu pazury, a drapieżna łapa wyciągnęła się w błagalnym geście. Ten jeden lekki obrót nadgarstka zawiera w sobie wiele rozdziałów historii ludzkości.

Jednakże epoki tragiczne obfitują w przykłady zmartwychwstania. Toteż w naszych czasach łapa drapieżnika pojawiła się znowu. Zaczęto wyznaczać granice między ludźmi a zwierzętami, między człowiekiem a człowiekiem, między zwierzęciem a zwierzęciem. U Simona Roblesa wszakże od wielu lat trwało poczucie wspólnoty łączące tych, którzy żywili innych, bo, rzecz jasna, dawać jedzenie to także starać się o nie. Psy i ludzie lgnęli do siebie nawet i w nieszczęściu. A i porcje pokarmu były głodowe, toteż wierność psów po trochu traciła na sile. Zjawisko to znają dobrze władcy i pracodawcy - panowie najwyższej rangi - a i Simon zdawał sobie z niego sprawę, bo w życiu swym zaznał już głodu i widział głodowe cierpienia innych; ale nie mógł nic na to poradzić - z próżnego nie nalejesz.

I oto co się stało.

Antuca pasła owce na wyżynie - jeśli można nazwać pasieniem wyprowadzenie stada na halę, po to by dreptało po resztkach wyschłej trawy wyskubanej aż do korzeni.

Pastuszka usiadła przędąc nitkę z niezbyt obfitej kądzieli, a wychudzony Zambo skulił się u jej boku i drzemał. Nagle otworzył ślepią, nastawił uszy, węszył chwilę i miękkim, ostrożnym krokiem umknął od swej pani. Kiedy zauważyła, że psa przy niej nie ma, zawołała go. Niczyje posłuszne ucho nie złowiło jej głosu. Przestraszona zerwała się z miejsca i spostrzegła, że inne psy też zniknęły.

- Wańka!... Zambo!... Skórka!...

Czyżby została sama ze stadem? Weszła na duży głąz i zobaczyła psy: tłoczyły się wszystkie wokół czegoś, w jakimś wykrocie. Podbiegła tam i nie chciała uwierzyć w to, co się działo. Zagryzły owcę i właśnie ją pożerały. Krzyknęła na nie, wymachiwała rękami, podniosła kij od kądzieli, ale wszystko na próżno. Na jej krzyki i gesty odpowiadały głuchym warczeniem i w dalszym ciągu, dławiąc się, pochłaniały mięso. Ich pani już nie była tą osobą, która daje im jeść. Ona chciała im to i jedzenie odebrać. Nawet Wańka zaniósła się wściekłym ujadaniem.

Antuca, przerażona, sama pognęła stado z powrotem i płacząc weszła do domu.

Psy opuściły swą zdobycz dopiero późnym wieczorem.

To Wańka zainicjowała tę ucztę. Leżała w jakimś wgłębieniu, chroniąc się przed wiatrem - osłabienie sprawiło, że odkryła, co to chłód - kiedy spostrzegła zbliżającą się dużą owcę. Jakaż to nagle gorączka rozgrzała ją i kazała wykorzystać nieuwagę i niewinność jej ofiary? Zapomniała o dawnych matczynych wymionach. Dała susa i powaliła na ziemię owcę, która nawet nie zdążyła wydać z siebie głosu, bo wściekle ukąszenie rozerwało jej szyję. Wańka zachowywała się tak, jakby od lat była do tego przyzwyczajona, i nie dziwiły jej ani własne umiejętności, ani pomyślny rezultat. Poczwszy smak i ciepło krwi żarłocznie wpiła zęby w swą zdobycz i pierwszy kęs ciepłego mięsa został rozerwany jej silnymi szczękami. Poczła się tak, jakby jej kły i język, i całe ciało brały udział w pradawnej uczcie - spowijał ją gorący opar krwi, która lała się czerwieniąc ziemię. Potem zjawił się Skórka i na koniec Zambo. Kiedy nadbiegła Antuca łając psy i wygrażając im, nie zdziałała nic prócz tego, że je rozdrażniła. To była straszliwa radość - zanurzyć pysk we krwi, a zębami kruszyć kości, rozrywać elastyczne ścięgna i żuć chude mięso, i łykać, łykać, aż poczuje się, że brzuch jest ciężki i nowe ciepło ogarnia cały organizm, a nowa energia dodaje mu sił. Czas już nic nie znaczył. Oto trzy drapieżniki z epoki jaskiniowej szarpały zdobycz upolowaną pośród szerokich, rozległych pustkowi, gdzie toczyło się ich wędrowne życie. I tak póki się nie nasyciły. Wtedy przyszło uspokojenie i spostrzegli, że stada już nie ma, że puna jest straszliwie pusta bez owiec, a ciemne skalne szczyty tchną powagą i zaskakującym smutkiem. Wańka w milczeniu ruszyła w drogę powrotną, a pozostałe psy biegły za nią. Mimo pełnych żołądków i poczucia siły ten samotny bieg, bez trzody, której zawsze pilnowały, nie był radosny. Krótkim i nieco ciężkim truchtem zwierzęta zbliżały się do rodzinnej zagrody. Przystanąły niezdecydowane. Czy wejść tam? Była pora posiłku. Bały się, a jednocześnie pragnęły wejść, zając swoje miejsce przy korycie z jedzeniem, a potem, jak co dzień, wyciągnąć się na legowisku, na słomie. Ale już nie było tak jak co dzień. Zostały wyhodowane, aby strzec ludzi i owiec, przez całe życie to robiły i teraz nagle, niemal tego nie rozumiejąc, zadały śmierć. Na pewno człowiek zmieni swój stosunek do nich.

Noc jeszcze nie zapadła, ale cienki rąbek księżycy tkwił już pośród bawełnianej bieli obłoków.

Po dłuższej chwili podeszły do chaty, niepewne, zaleknione, ze spuszczoną głową, podkuliwszy ogon. Simon siedział na ganku. Zbliżały się, z czerwonymi pyskami i z pełnymi, obwisłymi z przejedzenia brzuchami. Człowiek wziął gruby kij leżący obok i ruszył ku nim. Zaskowyczały uciekając przed ciosami, a on ciskał przekleństwa i ścigał je razem z całą swoją rodziną, która też pojawiła się zaraz, zbrojna w polana. Psy przystanęły i pokornie próbowały wrócić, ale mężczyźni i kobiety znów podjęli atak i odegnali je precz. Jakby nie chcąc pozostawić winowajcom cienia wątpliwości, miotali kamieniami, a celny rzut Timotea zabarwił bok Wańki. Kiedy przyszła noc, psy zbiły się w gromadkę i raz jeszcze usiłowały wrócić, na nowo pozyskać człowieka czy choćby miejsce w chacie lub w zagrodzie. I to nie dlatego, aby w tym momencie miały nadal zamiar jeść owcze mięso. Ale człowiek czuwał. Simon pamiętał, że podczas ostatniej klęski głodu, kiedy psy zaczęły rzucać się na bydło, trzeba było je zabijać albo wyganiać, bo potem robiłyby to już zawsze, ilekroć poczułyby głód. Musieli więc działać szybko i energicznie. Dlatego stał wciąż na straży, czuwając na ganku z kijem w rękę.

Wańka i jej towarzysze patrzyły nań przez chwilę, po czym, wreszcie pojawiwszy, ruszyły w przeciwnym kierunku. Przed nimi rozpościerały się rozległe pola.

* * *

Indianin Mashe, jakeśmy już mówili, zbudował chałupkę na wybranej przez siebie działce pod kępą olch. Te powykręcane drzewa andyjskich wyżyn - andyjskie figowce - dostarczają drewna na opał, ale na tym drewnie nie było co gotować. W małej chatce o słomianym dachu i ścianach z gałęzi ogień na palenisku świecił ludziom czekającym na posiłek.

Tego dnia Indianin Mashe przyszedł bardziej smutny niż zwykle. Życie tak mu ciążyło, jakby dźwigał na plecach kamienie.

- Nic nie ma... Dziedzic nie chciał dać. Nie ma...

Siadł ciężko na progu i nie chcąc pokazać zaciśniętych pięści objął rękami kolana. A jego milczenie krzyczało o tragedii - cierpieniach ziemi i niepomysłnych czasach - którą było całe jego życie.

Jacintę ogarnął żal i wyszła poszukać czegoś do jedzenia. Chyba nie chciała się sprzedać. Indianki, które oddają się mężczyznom na polu, nie robią tego dla pieniędzy. Kładą się na szerokiej ziemi i patrząc w błękitne niebo albo w gwiazdy biorą mężczyznę z godnością, a pełna prostoty i czysta rozkosz rozjaśnia im życie. Jacinta szła po to, co mogła jej użyczyć czyjaś ręka wyciągająca się zza drzwi chaty. Kilka razy dostała trochę jęczmienia. Może i teraz znowu...

Na drodze zobaczyła ślady krwi. Wciągnęła nosem powietrze i coś jej powiedziało, że nie jest to krew człowieka. I wiedzioną instynktem zwierzęcia, które czuje bliską zdobycz, ruszyła na jej poszukiwanie. Znowu krew, znowu następny ślad. Tak, to było tam. Pobieгла. I oto czerwone i białe szczątki zabitej owcy: kłaki wełny, porozrzucane ochłapy i kości. Po krótkim wahaniu zebrała to wszystko w chustę i zarzuciła zawiniątko na plecy.

Staremu Mashe rozbłyły oczy. Kiedy Jacinta dokładnie opowiedziała, jak znalazła ten skarb, ojciec rzekł:

- To psy ją zagryzły, ani chybi... Dałbym za to mój stary łeb, choć i on niewiele wart...

Upiekli mięso na ogniu. Szarpali kawały mięsa i obgryzali kości. Stary Mashe wziął dwa kamienie i miażdżył kości, aby wyssać szpik. Kiedy zapadła noc i ciemności otuliły chatę, oni ciągle jeszcze gryzli i mlaskali, powoli i mozolnie.

* * *

Nazajutrz Wańka i jej bracia przypomniwały sobie o swej ofierze. Znalazły, rzecz jasna, tylko trochę krwi, którą wchłaniała już ziemia i wysuszało słońce.

A więc dalej, na poszukiwanie żeru. Dokąd?

I tak zostały rzucone na pastwę nie kończącej się udręki na ścieżkach głodu.

XVI. Oczekiwanie, ciągle oczekiwanie.

Wolno płynący czas, czas cierpień biednych ludzi, mijał nie przynosząc powrotu Matea Tampu. Chociaż, po prawdzie, wydawało się, że teraz już wróci. Może i tak. Martina nie wiedziała dokładnie, jak długo potrwa jego nieobecność, ale myślała, że wkrótce będzie tu znowu, że pewnego dnia zobaczą, jak podchodzi na zbocze takim samym ochoczym truchtem jak niegdyś. A może odległe wzgórza czują już na swych grzbietach niespokojne kroki wędrowca. Pewno co dzień przemierza duży szmat drogi, siadając tylko na chwilę, aby odpocząć, i zaraz znowu podejmując marsz. O świcie ukaże się na ścieżce.

I czekając, wciąż czekając, Martina milcząco opierała się klęsce posuchy. Jeszcze mogła żyć. Nie powinna opuszczać domu, i to teraz, kiedy on ma wrócić. Stęsknił się bardzo za nią, za dziećmi i psem, za ziemią. Ale niedługo znowu tu będzie i jak deszcz przynosi wodę, tak życie ześle na nich radosne chwile.

Młodszy synek rósł powoli. Indianka kochała go z tą głęboką czułością, którą wzbudza w matce nieszczęśliwe dziecko, bo z nich dwóch on bardziej ucierpiał z powodu okrucieństwa nieba i ludzi. Ledwo trochę mówił i nie umiał dobrze chodzić. Ale już potrafił powiedzieć „tata” i zapłakać - a łez mu nie brakowało. A Martina, patrząc na swe biedne dziecko, myślała, że Mateo powinien już wrócić. Wszyscy go kochają i czekają na niego. Musi wrócić.

My zaś możemy sobie powiedzieć, że dla Matea Tampu, który gdzieś daleko na wybrzeżu znosił tyranie kaprali i sierżantów zagubiony w anonimowości wojskowych szeregów albo cierpiał za kratą aresztu, pewną pociechą musiała być myśl o tym dalekim i pełnym nadziei uczuciu. Może też było i tak, że umarł na malarię albo zdezerterował i bojąc się pościgu nie wrócił w rodzinne strony osiadając gdzieś daleko, gdzie zapomniał i sam z czasem został zapomniany. Równina ma więcej dróg niż góry i łatwo jest zablądzić, bo brak jej trudnych do sforsowania zboczy, które pobudzają sprawność mięśni, i wyraźnych drogowskazów na horyzoncie, które wyznaczałyby kierunek marszu.

Ale Martina o tym nie wiedziała. Mateo był ciągle jeszcze jakąś częścią jej samej i jej egzystencji, toteż czekała na niego cierpliwie, z tą lojalnością istot obdarzonych prostotą wewnętrznego życia. Z początku jej bujne ciało, pełne pragnień domagających się zaspokojenia, cierpiało z powodu samotności. Ale że zapasy żywności były szczupłe, wkrótce spadł na nią głód i kobieta wychudła, a iskra erotyzmu przygasła w wolno płynącej krwi i w zwiotczałych mięśniach. Siły jej jak gdyby przyczyły się, ukryte w głębi organizmu - bo należało ich oszczędzać, aby wytrwać.

Ale w zagrodzie została już tylko jedna owca, a na strychu tylko jedna miarka pszenicy.

I pewnego ranka Martina powiedziała Damianowi:

- Idę do Sarun, do rodziców Matea. Poproszę o coś do jedzenia. Poszłabym do mojego tatki, ale on pewnie nic nie ma. Pojedz sobie pszenicy. Jak mnie dłużej nie będzie, a pszenica się skończy, to zawołaj tu donę Candelarię i zabij owieczkę. Zabrałabym cię ze sobą, ale lepiej, żebyś tu był, jak wróci Mateo. Pamiętasz ty go? A jakże... Jak bym długo nie przychodziła i nie miałbyś co jeść, idź do mojego taty, do Simona. W rzece już prawie nie ma wody, to i przejdiesz na drugą stronę...

Oboje milczeli przez chwilę, po czym Martina dodała, jakby wyzywając zły los:

- Pewnie, że wrócę... I twój tatko też wróci...

I poszła niosąc na plecach młodszego synka. Jej szwagierka, która już dość dawno temu odeszła, powiedziała jej bowiem kiedyś, że rodzice Matea mają w Sariin obfite zapasy.

Damian i Łata patrzyli jeszcze pewien czas za Martyną, znikającą w dali. Wreszcie Damian zabrał się do prażenia w garnku ziaren pszenicy, po czym zjedli ją obaj, mlaskając głośno. Wody dostarczyło im kamieniste koryto pobliskiego potoku - chłopiec zanurzył w zagłębieniu między głazami skulone dłonie, a pies wyschły język. A potem góry zesłały im swą samotność.

Dziecko i pies trzymały się razem pośród jałowego i nieprzyjaznego świata, bo nawet i owieczka w zagrodzie, z przygasłymi oczami leżąca na ziemi, należała już do tego nieprzyjaznego świata, a w każdym razie nie opierała mu się.

Zapadła noc i weszli do łóżka. Łata chciał się położyć u nóg chłopca, ale ten przyciągnął go do siebie i póki zwierzę jeszcze nie usnęło, żółte iskierki jego ślepi były pewną pociechą w gęstej nocnej ciemności. Noc zaś gadała tysiącem tajemniczych głosów. Kiedy Martina była w chacie, Damian usypiał szybko i nie słyszał ich. Ale teraz jego niespokojną bezsenność nachodziły przerażające oznaki dziwnego życia, jakie toczy się pośród mroków. Zawodził wiatr, niosąc z sobą trzaski i niewyraźne, dalekie szmery. Ktoś płacząc przechodził drogą. Jęczały jakieś cierpiące istoty, a któraś z nich zbliżała się powłócząc nogami do chaty i pukała o ścianę, aż trzeszczały wiązania z trzcin pozlepianych gliną. Owca zaczęła beczeć i Łata zbudził się i szczekając wybiegł na dwór. Został tam dość długo. Czy to podkładał się złodziej? Czy lis? Czy jakaś potępiona dusza? Wreszcie pies wrócił i na zewnątrz, za chatą, dziwne odgłosy dały się słyszeć jak przedtem. Był to nie kończący się koncert łkań i jęków, pochodź zboliałych stworzeń, które uciekały w mrok, aby użalać się nad swymi straszliwymi mękami. I były coraz bliżej, coraz bliżej, na pewno chciały zabić Damiana albo przekazać mu część swego bólu, korzystając z tego, że jest małym, opuszczonym dzieckiem. Czasem wołał:

- Łata!... Łata!...

Pies otwierał oczy, przez chwilę patrzył dokoła i usypiał znowu. Wreszcie świt przyniósł blade i niepewne światło, i zjawiskowe stwory umilkły. Życie nabrało nowych barw i Damian usnął, pełen pocieszającej ufności. Obudził się, kiedy słońce było już wysoko i błyszczało na połyskliwej krągłości nieba ponad brunatną ziemią.

Jakże był słaby bez matki, i jak twardy, okrutny był świat. Dopiero teraz pojął, co znaczy rozłąka, i chciał zapłakać, ale się powstrzymał. Jedna uparta łza stoczyła się jednak na policzek i wytarł ją brzegiem poncza. Dobrze, że przynajmniej w obejściu nie było ani śladu zawodzącego pochodzu z minionej nocy. Będzie musiał znowu przyrzadzić pszenicę na obiad. Tym razem ją ugotuje. Chociaż nie, jednak ją upraży, tak będzie szybciej. I jak tylko to zrobił, zaraz zjedli. Potem poszli do zagrody. Wynędzniała owieczka niechętnie ruszyła razem z nimi. Zatrzymali się nad brzegiem wąwozu, w miejscu, skąd można było widzieć chatę. Owca skubała chamizę i nieliczne, więdnące liście z tych krzewów, których korzenie zdołały wyssać trochę wilgoci z wyschłego koryta rzeki. Tu i ówdzie zieleniły się świeże pędy na krzakach i Damian zrywał je i dawał owcy. Jadła z obawą, jakby lękając się tych różeg. Łata ulżył zmęczeniu układając się na ziemi, ale głowę trzymał czujnie wyprostowaną. Malec - bo przypomnijmy, że miał dopiero skończyć dziewięć lat - zaczął zbierać drewno na opał, nie spiesząc się, bo nie było potrzeby, a szło mu to łatwo przy takiej obfitości suchych gałęzi. Kiedy miał gotowe całe naręcze, dawno już minęło południe. Zmęczona owca wyciągnęła się na ziemi, więc Damian też usiadł obok Łaty. Aż do wieczora wpatrywali się w zamarty krajobraz. Na wyłysiałych wzgórzach wznosiły się tu i

ówdzie nędzne chałupki. Najbliższa należała do doni Candelarii, zgarbionej, chudej staruszki, której ciemna twarz bardziej była spękana niż wyschła ziemia. Kaszłała zwykle tak hałaśliwie, że można ją było słyszeć z daleka. Prócz tego pokrzykiwała na swego czarnego psa, który grzał jej stopy. Damian i Łata widzieli, jak staruszka drepcze wokół chaty, mamląc gniewne słowa, i jak w końcu siada w drzwiach. Pies i jego pani tworzyli razem jedną czarną bryłę, w której bielą siwa głowa kobiety. Kiedy nie kaszłała i nie karciała psa, przesiadywała tak na progu, gwarząc jękliwie z nieistniejącymi słuchaczami. Gestykulowała dokładając starań, żeby ją zrozumiano. Słuchacze zdawali się nie chwytać wszystkich jej pytań i wtedy ona podnosiła głos i łapała za kijaszek. Na koniec rzucała się do bitki. Wymachiwała ramionami, aż powiewał otulający je czarny szal. Nagle wyprostowała się i upuściła kij. Wróg widocznie uciekał, bo pokazała mu tylko swą grubą laskę, po czym dwa razy stuknęła nią o ziemię, aż zadudniło.

- O tak, o tak... dostaniesz ty kijaszkiem... - pogroziła.

Było już późno i Damian z Łatą, gnając przed sobą owcę, wrócili do domu. Chłopiec niósł naręczę gałęzi i tykwę z wodą, którą umieścił na cały dzień pod gładami, skąd powoli kapwały krople. Ogień zapłonął w palenisku, a garnek użyczył im znowu smakowitej i ciemnej od przypiekania pszenicy. Sen przyszedł tej nocy łatwiej, a skały może płakały, a może i nie.

I tak biegły dni, jeden za drugim. Dona Candelaria ciągle sprzeczała się i z kimś tam wojowała. Pszenicy ubywało, a Martiny ani Matea ni słycho, ni widu. Pewnej nocy Łata wyskoczył nagle na dwór, szcękając zajadle. Rozległ się suchy trzask, jakby ktoś uderzył kijem. Pies zaskowyczał i umilkł. Potem odezwało się beczenie owcy i szybko oddalające się kroki. Damian, przestraszony, wyszedł zobaczyć, co się stało. Nie widział nic prócz ciemności. Gdzieś daleko ktoś wykrzyknął jedno słowo. Chłopiec zaczął szukać Łaty i znalazł go leżącego na ziemi. Ale był ciepły i oddychał. Damian przykucnął przy nim, samotny pośród ogromu nocy, czekając, aż pies wróci do życia. Nie mógł nic dla niego zrobić, głaskał go tylko i powtarzał szeptem: „Łata, Łata”, bo gdyby mówił głośniejszym głosem, mogłyby go usłyszeć te najróżniejsze złe stwory, co czają się w mroku. Pies dyszał przez jakiś czas, po czym zaskomlał i uspokoił się czując bliskość Damiana. Chłopiec zaś klepał go po głowie i kudłatym grzbiecie: „Łata, Łata”; w końcu obaj wstali, a dzień też wstawał. Ale w zagrodzie nie było już owieczki, którą mogliby paść, a słoneczny blask przydał się tylko do przyrządzenia posiłku - oczekiwanego zawsze, od tak dawna, że już nie umieli policzyć odkąd. Aby czymś się zająć, zaczęli się kręcić po okolicy. Doni Candelarii jakoś nie było widać. Czy została w chacie? A może sobie poszła? Damian wspominał, jak wojowała z niewidzialnymi istotami, które nachodziły ją dzień w dzień, i ogarnął go strach na myśl o tym, że mogliby pójść i zobaczyć, co się stało. Może leżała na pryczy, sztywna już, bo ją uduszono we śnie? A pies? Na pewno siedział przy niej na straży. Tak czy inaczej, Damianowi wydawało się,

że nie powinien tam chodzić, i nie poszedł. My zaś wolimy nie wiedzieć, co przytrafiło się biednej staruszce. Z pewnością umarła z głodu. Ale mistyka gór odgrywała w tym czasie swój dramat bólu, pustki rozległych przestrzeni i tajemniczych przyczyn suszy. Damian, wzdragając się przed wyjaśnieniem powodów zniknięcia doni Candelarii, stawiał po prostu - na tyle, na ile pozwalały mu jego dziecięce siły - opór ciemnym zrządzieniom losu.

Nazajutrz skończył się zapas pszenicy. I nie było wody, wody w tykwie, do której skapywała po kropelce. Mamo! Tato! Na długich górskich ścieżkach wciąż nie było nikogo. Pewnego dnia - nie wiemy, jaki to był dzień - Damian wszedł na wzgórze: - Dona Candelaria! - zawołał kilka razy. „O-aaa, o-aaa”, odpowiedziało mu słabe echo. Pola wokół były ciche, a dalekie chaty wydawały się również puste - a może kryły w sobie ciała martwych ludzi? Mamo! Tato! A więc otaczała go zupełna samotność. A Łata, biedny Łata, patrzył na niego jak wierny przyjaciel i też był smutny. Brzuch skręcał się z głodu, a błękitna mgiełka przyćmiewała wzrok. Na początku wywoływało to dojmujący strach, ciągły, przytłaczający niepokój. Ale potem zostało tylko znużenie i osłabienie mięśni. Chłopiec leżał na łóżku i jedynie od czasu do czasu pił odrobinę wody z tykwy.

* * *

Ile dni? Ile nocy? Czas mijał, jak przesuwa się światło i cień pod przymkniętymi, osłabłymi powiekami. Czuło się go zaledwie - gdyż były to jakieś oznaki życia - w wyciu wiatru. Uparty wichur zawodził i wstrząsał chatą, a Damian miał wrażenie, że to jakaś istota tłucze się pośród tej ciszy, nie wiedząc może o sobie samej.

Ale któregoś dnia zbierając resztki sił otworzył oczy i zobaczył światło. Przed domem biegła ścieżka. I znowu przypomniał sobie Martinę: „Zabijesz owieczkę... a jak bym długo nie przychodziła i nie miałbyś co jeść, idź do mojego taty...” To prawda, nie mógł zabić owieczki, ale już od wielu dni nie jadł i nie mógł stąd odejść. Wszedł z chaty, z psem u nogi. Droga była długa i wyboista. Szedł tamtędy trzy lata temu, kiedy pewnego razu wyruszyli wszyscy na nowennę do świętego Antoniego, którą odmawiał Simon, ale już nie bardzo pamiętał drogę. Powędrował jednak, zdając się na swój instynkt. A instynkt Indianina nie zawodzi, zwłaszcza jeśli idzie o wyszukiwanie ścieżek pośród rozfalowanego ogromu Andów. Nogi mu słabły, skórzane łapcie nierówno klapały o kamienie. Wiatr szarpał ponczo i sypał piaskiem. Łata biegł za chłopcem albo tuż obok niego, chudy i zmęczony. Usiedli na chwilę, żeby odpocząć, po czym ruszyli dalej. Ale coraz większe zmęczenie sprawiało, że pod Damianem ugięły się nogi. Długa i wyboista była ta droga. Kawałek dalej, pod uschlým drzewem, leżał kamień. I tak oto, zgodnie z przyzwyczajeniem, chłopiec usiadł pod drzewem, a nie gdzie indziej, chociaż nagie gałęzie nie dawały żadnego cienia.

Wysoko, jakże wysoko sterczał szczyt Huaira. A wyżej Rumi. A jeszcze wyżej Manan wznoszący się nad czarno-błękitnym masywem gór, które biegly na północ, tłocząc się i cisnąc do siebie nawzajem jak owce pędzone przez pastucha, co umie zwawo machać batem. Damianowi wzrok się zaćmił, poczuł nagły chłód, całe ciało ogarnęła słabość i upadł na ziemię. Usłyszał daleki głos dzwonów. Jego towarzysz patrzył nań zaniepokojony.

- Mamo, mammo... chcę kukurydzy, mamusiu... - powiedział malec.

A potem leżał już cicho, z zamkniętymi oczami i bladą, chudą twarzą. Łata, wiedziony nieomylnym przecuciem właściwym każdemu psu, zorientował się, że to nadeszła śmierć. I wył długo nad zmarłym, nie odstępując go, tak samo jak kiedyś, pewnej dawno minionej nocy, chłopiec nie odstępował jego.

Po jakimś czasie nadleciał kondor i przysiadł w pobliżu. Pies zaszczekał, kiedy ptak próbował dosięgnąć chłopca dziobem. Kondor miał dziób i pazury zakrzywione, czerwony grzebień na głowie i czarne upierzenie. Należał do tej odmiany, która ma gołą szyję i białą kryzę w miejscu, gdzie zaczynają wyrastać pióra.

Okrutnymi, zimnymi oczami przyjrzał się trupowi i ruszył nań swym rozkołysanym krokiem. Łata, zaatakowany, dobywając ostatnich sił, skoczył ku gołej szyi ptaka, ale nie zdołał go ukąsić i tylko zarobił straszliwy cios dziobem w grzbiet. Kondor nie zbliżał się już jednak do chłopca. I tak zaczęła się uparta, powolna walka. Pies szczekał, a napastnik podskakiwał rozpościerając wielkie wachlarze skrzydeł. Ze zranionego grzbietu kapła krew, barwiąc na czerwono ziemię. Kondor zatrzymywał się od czasu do czasu i tkwił tak przez chwilę, jakby z wahaniem, ale potem nacierał znowu, a wierny strażnik odpędzał go ujadając i pokazując kły. Niekiedy udawało się ptakowi odegnąć psa i zbliżyć się do trupa, ale Łata nie ustawał w walce, nie dawał mu spokoju i zmuszał do odwrotu. W pewnej chwili, gdy kondor próbował nic sobie nie robić z czworonoga i zabrać się do jedzenia, pies skoczył nań i zranił mu szyję. Biała kryza zaplamiała się purpurą. Otrzymał przedtem cios w grzbiet nauczył psa, że walka na odległość przynosi większe korzyści. Podbiegał i cofał się, szczekając i warcząc, rozwścieczony, z zamglonymi gniewem ślepiami. Kondor rozdziawiał dziób i wyciągał szyję, też rozszluszczony, ale zaraz powracał do swej zwykłej postawy, z godnością władcy przestworzy, pełnego pogardy dla nędznego stworzenia, które umie tylko dreptać po ziemi. Jednakże to nędzne stworzenie było już zbyt zuchwałe, więc ptak, rozważywszy skrupulatnie wszelkie możliwości, znowu zbliżał się do zmarłego. Ale opór psa nie malał i walka zaczynała się znowu. Tak upłynęło sporo czasu. Nagle Łata zobaczył z niepokojem, że nadlatuje drugi kondor, przysiada na ziemi i podchodzi do nich, rozkołysany i uparty. Zaczął ujadać jeszcze głośniejsze, a nowo przybyły przystanął na chwilę i patrzył nań pogardliwie i nieufnie...

Rozległ się strzał i pierwszy wróg padł. Drugi nagłym ruchem poderwał się do lotu. A Łata zobaczył, że drogą idzie jakiś człowiek, ciągnąc za sobą brunatną mulicę. Był to don Romulo Mendez. Kiedy przyszedł na miejsce, kondor bił jeszcze potężnymi skrzydłami o ziemię. Ptaki te słygną z tego, że nawet zranione w samo serce długo opierają się śmierci. Don Romulo, przyjrawszy się całej tej pełnej tragizmu scenie, podniósł trupa i przerzucił go przez siodło. Łata pojął, że jest to przyjaciel, i pozwolił mu to zrobić, machając z lekka ogonem. Mężczyzna, z karabinem na ramieniu, pociągnął muła i ruszył dalej w tym samym kierunku. Pies pobiegł za nim. Człowiek nie omieszkiał jeszcze rzucić okiem na zestrzelonego kondora. Kiedy indziej zabrałby go także, aby wrócić do domu z tym trofeum, ale teraz nie miał głowy do takich rzeczy.

* * *

I tak oto ciało Damiana zostało przywiezione do domu dziadka: głowa i nogi zwisały z grzbietu muła chwiejąc się w takt jego kroków, małe dłonie dziecka były zaciśnięte, a skóra zielonkawa.

Opowiedziawszy, w jaki sposób natknął się na zwłoki chłopca, don Romulo dodał:

- Chciałem go odwieźć do Martiny, ale że dzieciak skonał samiuteńki, i to na drodze, to pewnie i jej nie ma w domu... Tak czy owak, ty też możesz go pogrzebać...

A po chwili rzekł:

- I jeszcze to wam powiem, że gdyby nie pies, to by go pożarły kondory...

Simon zdjął ciało wnuka z grzbietu zwierzęcia; robił to z miłością, w milczeniu, a potem spojrział na żonę i dzieci i powiedział do Timotea:

- Nie ma co zwlekać z pochówkiem. Bo jakie to dziś czuwanie przy nieboszczyku?

Cmentarzyk był otoczony kamiennym murem czworobok, tuż koło dworskiej kaplicy. Usytuowano go w tym miejscu, aby proboszcz albo jego pomocnik mógł pilnować prawa do grzebania zmarłych, nie pozwalając nikomu na bezpłatny pochówek. Wiejskie krzyże, bez nazwisk, waliły się nadgryzione zębem czasu. Zwykle grobów nie było widać, porastała je trawa, ale teraz wyraźnie odcinały się świeże prostokąty, bo bramę zostawiono otwartą i bydłęta szybko się uporały z tym pastwiskiem, jakim była ziemia należąca do zmarłych.. Pośród krzyży wałęsał się jeszcze kościsty osioł.

Zapłaciwszy księżemu pomocnikowi - proboszcz zjawiał się w Paucar tylko w dzień świętego Wawrzyńca - niecałe dwa sole, jakie zdołał wycisnąć z ich nieszczęść, ojciec z synem weszli na cmentarz niosąc wynędzniałe, bolesne brzemie, a za nimi wsunął się Łata.

Zastali tu kilku wyniszczonych Indian, którzy ledwie mieli siłę kopać. Grzebali właśnie Manuela Shinaca, z Huaira.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie wnuka Simon opuścił swoje miejsce na ganku, gdzie zwykle przesiadywał, i poszedł zobaczyć, co się stało z Martiną.

Pędziwiatr ledwie mógł dźwignąć swój własny ciężar, więc Simon odbył tę długą drogę sam, pieszo i powoli. W dali, na wysokości bydłęcych zagród, po jednej i po drugiej stronie drogi unosiły się kondory, sępy i Hlaguangas. Na pewno wszędzie padały konie i osły. Bo krowom ich właściciele - a także i złodzieje - nie pozwalali zdychać własną śmiercią.

Dom stał samotny i opuszczony. W środku też nic nie było. Najwyraźniej wszystko zostało rozkradzione. Nie zostało ani jedno ponczo, ani jedno narzędzie. Tylko pług tam był, rzucony na ziemię, jak coś zupełnie bezużytecznego, co przetrwało z dawnych czasów. Waląły się też po kątach, czarne i żółte, potłuczone garnki i szczątki tykw. A Martina? Musi coś o tym wiedzieć dona Candelaria, przecież były sąsiadkami. Simon wszedł na wzgórze i zawołał kilkakrotnie, tak jak to dawniej robił Damian:

- Dona Candelariaaaa... na Candelariaaaa...

Tylko spóźnione echo odezwało się raz i drugi, aż ucichło.

„Odeszła”, pomyślał w końcu, uświadomiwszy sobie, jaka cisza i spokój panują wokół chaty.

XVII. Stary Mashe, Jacinta, Łata...

Nie zapomnieliśmy o Mashe. Ostatni raz widzieliśmy go przynajmniej sytym. Niestety, teraz już go takim nie ujrzymy. Stary Indianin krąży po pustych polach i wciąż czegoś szuka.

Pewnego dnia wrócił do domu z dużą, grubą żmiją stalowego koloru. Córki popatrzyły nań ze zdumieniem, ale żona się nie dziwiła: ona też przeżyła już długie lata i widziała wiele okropności.

Mashe wyjaśnił:

- Można to jeść. Odciąć łeb na cztery palce, odciąć ogon na cztery palce, a resztę można jeść.

I pociął żmiję, tak jak mówił, rozplatał ją, a potem upiekł. Każdy dostał kawałek. Dziewczęta, po krótkim wahaniu, też zjadły swoje porcje.

Ale nie zawsze można było coś znaleźć. Nawet żmij nie było. I któregoś dnia stary Indianin Mashe nie wstał z posłania. Leżał owinięty gałganami i patrzył przez stale otwarte drzwi chaty - nie było czym ich zasłonić - na pola, wyschłe, pełne pyłu, nieprzyjazne.

* * *

Nie zapomnieliśmy także o Łacie. Kiedy Damian spoczął w ziemi, pies skomlał chwilę, ale wkrótce zrozumiał w swojej prostocie, że to koniec, i pobiegł za ludźmi, którzy pogrzebali to słabe, zwyciężone przez śmierć ciało.

I tak przyszedł aż do samej chaty Simona.

- Patrzcie no! - powiedział stary, spojrzawszy na jego obfite szare kudły. - Toć to ten pies, co go kiedyś zabrał Mateo...

- A jakże, ten sam - przytaknęła Juana. Przyglądali mu się przez chwilę, po czym każde wróciło do swych zajęć, to znaczy, jeśli mamy to określić dokładnie, do swego nic nie robienia. Tylko Antuca i Timoteo wyprowadzili stado, złożone teraz zaledwie z dwudziestu par owiec. Timoteo dołączył do siostry i oboje uzbroili się w grube kije, aby strzec trzody przed atakiem psów. Te bowiem, jak już mówiliśmy, wałęsały się gromadami, zdziczałe i drapieżne, szukając żeru.

Łata raz i drugi wyruszył za stadem, po czym ułożył się do snu w zagrodzie i niecierpliwie oczekiwał należnego mu posiłku. Ale niczego się nie doczekał. Nawet pieszczot, do których przyzwyczał go Damian. Jeśli zabijano owcę, to obgryzano całe mięso, a kości gotowano, tak że kiedy znajdowały się wreszcie w zasięgu jego zgłodniałego, rozgorączkowanego języka i ostrych zębów, nie były już właściwie pokarmem.

A gdzieś daleko, na górskich drogach i wśród pól, zanosiły się wyciem wygnane psy. Ból tych wędrownych tułaczy to był ból zadany jemu samemu, zaś z człowiekiem nic go już nie łączyło. I pewnej nocy, gdy panujący we wsi smutek ranił go bardziej niż kiedykolwiek, przeskoczył przez wąty płot i uciekł z zagrody, aby połączyć się ze swymi braćmi.

* * *

Zaciśnięta brązowa dłoń wyciągała się i kurczyła, kurczyła i wyciągała z drzeniem ku wiązce kłosów. Ochryply głos powtarzał bełkotliwie: „Odpuść mi, odpuść.” A przestraszone oczy patrzyły w pogodną i słodką twarz świętego Wawrzyńca, pogodną i słodką - jak te kłosy. „Odpuść mi, odpuść.” Nagle człowiek powiódł dokoła rozbieranymi oczyma. Nie, nikt tu nie wszedł, nie było nikogo więcej w półmrocznym wnętrzu kaplicy. Ale patrzył nań święty Wawrzyniec o twarzy słodkiej i pogodnej. Ciemna dłoń zawahała się. „Odpuść mi, odpuść.” Ale w końcu, jak łapa drapieżnika, wczepiła się w złotawy snop. I człowiek już nie patrzył w oblicze świętego, tylko uciekał, uciekał do drzwi. Ukrywszy pod ponczem pęk kłosów biegł przerażony i zarazem uradowany, jakby unosił ze sobą skarb.

Przystanął dopiero za wzgórzem, między dwoma głazami. Upewniwszy się, że nikt go nie może widzieć, usiadł, wyłuskał pszeniczne ziarno i żuł powoli, bardzo powoli.

Wszystko to przypominał sobie teraz Indianin Mashe. Pośród mroku, jaki go otaczał, widział wyraźnie przyciśnięty do siebie żółty snopek i słodkie pogodne lica świętego Wawrzyńca. Zawołał:

- Cloti, Cloti...

Nadbiegła jego żona, przysiadła obok i pochyliła się nad brunatną, pomarszczoną twarzą. Otworzył oczy, popatrzył na nią, jakby spowiadał się z całego życia, i wyszeptał:

- Jazem nie zrobił nic złego... Ale to ja ukradłem pszenicę świętemu Wawrzyńcowi... Bałem się ściągnąć na was karę, to i nic wam nie przyniosłem do domu...

I Mashe, jakby tylko to musiał wyznać, aby móc odejść, umarł westchnąwszy z ulgą, niby człowiek, co układa się na spoczynek.

Trzy kobiety zapłakały nad nieboszczykiem.

A czym zapłacić miały za pogrzeb? Pod szarymi, bezlistnymi olchami zrobiły dół posługując się kilofem i motyką starego, narzędziami, których jak wszystkiego, co kiedyś przydawało się na roli, teraz używano już tylko do kopania grobów.

I Mashe legł na tym skrawku ziemi tak samo spokojnie jak na cmentarzu, który zapewniał duszy zbawienie tylko dlatego, że był otoczony kamiennym murem i że kościół pobierał opłaty za pochówek. Spoczywał więc Mashe na tej szerokiej ziemi, o którą walczyli tak długo, z całego serca, aż do kresu nadziei i do śmierci. Miał ją wreszcie dla siebie.

* * *

Jacinta siedziała na skraju drogi, niedaleko domu Simona.

Bowiem pogrzebawszy starego trzy kobiety popatrzyły na siebie i pomyślały: Po cóż mamy tu zostać, wszystkie trzy razem, biedne i opuszczone? Kto nam przyniesie coś do jedzenia? Drogi stały dla nich otworem. I rozeszły się w różne strony.

Idąc tak Jacinta wspominała Timotea. Był chyba dobry i silny. Zawsze na nią patrzył. Ale właśnie dlatego, że przyglądał jej się bardziej, niż powinien, nie chciała i nie mogła wejść do ich domu. Pomyślała, że najlepiej będzie usiąść przy drodze i poczekać. On wyjdzie i ją zobaczy. Może ją wtedy zaprosi do środka. A jak nie, to pójdzie dalej, chociaż właściwie nie miała dokąd. Wszystko będzie więc jasne.

I tak zrobiła. Czekając żałowała, że w swej biedzie nie miała nawet kłęбка wełny do przedzenia. Ręce zajęłyby się robotą, a oczy śledziłyby snującą się nitkę i oczekiwanie nie byłoby tak bardzo widoczne. Żeby nie patrzeć na chatę, odwróciła twarz w stronę gór, ale coraz to zerkąła na ganek. Upłynął tak jakiś czas, aż w końcu z chaty wyszedł Simon i zaraz wszedł z powrotem. Teraz pojawił się Timoteo. Ojciec bowiem tak mu powiedział:

- Tam przy drodze siedzi jakaś biedna dziewczynina... Nie ma gdzie pójść...

Timoteo poczuł, jak w piersi mu coś załomotało, i posłuszny głosowi serca wyszedł zobaczyć, co to za dziewczyna. Toć to przecie Jacinta! Zbliżył się do niej i wybąkał:

- A co ty tu robisz? Popatrzyła na niego:

- Mojemu tatusiowi się zmarło.

I spuściła oczy. Jakże trudny był to moment! Gdyby chociaż miała wrzeciono i trochę przędzy... Zaczęła skubać zębami brzeg szala. Timoteo pomyślał, że u niego w domu tak mało jest wszystkiego, a tatko może teraz... W końcu się zdecydował i znalazł odpowiednie słowa:

- Ano to chodźmy do domu...

Na ganku siedział Simon. Wychudzony był i blady, a ponczo wisiało na nim jak na kiju. Stali przed nim oboje, i nie było w nich nic prócz tego pytania, które chcieli mu zadać. Nie pozwoli? Albo powie: „Zostań na noc, ale rano sobie pójdziesz.” Simon powściągnął ostry błysk swych pośepnych oczu i powiedział do Jacinty:

- Wejdz.

XVIII. Głodne psy

Bure gromady głodnych psów błąkały się tu i tam. Wyglądały jak poruszające się bryły ziemi. Gdzie, u diabła, podziały się kuropatwy? Tak, to pewne, nie było nic do jedzenia. Nie miały sił, by biec za stadem, więc wykurzano je z chat rozżarzonymi głowniami, żeby się nie naprzykrzały. Czasem przysiadły na wzgórzach, niepewne, niezdecydowane, nie wiedząc, dokąd iść. Z rozchylonych pysków ciekła im ślina, i kto wie, jakie pantagrueliczne wizje rozsadały im rozgrzane od upału czaszki.

Pewnego wieczoru, gdy poszarpany górski horyzont barwił się na czerwono, Antuca natknęła się na Łatę. Leżał na kamieniach, w wyschłym korycie potoku. Chudy, bliski śmierci, może ranny. Zwisający z pyska język był jaśniejszy niż zwykle. Może umierał? Umierał sam. Był to dobry pies i oto, w tej samotności, czekał na śmierć. Popatrzył na nią, a w jego błyszczących źrenicach nie było urazy. „Czyż nie starałem się zawsze wam służyć?”, zdawał się mówić. A ona, że była jeszcze mała i chowała się razem z psami, rozumiała go doskonale. Zapomniała o dzbanku i wodzie. Kiedy noc zapadła i rozległ się ostry głos Juany wołającej córkę, ona wciąż jeszcze pieszczotliwie gładziła zjeżoną sierść na karku Łaty. Był dziwnie gorący i wstrząsały nim dreszcze.

* * *

Przerażający ogrom górskiej nocy rozdzierało wycie zwierząt. Psy na próżno penetrowały wszystkie zakątki, warczały, rzucały się do walki, a w końcu, już spokojne, znajdowały pociechę w wyciu. Ale inne nie ustawały w poszukiwaniach.

Wpadały na dworski ganek. Węszyły i drapały w drzwi, podczas gdy Raffles i jego sfera warczały wściekle, zamknięte w małej, odizolowanej izdebce. Umieszczono je tam, aby nie dać im okazji do nocnych awantur. Zabiły wiele bezpańskich psów, ale kiedyś w nierównej potyczce odniosły ciężkie rany. Raffles męczył się i warczał, jakby grożąc komuś. Głodne psy zaczynały wtedy szczekać jeszcze głośniejszym głosem, czując swoją bezkarność i liczebną przewagę.

Panicz Obdulio, leżąc w łóżku otulony w koce, słuchał tej psiej wymiany zdań. Don Cipriano kłął w przyległym pokoju, a niemowlę płakało. Dona Julia zapalała wtedy lampę, którą gaszono dopiero nad ranem, gdy światło sączące się przez szpary zapowiadało dzień.

* * *

Poranne słońce zastawało głodne psy na szczytach wzgórz. Grzały się w jego promieniach, śliniąc się i skomlać żałośnie. Wańka się oszczeniła i usiłowała wykarmić czwórkę małych, z rezygnacją pozwalając im ssać, ile mogły. Szczeniaki, słabe i niemrawe, gmerały się jak robaki i zdawały się wysysać z niej krew.

Gdy wstał dzień, psy zaczynały włóczyć się po polach. Te niegdyś zwawe tubylcze czworonogi, w których żyłach płynęła krew psów leśnych, ledwo się już ruszały. Przypominały jakieś przedziwne szkielety z wiszącą na nich skórą o zmierzwionej sierści.

Ale nadal opierały się głodowej klęsce. Z zapadłymi bokami, z żebrami sterczącymi pod skórą, uparcie trwały przy życiu, jakby karmione samym wiatrem. Wiatr zaś raczej starał się je z sobą porwać albo pogrzebać w chmurze pyłu, ale one jakoś z tego wychodziły, na wpół uduszone, warcząc i wyjąc. Bardziej odporne odbiegały kawałek, na tyle, na ile starczało im tchu, po czym wracały do całej grupy. Trzymały się razem, jakby dla obrony przed tym czymś dziwnym, przed tą jakąś rozległą, wszechobecną siłą, która je osaczała i której najlepiej było się przeciwstawiać zwartą i liczną gromadą.

Kiedy zapadała noc, tragiczny chór znów wstrząsał puną. Wycie przecinało ciszę jak ostrze miecza. Potem wielorakie głosy łączyły się w rozległej, nie kończącej się skardze. Wiatr usiłował ją rozproszyć, ale ów jękliwy głos rodził się na nowo w tysiącu zrozpaczonych gardeł.

* * *

Pewnej księżycowej nocy Zambo wyciągnął się pod bezlistnymi drzewami. Był straszliwie zmęczony i słaby.

Nagle zobaczył, że jakaś kobieta, otworzywszy bramę zagrody, wychodzi na pole. W ręku niosła zawiniątko. Była to służąca ze dworu. Z daleka nadchodził mężczyzna i po chwili spotkał się z kobietą. Oboje położyli się na ziemi. Kobieta ofiarowała swój okrągły brzuch i długie uda księżycowej poświacie i mężczyźnie. Potem rozwiązała zawiniątko. Zambo był blisko i widział ich całkiem dobrze. Człowiek jadł pszenicę, po czym zaczął gryźć kartofle. Żeby chociaż parę

łupin! Pies podniósł się i ruszył ku tym dwojgu, pokorny, pełen nadziei na jakieś resztki. Kobieta krzyknęła wskazując na niego, i mężczyzna odwrócił twarz w jego stronę.

- Diabli pomiot - powiedział i cisnął kamieniem.

Zambo uciekł i schował się za drzewami. Ale czekał cierpliwie. Musieli przecież zostawić łupiny. W końcu się rozeszli, każde w swoją stronę. Pies wysunął się z kryjówki i pobiegł w tamto miejsce. Węszył tęsknie i uważnie. Pachniało kobietą, kartoflami i pszenicą, ale nie było nawet skrawka obierki. Mężczyzna zjadł kartofle z łupiną i ze wszystkim.

Jeszcze bardziej niefortunną przygodę miał Skórka. Kiedyś przypomniał sobie o doni Chabeli. Miała ona swój dom przy drodze wiodącej w góry. Pewnego razu wracając ze wsi spotkała Antucę, która razem z psami poganiała stado.

- Umieją pasać bydelko? - spytała dona Chabela, która była wścibska i gadatliwa i nieustannie szukała tematu do rozmowy.

- A pewnie - odparła Antuca, i wskazując Skórce owieczkę, która oddaliła się nieco od stada, krzyknęła: - A zawróć no mi tamtą!

Skórka podbiegł, zaczął szczekać i skakać wokół maruderki, aż dołączyła do reszty i wmieszała się w sam środek kierdelu.

- Ohoho! - powiedziała dona Chabela. - A to mi prawdziwie dobry i ładny piesek...

Wyjęła z sakwy bułkę, jedną z tych, które kupiła we wsi, i dała psu. Wspominając tę bułkę i ofiarodawczynię, Skórka pojawił się pewnego wieczoru przed chatą kobiety. Siedziała w środku, przy palenisku, i prażyła kukurydzę.

- A ty tu czego, paskudniku? - mruknęła na jego widok.

Skórka z wolna i ostrożnie podszedł bliżej.

- Precz mi stąd, kundlu jeden! - wrzasnęła. Ale Skórka wciąż uparcie podchodził do niej, przyjaźnie machając ogonem. Wtedy dona Chabela, odczekawszy, aż będzie blisko, złapała rozżarzoną głównię i zdzieliła go. Zaskwierczało palące się mięso, a Skórka uciekł z całych sił, skowycząc przeraźliwie. Mąż doni Chabeli wyszedł słysząc hałas i rzucił jeszcze za psem parę kamieni.

Oparzelina przez wiele godzin doskwierała biednemu Skórce.

* * *

Słońce wysssało w końcu wszystkie soki z ziemi. Dawne bagna albo wodne oczka teraz odcinały się tylko jako trochę ciemniejsze albo białawe plamy pośród jednostajnej żółtawej szarości pól. Niby blizny lub znamiona.

W rzece, nieco bardziej zasobnej w wodę, dzbany napełniały się powoli. A to, co zostało, było szybko wypijane przez spragnione zwierzęta.

Natura cierpiała i było to cierpienie głębokie, rozległe, sięgające gór: zaczynało się u korzeni roślin, obejmowało całą ziemię i nie kończyło się chyba nawet na czarnych szczytach, gdzie topniały ostatnie śniegi.

Także i eukaliptus, najstarszy z tych, które rosły wkoło dworu w Paucar, usychał z wyczerpania. Don Cipriano dawniej nieraz mawiał do syna:

- No chodź, obejmiemy go czy nie?

Wyciągał swoje długie, toporne ramiona i otaczał nimi pień o szorstkiej korze, zaś panicz Obdulio robił to samo stając z drugiej strony - i z trudem udawało im się zetknąć czubkami palców. Bardzo gruby był ten eukaliptus.

- Zasadzili go nasi dziadowie - mówił z dumą don Cipriano.

Któż wie, jak głębokie pokłady gleby drażyły jego korzenie, podczas gdy gałęzie rozmawiały z chmurami, teraz jednak i on też wydawał się zraniony. Wiekowy pień groził upadkiem - może wysechł lub żarło go robactwo. Liście nabierały szaroczerwonej barwy. Tylko u nasady zachowywały jeszcze świeżą zieleń.

Inne drzewa eukaliptusowe, nie tak stare i słabsze, które dawniej z młodzieńczą hałaśliwością dniem i nocą śpiewały wokół tego olbrzyma swe niezliczone piosenki szeleszcząc bujnie rosnącymi liśćmi, teraz traciły je po trochu i milkły pośród suchego, rozdygotanego szeptu. Liście spadały na ziemię i całe ich sterty butwiały tam powoli, ścieląc u stóp drzew jakby szare łoże, z którego korzystały krowy i woły o smutnych, łagodnych oczach.

I tak, pośród drzenia konających liści, ostatnie źdźbła zieleni zostawały wchłonięte przez wyschlą ziemię i palący żar słońca.

* * *

Susza przyniosła ze sobą nowe zajęcia: pasanie krów, koni i osłów. Woły - ze względu na orkę - chroniono najbardziej. Ale każdy, kto miał jakieś bydlatko, przywiązywał je na noc przed domem, a w dzień wypędzał tam, gdzie rosło choć trochę trawy ichu i chamizy. Bez względu na to, czy coś zjadły, czy nie - bo przecież wszystkiego było mało - pod wieczór pędzono je z powrotem. Gdyż jeśli nie liczyć tych zwierząt, które padały z głodu i były pożerane przez kondory i sępy, bydło zaczęło się gdzieś zapodziwiać: najpierw ginęły krowy, a potem, kiedy zaczęto ich bardziej pilnować, konie i osły. Poszła plotka, że to ludzie z Huaira zabijają zwierzęta po kryjomu, w wąwozach, a potem je zjadają.

* * *

Jak daleko sięgała chłuszcząca dłoń? Z tego, co powiadali chłopci, zewsząd, z bliska i z daleka, dochodziły złe wieści. Jeśli gdzieś coś zebrano z pól, nikt nic nie sprzedawał. Mówiono poza tym, że w bardzo odległych miejscowościach, których nazwy słyszano tu po raz pierwszy,

można kupić, co się chce, ale po cenach wprawiających tutejszych wieśniaków w osłupienie. Jednak żołądek nie bierze pod uwagę cen, a i śmierć też nie. Wielu tych z Huaira i kilku starych kolonów z Paucar zmogła nędza i głód, aż w końcu znaleźli się na cmentarzu.

* * *

Zły los przygniatał ludziom ramiona, a jego ciężar można było porównać tylko do ogromu ziemi i nieba.

Na stole dziedzica też nie było już tej obfitości co dawniej. W spichrzach niewiele zostało zapasów, a ludziom, których straszyla wizja głodu, wydawały się one tym szczuplejsze. Toteż tego wieczoru na białych talerzach pojawiło się trochę piaskowej barwy ziemniaków i twarde, ciemne mięso z wychudzonych bydła.

Don Cipriano, prezydując u stołu, jadł powoli. Po czym ujął głowę w dłonie, aż skryła się w fałdach poncza. Przez cały ten czas mówił niewiele i był zły. Czuł się z pewnością rozbity i bezsilny. Dona Julia, siedząca przy drugim krańcu stołu, dawała pierś maleństwu, a dona Carmen, don Romulo i panicz Obdulio od czasu do czasu zamieniali ze sobą parę słów. Ale babcia, dobra i krzepka, zahartowana stuletnim życiem w punie, zaczęła nagle wspominać minione okresy głodu, po których zawsze w końcu nadchodziły deszcze. Bo zdarzało się, że susza trwała przez dwa lata z rzędu, ale nigdy przez trzy. Tak więc najbliższa zima musi przynieść opady.

I zapalając się w swych wspominkach mówiła:

- ...Tamtego roku... jakież to był głód! Byłam jeszcze mała. Ludzie przychodzili z najdalszych wsi i prosili o coś do jedzenia. Nie było co im dać. Dziedziczką była pani Rosa. Któregoś wieczoru przyszła do dworu kobieta z osiołkiem. Miała już swoje lata. „Mateczko - powiedziała do pani Rosy - zeszlłam tyli kawał drogi i nic żem nie znalazła. Mój najmłodszy synek umarł, bo nie mam pokarmu w piersiach. Reszta też mi poumiera. Brzuchy mają wzdęte, a jeden, pani dziedziczko, widziałam, jak kiedyś jadł ziemię... Jest jeszcze Bóg na niebie. Dajcież mi coś, pani, jeśli Boga w sercu macie...” I pani Rosa ulitowała się nad nią i kazała załadować na osiołka cztery miarki jęczmienia. Więcej i tak by nie udźwignął, taki był chudy. I ta biedaczka odeszła wtedy razem ze swoim osiołkiem, a zatrzymała się dopiero w samej pampie. Tam przykłękała, złożyła ręce i dalejże dziękować Bogu, z krzykiem i płaczem... Złodziei też wtedy było bez liku. I krew się lała. Jednego razu...

Głośny skowyt przerwał jej opowieść. Gromada psów wdarła się na ganek warcząc i szczerząc kły. Ślepią im się jarzyły jak lampy. Don Cipriano, don Romulo i kilku ze służby zaczęli kijami i kopniakami odpędzać napastliwe zwierzęta.

- Precz mi stąd... won...

- Już was nie ma, szkodniki...

Psy skomlały i próbowały gryźć. Raffles i jego pobratymcy z daleka dołączały swoje głosy do tego chóru. Kundyś, którego nie trzymano pod kluczem, bo nie miał zwyczaju walczyć z głodnymi przybyszami, zapomniał na chwilę o swej przynależności rasowej i stanął u boku pana, śmiało rzucając się do ataku. Dona Carmen przeżegnała się, a niemowlę zakwiliło. Jeden z przybłędów ugryzł Kundysia w grzbiet, ale w końcu uciekły wyjąć, bardzo poturbowane. Wtedy don Cipriano postanowił położyć temu kres. Po kolacji wziął latarnię i razem z Pedrem, swym sługą, obszedł dwór rozkładając wszędzie małe kawałki mięsa.

Nieco później, kiedy pogasty światła, psy wróciły i czujnymi nozdrzami wywęszyły ślad człowieka, zbierając zostawione przez niego kąski.

* * *

Nadszedł świt i ukazało się słońce, srogie, nieubłagane, żarłoczne. Spragniona ziemia pękała, a słońce zaglądało w szczeliny i paliło ją coraz bardziej. A na ścieżkach, w korytach potoków - bo tam szukały choćby kropli wody, aby ugasić straszliwe pragnienie wywołane trucizną - pod usychającymi eukaliptusami dyszały w agonii głodne psy. Inne już padły i patrzyły nieruchomymi źrenicami.

Powolnym, czarnym, hałaśliwym lotem nadciągały drapieżne ptaki. Obsiadały bezsilne trupy i najpierw wykluwały im ślepią. Zawsze tak robią. Może dlatego, że to im najbardziej smakuje. A może chcą zgasić ostatni, bolesny ślad życia, jaki jeszcze trwa w martwych oczach. Potem zakrzywione dzioby rozrywały brzuchy padłych psów i zaczynała się uczta. Nad całym zboczem, nad wznoszącą się pochyłością, widać było ciemne, ruchliwe, żałobne kręgi, tu i ówdzie zabarwione czerwonym upierzeniem illaguangas, które są najmniej liczne. Żarłocznie rzucały się na padlinę, przerywając biesiadę tylko po to, aby wrywać sobie nawzajem gnijące mięso; stroszyły przy tym pióra i krakały ochryple. Kiedy zjawiał się kondor, sępy i illaguangas odsuwały się z szacunkiem na odpowiednią odległość i ów największy ptak świata ucztował sam, póki się nie nasycił. W końcu ociężale podrywał się do lotu, a wtedy cała reszta znowu obsiadała ofiarę.

Mdlący odór unosił się nad polami, jakby gniła cała ziemia. Gdzieś, w jakimś wykrocie, sztywny, z rozplatanym brzuchem, leżał Zambo. Któryś jego towarzysz, jeszcze żywy, ale wynędzniały i bliski śmierci, dysząc przywłókł się ku niemu i warczał drżącym głosem. Był to Skórka - najwyraźniej nie korzystał z gościnności don Cipriana. Czy nie rozpoznał Zamba z powodu wydziobanych ślepi i okropnego wyglądu? Czy też było mu już wszystko jedno? O, to na pewno. Z początku się zawahał, ale po chwili zaczął gryźć i łykać ociekające krwią, pociemniałe wnętrzności, które bez wątplenia miały już gorzki smak. Potem odstał o kilka kroków. Sępy, które uciekły przed tym dziwnym biesiadnikiem, rzuciły się teraz na padlinę i znowu podjęły swój czerwono-czarny festyn.

Po pewnym czasie Skórka jął się skręcać z bólu, skomląc cicho. Rozpacz agonii widniała w jego żółtych ślepiach, które na moment rozjarzyły się niosącymi burzę błyskawicami. Potem zgasły. Skórka zdechł wydając z siebie długi skowyt i przęząc łapy, jakby szykował się do uciezki.

I nie tylko jego spotkał taki los. Inne psy też jadły mięso swych braci - i tak oto zwielokrotniły się następstwa czynu don Cipriana. Ale nie na darmo zwierzęta mają bystre oczy i instynkt. Wiele psów rozważnie powstrzymało się od jedzenia i te ocalały. Jeśli ocaleniem można nazwać dalsze oczekiwanie na nieco później mającą nadejść śmierć albo na inny, również zdradziecko zatruty kęs jadła. Dziedzic w dalszym ciągu rozkładał przy domu kawałki świeżego mięsa.

Jeden z kolonów przyszedł do niego i powiedział:

- Nie mordujcie nam psów, ojczulku. Kto będzie pilnował bydełka? Teraz nic nie robią, tylko wyją, ale i to też się przyda, bo odstraszaają szkodniki...

Don Cipriano odparł:

- Głupiś. Lepiej niech wyzdychają. Po co mają konać powoli? Niech to się raz skończy...

Co powiedział, to powiedział. A nocami lisy i pumy bezkarnie napadały na bydłęce zagrody. Dawniej uciekały, bo odstraszało je wycie psów, ale teraz, w tej obiecującej ciszy pełnej woni zepsutego mięsa, robiły zbójckie wypadki. Co noc ściągало ich więcej.

Wieśniacy próbowali naśladować głosy psów:

- Hau, hau, hauuuuu... . Ale drapieżniki były mądrzejsze i po chwili rozległo się beczenie owiec wleczonych ku wąwozom. Owce ważyły niewiele, a to ułatwiało jak nigdy dotąd takie porwania. Nazajutrz ludzie liczyli, ile par zostało w zagrodzie, i przeklinali, z rozpaczą w sercu. Trzeba było na noc chodzić do owczarni i spać przy bydle.

Kiedy wzmożona czujność pastuchów sprawiła, że dzikie bestie - nasyciwszy się już zresztą - przestały nachodzić wieś, noce stały się śmiertelnie ciche. Słyszał było tylko wściekły świst wiatru wśród usychających liści eukaliptusów. I, bardzo rzadko, wycie psa. Długie, ostre, świdrujące. To któryś z potomków dawnych psów leśnych oplakiwał pożegnanie ze swoją rasą.

* * *

Któregoś wieczora Indianie i cholos otoczyli jak stado kondorów dwór na hacjendzie. Simon Robles też tam był. Cóż za twarze zobaczył, i jak zmienione! I on sam też się zmienił! To ma być Santos Rosas? A tamten to Claudio Perez? A tam dalej Guille Agreda? A wszyscy pozostali to ci sami, których niegdyś widział przy orce, przy wykopkach lub młócce, z którymi bratał się w porze odpoczynku, wokół ogromnego stogu pszenicy, z chroboczącą tykwą w rękę i z gębą pełną słodkiej koki? Wielu z nich zapewne słuchało jego opowieści. Wielu tańczyło, gdy grał na flecie i

bębenku. Była wtedy na ich twarzach radość świeżo zasianych pól, blask słońca w rozbawionych oczach, a w krzepkich brązowych ciałach giętkość i wesele muzycznych rytmów. Teraz są zupełnie inni. W ciągu tego długiego okresu, który stał się jednym pasmem cierpień, wykrzywiły się im usta, zapadły policzki, przyćmiły oczy, zmierzwiły włosy. Byli przygarbieni, jakby nie mogli udźwignąć ciężaru własnego poncza.

Po dłuższym oczekiwaniu wyszedł z domu don Cipriano razem z don Romulem spytać, czego chcą. Obaj mieli rewolwery za pasem. Podniósł się gwar:

- Panie dziedzicu, przychodzimy prosić opieki...

- Wysłuchajże nas, panoczku...

- Już nam przyjdzie pomrzeć, jaśnie panie...

- Panie dziedzicu... jaśnie panie... panoczku...

Don Cipriano próbował zaprowadzić porządek i przyjąwszy władcą postawę powiedział:

- Mówcie po kolei.

- Dziedzicu, panoczku - krzyknął jakiś Indianin, tak niski, że nie było go widać w tłumie - dajcież mi cokolwiek, a to już nic nie mam; żona mi umiera, jaśnie panie...

- Dajcie co do jedzenia, dziedzicu - jęknął drugi.

Don Romulo wtrącił mocnym głosem:

- Po kolei mówić, po kolei... A don Cipriano:

- Ludzi z Huaira już uprzedzałem. Żle wam teraz, skarżycie się? To wracajcie do Huaira! A tutejsi niech biją swoje krowy, konie, osły, owce... Ja nic nie mam... Jeden z tych z Huaira odparł:

- Jużeśmy tam byli, panie dziedzicu. I don Juvencio tak nam powiedział: „Wróciliście? Ano to mi podziękujcie, że was nie wytlukę jak te psy... Precz mi stąd.” A zresztą, tam ludzie też umierają. No to co mamy robić? Wspomóż nas, jaśnie panie... Jak przyjdzie czas, to odpracujemy. Macie nasze ręce do pracy, panie dziedzicu...

Mówił płacząco, zbolalym głosem. Kiedy umilkł, don Cipriano też stał bez słowa, a cała ta barwna zbieranina poncz i rozkudłanych głów tkwiła nieruchomo na miejscu. Po czym jakiś cholo zaprotestował:

- Tutaj też są tacy, co nic nie mają. Nic, panie dziedzicu... Co mamy zabijać? Żeby tak choć trochę jęczmienia, panoczku...

Don Cipriano pomyślał o tym, jak ogromna musiałaby być jego pomoc, i rzekł stanowczo:

- Nie mam jęczmienia... a jak dam coś jednemu, to zaraz zechcą wszyscy i nie nastarczę... Nikt nic nie dostanie...

Chór płaczących głosów nie przestawał błagać:

- Panie dziedzicu, ulitujcież się nad nami...

- Zmiłujcie się, panie.

Jeden z Indian składając ręce prosił don Cipriana o ulgi przy pogrzebach.

- Jaśnie panie, a to żeby choć nie brali od nas opłaty albo co opuścili za pochówek... Nie mamy gdzie chować nieboszczyków. Jak ich pogrzebiemy w polu, to duszyczki będą cierpieć po śmierci...

- A co ja tu mam do gadania? - odparł wyniośle don Cipriano. - To sprawy kościoła. Nie mogę się w to mieszać...

- Ale panie dziedzicu...

- Rozejdźcie się, nie mam czasu; nic nie mogę zrobić - zakończył don Cipriano.

- Rozejdźcie się - powtórzył don Romulo. Głos Simona Roblesa zabrzmiał chrapliwie i mocno:

- Jak to nic nie ma, jaśnie panie? Dworskie muły i konie żrą owies. A czy człowiek nie wart więcej niż zwierzę? A dworskich krów też sporo, niekiepskie stado, panie dziedzicu. Dobrze, że się pasą, że nikt ich nie kradnie... Ale teraz przyszedł taki czas, że trza zabijać bydło, żeby ludzie mieli co zjeść. Gorzej nam niż psom... Jesteśmy sami jak te głodne psy... Ja jeszcze, Bogu dziękować, mam coś niecoś, ale inni biedacy, ci z Huaira, co to po polach chodzą i szukają, a płaczą, a proszą... i nigdzie nic nie znajdują... nawet ukraść nie mogą. Mamy żony i dzieci. Niech pan dziedzic pomyśli o swoich dzieciach... Dla swojej żony i dzieci zrób to, panie. Jeśli masz serce, to się uzał nad nami. A jeśli masz myśleć o ludzkich prawach, to pomyśl, panie... To nasza praca, nasze życie te twoje pola, cośmy je zaorali i obsiali, a potem wszystko z nich zebrali, wszystko, co teraz je pan dziedzic i jego bydłatka... Daj nam, panie, z tego cośkolwiek, choćby tym najbardziej potrzebującym. Nie wyganiaj nas, jak te głodne psy...

Simon Robles zamilkł, a peoni poczuli, że mówił za wszystkich i to, co im wszystkim leżało na sercach. Patrzyli na dziedzica czekając odpowiedzi, a spodziewali się, że będzie to odpowiedź po ich myśli, bo przecież sprawa była jasna jak słońce. On jednak obrzucił ich szybkim spojrzeniem, po czym zwrócił się do Simona:

- Powiadasz, że to twoja praca i twoje życie, co? I ziemia nie jest moja? Myślicie, że wam dają ziemię za nic, na piękne oczy? Zawsze wiedziałem, Simon, że to ty chodzisz i gadasz takie rzeczy... Ano, poczekajcie. Spróbujcie mi tylko zaniedbać robotę, a zobaczycie, co będzie. Chodźmy, don Romulo...

I razem z zarządcą odwrócili się i weszli do domu, do gabinetu dziedzica. Ludzie stali zbici z tropu wobec tak nieoczekiwanego zakończenia rozmowy. Popatrywali na siebie, nie wiedząc, co robić. Nagle zabrzmiał czyjś mocny głos:

- Chodźmy, chłopcy, przez taras... Tam są drzwi...

A inne głosy powtórzyły z nagłą stanowczością:

- Chodźmy, idziemy...

Gromadą wdarli się na ganek, ku drzwiom, za którymi były stopnie prowadzące na taras. Huknęło kilka strzałów i ktoś został ranny. Ale strzelano z gabinetu, a że pokój ten był w jednym rzędzie z innymi, przylegającymi do ganku, więc nie można już było stąd celować. Kilku chłopów wyciągnęło maczety o stalowych ostrzach, po czym ustawili się po obu stronach drzwi, aby nie wypuścić don Romula i don Cipriana i przeszkodzić im w dalszej akcji. Ale oto z przeciwnego krańca, z nadbudówki jak gdyby zawieszanej w powietrzu, padła podstępna salwa. Indianin Ambrosio Tucto, który szedł na czele z uniesioną maczetą, gotów rozwalić głowę każdemu, kto mu stanie na drodze, lub w razie potrzeby wyważyć drzwi od tarasu, upadł na twarz. Dwaj inni też osunęli się na ziemię, a kilku spośród pozostałych miało pokrwawione nogi. Strzelanina trwała dalej, i chłopci zrozumieli, że tamtych uzbrojonych jest wielu, a oni nie będą mogli się bronić. Zatrzymali się więc. Próbowali się cofnąć, ale słysząc następne salwy, tym razem z gabinetu, uciekli z ganku, rozbiegając się w różne strony. Ci, co pilnowali drzwi, by przeszkodzić don Ciprianowi i jego zarządcy, uciekli również, kiedy kule zaczęły świstać nad ich głowami i wzbijając obłok kurzu nadkruszyły mur na dobre.

Teraz strzelcy wyszli z nadbudówki, a don Cipriano i don Romulo z gabinetu. Tamci nadal posyłali kule za uciekającymi.

- Dosyć... dosyć... - krzyknął na nich don Cipriano. I stając obok jednego z nich dodał: - Jak powiedział Napoleon, „nieprzyjaciołom idącym w odwroty pobuduj jeszcze most złoty...”.

Don Cipriano, gdy nie był pewien autora sentencji, miał zwyczaj wszelkie porzekadła dotyczące wojennego rzemiosła przypisywać Napoleonowi.

Pośród owych zawziętych strzelców był też panicz Obdulio, który w drżących dłoniach trzymał wziętą z salonu fuzję używaną do polowania na ptaki. Trzej inni byli to słudzy dziedzica zatrudnieni na jego posiadłościach w dolinie rzeki Yana. A że tam wszystko zniszczyła susza, zaś w Paucar chodziły słuchy o buntownikach, więc don Cipriano sprowadził tutaj tych ludzi w przewidywaniu rozruchów. Właśnie dlatego kazał tak długo czekać na siebie, gdy przyszli peoni: wydawał odpowiednie rozkazy. Teraz pobladł nieco, podobnie jak i jego syn. Don Romulo jedną ręką szarpał wąs, drugą trzymał na karabinie. Inni słudzy stali obok, z marssem na żółtawych twarzach, chcąc pokazać, że nic ich nie wzrusza. Ale wszystkim ciążyły na sercu te trzy trupy - uszargane w pyłe poncza, gołe nogi, skołtunione włosy - leżące na ganku. Indianin Tucto przywarł twarzą do ziemi. Drugi nieboszczyk miał grymas wściekłości i bólu. Trzeci, z rozrzuconymi ramionami, przywodził na myśl krzyż. Wielkie kałuże krwi rozlały się po podłodze. Don Cipriano wezwał parobków i powiedział:

- Weźcie stąd zabitych i połóżcie w tamtym pokoju. W nocy trzeba będzie ich pogrzebać. I przynieście wody i gałganów, żeby zmyć podłogę... A teraz, moi drodzy - dodał zwracając się do swych wojowników - pójdziemy napić się czegoś. Takie sprawy zawsze szarpią nerwy...

Rodziny pomordowanych czekały na nich w swoich chatach przez wiele dni. A kiedy ktoś, przezwyciężając głodowe wyczerpanie, poszedł wreszcie zanieść im wieść o tym, co się stało, nie było już kogo zawiadamiać.

* * *

Tygodnie, miesiące.

Jaśniejące niebo przypominało kopułę z polerowanej stali. Z brunatnej, wyschniętej ziemi czaszki zwierząt patrzyły w górę czarnymi jamami oczodołów.

A ludziom - jeśli akurat w półmroku chat nie modlili się o deszcz - nie pozostawało nic innego jak rozdrapywać wnętrzności ziemi w poszukiwaniu wody.

XIX. Dobry deszczyk

Przychodzą takie chwile, kiedy wszystko, co żyje, łowi uchem i odkrywa - w powiewach wiatru, w zabarwieniu chmur, w oczach zwierząt i ludzi, w gałęziach drzew, w locie ptaka - podniecającą tajemnicę deszczu. Nawet nieruchoma skała wydaje się przybierać jakiś specjalny wygląd, specjalny odcień.

I nadchodzi moment szczęścia dla każdej żywej istoty, która czeka: moment, kiedy wszystko wskazuje na bliskość nadciągających deszczów.

Tak było i tym razem. Przyszedł listopad. Pewnego dnia wichur nie uniósł ze sobą chmur. Zbliżały się od strony południowych szczytów, ogromniały, czarne i gęste zasłoniły niebo. Tuż nad ziemią ciągnął lekki podmuch. Ludzie i zwierzęta obserwowali spokojny horyzont i równie spokojne ciemne sklepienie nieba. Drzewa wznosiły ku górze stęsknione ramiona, a ptaki fruwały kwiląc wśród nagich gałęzi. Skalne igły wydłużyły się kłując nieboskłon. A żółtobrązowa misa ziemi, rozbudzona i niecierpliwa, czekała.

I dokonał się ów cud, od dawna znany i zawsze radosny.

Pierwsze krople podniosły mgłę pyłu. Potem brunatna ziemia pociemniała i zapachniała świeżością.

Bydło ryczało, rżało, beczało radośnie. Krowy i źrebaki brykały w zagrodach. A chłopcy wystawiali nosy chłonąc potężne fale cierpkiej woni. Błyskało i grzmiało, rozedrgane niebo runęło w dół. I przyszła burza, długa, radosna burza. Ziemię i niebo połączył deszcz i razem śpiewały hymn życia.

Niedostatek? O tak, jeszcze się nie skończył, ale wkrótce jagody i jeżyny zaczną dawać owoce, ziemia zakwitnie białymi grzybami i życie będzie znowu bujną zielenią i mięszem obfitującym we wszelakie dary.

Woda spływała miłośnie na ludzi i zwierzęta, na eukaliptusy i czerwono-czarne głązy, na pachnące pola, na białe kości i groby kryjące zmarłych.

Te rozśpiewane niebiańskie strumienie nawet gdy spadły na skały, niosły z sobą dogłębną radość.

- Ach, nadzieja!

Simon wszedł na strych, zdjął tykwy przykrywające dzban i garnki i zanurzył rozgorączkowane z uciechy ręce w chłodne ziarno. Pszenica, kukurydza, groch! Miło było ich dotykać, miło patrzeć na nie w świetle padającym z okrągłego okienka, a jeszcze milej wymawiać ich nazwy, które już teraz napępiały usta odżywczymi sokami. Niech tylko trochę podrośnie trawa i woły nabiorą sił. Wtedy gąbczasta, urodzajna ziemia otworzy się, żeby przyjąć ziarno, które przechowano na przekór klęsce głodu.

Dzień po dniu padał deszcz, jak błogosławieństwo.

Ludzie i zwierzęta odzyskiwali dawny wygląd i ton głosu, ze szczytów ku dolinom śpiewając płynęły wąwozami rzeki, drzewa wypuszczały pąki, a coraz obfitsza trawa przytłumiała swym zielonym runem krzyczącą biel kości i pamięć o zmarłych, co stała się już podobna bezimiennemu krzyżowi.

Pewnego wieczoru, kiedy Simon Robles spoglądał ze swego miejsca na ganku, z przyjemnością słuchając kapania wody użyźniającej pola, jakiś cień mignął w pobliżu, tak że aż stary odwrócił się w tamtą stronę.

Wańka!

Stała naprzeciw, pod gankiem, wpatrując się w Simona i czekając, żeby się odezwał. Wychudzona, ze zmierzwioną sierścią ociekającą wodą, z zaczerwienionymi ślepiami, ziajała otwartym pyskiem, a był to widok tak żaloszny, że Simon cierpiał na równi z tym swoim biednym wygnanym psem.

I rozczulił się na myśl, że oto zrozumiała, co oznacza zmiana pogody: koniec wygnania i powrót do dawnego życia. A jeszcze bardziej się wzruszył, gdy sobie uświadomił, że w zagrodzie pozostały tylko dwie pary owiec, a Wańka wróciła, aby zająć swoje miejsce i ich pilnować.

- Wańka, a chodź no tu, Wankita! - powiedział.

Suka podeszła i otarła się pieszczotliwie o Simona. On zaś poklepał ją po zapadłych bokach i płakał.

- Wańka, Wankita, toć ty wiesz, że jak biedak i zwierzę nie mają ziemi ani wody... Toć ty wiesz... i dlatego wróciłaś... Wańka, Wankita... Tak wróciłaś jak ten dobry deszczyk...

A dla Wańki owe łzy i głos, i pieszczoty Simona też były jak ten dobry deszczyk...

Ciro Alegria urodził się 4 XI 1909 w hacjendzie Quilca, w prowincji Huacamachuco w Peru; zmarł w Limie 17 II 1967.

Od najwcześniejszej, młodości czynnie zaangażowany politycznie, nie ustrzegł się prześladowań, a jego udziałem stało się więzienie i wygnanie z kraju.

Przez długie lata przebywał za granicą, w Chile, w Stanach Zjednoczonych, w Puerto Rico oraz na Kubie, gdzie ożenił się z kubańską poetką Dorą Varona. Pod koniec lat pięćdziesiątych wrócił do Peru.

Na wygnaniu w Chile powstała krótka powieść *Złoty wąż* (nagroda na konkursie literackim wyd. Nacimiento, 1935), po czym w 1938 r. *Głodne psy* (nagroda wyd. Zig-zag). W r. 1941 ukazała się największa i najbardziej znacząca powieść Alegrii, *Świat jest szeroki i obcy* (PIW, 1974).

Alegria, jeden z najwybitniejszych pisarzy latynoamerykańskich, był zarazem wielkim bojownikiem sprawy Indian. Cała jego twórczość, zarówno beletrystyczna, jak publicystyczna, dotyczy andyjskich Indian i ich miejsca we współczesnym świecie.

Głodne psy, książka niewielka i bardzo zwarta tematycznie, zyskała sobie, podobnie jak pozostałe utwory sławnego pisarza, ogromne uznanie krytyki i aplauz czytelników. Ta pełna prostoty opowieść o pasterskich psach usytuowana na tle życia indiańskiej wsi zadziwia autentyzmem i artystyczną wnikliwością.

Spis rzeczy

- I. Psy biegną za siadem
- II. Historia psów
- III. Jak to było z Łatą
- IV. Puma w ciemnościach
- V. O tym, jak Gnat zmienił pana
- VI. Pies rozbójnika
- VII. Salomonowa rada
- VIII. Pole kukurydzy
- IX. Papaje
- X. Nowy siew
- XI. Gdzie się podziac
- XII. Wspomóż nas, Święta Panienko
- XIII. Jakim głosem przemawia susza
- XIV. „Przyszedł na nas głód”

XV. Wygnanie

XVI. Oczekiwanie, ciągle oczekiwanie

XVII. Stary Mashe, Jacinta, Łata...

XVIII. Głodne psy

XIX. Dobry deszczyk